

NASZ GDAŃSK
Tu się zaczynają
polskie historie

MATKA TYLKO POLKA
Władza wygasza
adopcje zagraniczne

NIEDOBRZE, PANIE BOBRZE
Ukazała się najbardziej
oczekiwana powieść świata

KOŚCIÓŁ I PAŃSTWO
Niebezpieczne związki
według Jerzego Turowicza

Kraków 27 stycznia 2019 nr 4 (3629)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

ludzi
dobrej
woli
jest
więcej





weź, wspieraj!

Kupując prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”, **bezpośrednio wspierasz** suwerenność naszego pisma, warunek rzetelnego i niezależnego dziennikarstwa.

Wpłacając darowiznę na rzecz Fundacji Tygodnika Powszechnego, masz swój wkład w ważne projekty **reporterskie i wydawnicze**. Robiąc zakupy w internecie, możesz wspierać nasze działania nawet **bez wydawania pieniędzy**.



faniMani

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Wejdź na powszech.net/prenumeruj i wybierz najlepszą dla siebie opcję prenumeraty – roczną, kwartalną, z wydaniem specjalnym, w opcji ekonomicznej lub priorytetowej.

faniMani.pl

Pod artykułami na www.TygodnikPowszechny.pl znajduje się przycisk, dzięki któremu możesz szybko i w prosty sposób przekazać nawet symboliczną kwotę na rzecz naszej Fundacji, która przeznaczy ją w całości na projekty wydawnicze, np. magazyn „Książki w Tygodniku”. Liczy się każda wpłata!

To nic nie kosztuje! Twoja darowizna zostanie przekazana podczas zakupów w internecie, jeśli tylko zainstalujesz w przeglądarce wtyczkę Fani Mani i wskażesz Fundację Tygodnika Powszechnego jako tę, z którą **sprzedający przez internet dzieli się zyskiem z transakcji**. Sprawdź na powszech.net/wspieram

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł	

NOWA OFERTA!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE”
W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation

KS. ADAM

Boniecki: Na 20. rocznicę śmierci Jerzego Turowicza

JEST „PORTRET JERZEGO TUROWICZA” PIÓRA ANNY Matei, są trzy tomy „Pism wybranych” znakomicie opracowane przez tę autorkę, są książki – wywiady z Turowiczem i liczne artykuły o nim, jest wreszcie ważny artykuł Michała Okońskiego w tym numerze „Tygodnika”. Sądzę, że warto jeszcze napisać o Jerzym Turowiczu jako współzałożycielu i współtwórcy „Tygodnika Powszechnego. Katolickiego pisma społeczno-kulturalnego”, skupiając się na przymiotniku „katolicki”.

Jerzy Turowicz z pewnością nie był dziennikarzem „katolickim” w znaczeniu dziennikarzem kościelnym, nabożnym, konfesyjnym. Jakkolwiek to dziś zabrzmi, powiem, że był katolikiem-dziennikarzem, co raczej należałoby określić: dziennikarzem wierzącym, utożsamiającym się z rzymskim Kościołem katolickim. Był człowiekiem, którego sposobem na życie była wiara przeżywana w Kościele. Dzięki temu czymś naturalnym dla niego było myślenie i pisanie o Kościele z wewnątrz. Sądzę, że nigdy nie miał pokus pisania o Kościele jako osobliwej i niebezpiecznej instytucji ani pisanie z pozycji dworskich pisarzy dbających o to, „żeby książdz biskup był zadowolony”. Nawet gdy pisał krytycznie o Kościele, pisał z miłością. To był jego Kościół. Kierował się w tym poważną etyką dziennikarską, czego w pewnym momencie nie mógł pojąć nawet kardynał Karol Wojtyła. Polemizując z Turowiczem, powoływał się na „pedagogię wiary”, która, aby ochronić wiarę prostych ludzi, każe przemilczać trudne problemy, jak np. kryzys w Kościele. Na wyrzut w słynnym jubileuszowym liście papieża, że Kościół w Polsce „nie czuł się dość miłowany” przez „Tygodnik”, odpowiedział, iż nawet jeśli się nie czuł, to nie znaczy, że miłowany nie był.

W biografii Jerzego Turowicza uderza pewien rys szczególnie. Otóż łączy go głębokie więzy przyjaźni z wielkimi postaciami



Kościół. Przypomnię niektóre. Św. Jan Paweł II jeśli zdarzały się między arcybiskupem krakowskim, potem papieżem, a Turowiczem różnice zdań czy spory, mogą one być przykładem sporów, które nie niszczą łączących ludzi więzi, lecz ją budują. Prymas Stefan Wyszyński – który swój cierpki list z wyrzutami o zbyt małe zainteresowanie „Tygodnika” działalnością Kościoła w Polsce kończył zapewnieniem, że o „Tygodniku nie myśli tak źle, jak mogłoby się wydawać po lekturze listu”.

Były też z księdzem-robotnikiem Jakiem Loewem, kardynałem Lustigerem, biskupem Hélderem Câmara, założycielem Taizé bratem Rogerem Schützem, założycielką Catholic Worker Dorothy Day, założycielką wspólnoty w Ivry Madeleine Delbrêl, księdzem Janem Zieją, księdzem Janem Twardowskim, ojcem Piotrem Rostworowskim... Znamienne, jak w każdej epoce współcześnie żyjący Wielcy Przyjaciele Boga odnajdują się i spotykają.

Wiara Jerzego Turowicza nie miała w sobie cienia ostentacji. Jednak ci, którzy znali go bliżej, wiedzą, że nie tylko był katolikiem praktykującym w sensie formalnym, lecz człowiekiem, dla którego Ewangelia rzeczywiście była normą życia. Był uznanym autorytetem moralnym. Może także dlatego, że przy ogromnej mądrości był człowiekiem ewangelicznie skromnym, ceniącym mądrość i wielkość innych ludzi. Jego miłość Kościoła była miłością poważną, więc krytyczną. Tacy ludzie, zwłaszcza świeccy, nie mają w Kościele łatwego życia.

Zapytany kiedyś, co będzie dla niego biletem przy wejściu w niebieskie podwoje, odpowiedział: „to, że starałem się służyć ludziom, służyć Kościołowi i służyć Panu Bogu tak, jak umiałem (...) Bezpośrednio mój bilet to jest »Tygodnik Powszechny«”. Oby także roczniki z ostatnich dwudziestu lat!

©P

TP

Dziś dołączamy do „Tygodnika” wlepkę #jestemzGdańska – na znak zjednoczenia ze zranionym miastem.

Nie tylko współczujemy jego mieszkańcom – chcemy zamanifestować przynależność do wspólnoty wiernej ideałom wolności i solidarności, których symbolem znów stał się Gdańsk.

Niech ten hasztag będzie widoczny i niech nas łączy. Aby było nas więcej i więcej.

Hasztag # jest zaprojektował specjalnie dla nas Andrzej Wieteszk.



■ PO ŚMIERCI PAWŁA ADAMOWICZA ■

**12 Ludzi dobrej woli jest więcej**

TADEUSZ SŁAWEK

Czego nas uczy tragedia w Gdańsku? Co możemy powiedzieć o przyczynach hańby? Jak moglibyśmy zapobiec dalszemu osuwaniu się w barbarzyństwo?

26 Nasz Gdańsk

ANNA MACHCEWICZ, PAWEŁ MACHCEWICZ

Oto miasto, jakie zapamiętamy. Źródła jego niepowtarzalnej, dzisiejszej tożsamości. Przez ponad dwie dekady współtworzył je Paweł Adamowicz. Chcielibyśmy, by ten świat przetrwał, mimo tego, co się stało 13 stycznia.

16 Dyktat awatarówZ KRZYSZTOFEM MAZUREM
Z KLUBU JAGIELLOŃSKIEGO
ROZMAWIA RAFAŁ WOŚ:

Zginął człowiek. Dlatego powinniśmy spróbować wyrwać się z naszych ról i politycznych uwikłań. Przeciwczyć się w byciu dociekliwym obywatelem, któremu nie jest wszystko jedno.

53 A teraznajtrudniejsze
FELIETON SZYMONA
HOŁOWNI

Pokazujemy sobie teraz lepsze oblicze. Oblicze na okazje tak trudne, że nie umiemy obsłużyć ich narzędziami do prowadzenia naszych rytuałnych wojen.

**71 Co zrobić?**FELIETON
WOJCIECHA
BONOWICZA

Napisałem: nie można po prostu zamilknąć. Ale prawdą jest, że na pewnym etapie zamilknięcie jest bardzo potrzebne.

6 A wśród ludzi była cisza
MARCIN ŻYŁA

6-1 Wiadomości / Komentarze

24 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

26 Nasz Gdańsk ANNA MACHCEWICZ,
PAWEŁ MACHCEWICZ

30 Nie wszystkie ręce na pokład
JAROSŁAW FILS: *Elektoraty sumują się trudniej niż politycy*

33 Bank jak się patrzy
MAREK RABIJ

36 Matka Polka albo żadna
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Rząd likwiduje adopcje zagraniczne*

■ ■ WIARA

40 W krainie wykrzykników
MICHAŁ OKOŃSKI

44 Bóg jest wielki PIOTR SIKORA:
Czy muzulmanie wierzą w tego samego Boga, co chrześcijanie?

46 Kochany inny
ROZMOWA Z MAŁŻEŃSTWEM
PROTESTANCKO-KATOLICKIM

50 Młodzież świata w tropikach
DOMINIKA MATEJKO: *Światowe Dni Młodzieży w Panamie*

■ ■ ŚWIAT

54 Los drzew, las ludzi
AGATA KASPROLEWICZ: *Kenijski las Karura to symbol wolności od władzy*

57 Miejsce przyjemne
ROMAN HUSARSKI *o najsłynniejszym utopijnym mieście świata*

■ WSPOMINAMY JERZEGO TUROWICZA ■



WOJCIECH DRUSZCZ / ARCHIWUM „Tp”

40 W krainie wykrzykników
MICHAŁ OKOŃSKI

Mówimy coraz głośniejszy, słyszymy coraz mniej. Naturalnym żywiołem Jerzego Turowicza była cisza. 20 lat temu zmarł założyciel i wieloletni redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”.

■ FELIETONY ■

53 SZYMON HOŁOWNIA

71 WOJCIECH BONOWICZ

84 JAN KLATA

85 PAWEŁ BRAVO

90 STANISŁAW MANCEWICZ

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

60 Wywrócili nasze życie BARTOSZ
RUMIŃCZYK *z irackiego Kurdystanu*

62 Jak przekonać telewizorów
TADEUSZ IWAŃSKI: *Kampania przed wyborami prezydenckimi na Ukrainie*

■ ■ HISTORIA

64 Nazwiska w tynku
ELŻBIETA STRZAŁKOWSKA *o obozie w Forcie III w Pomiechówku*

■ ■ NAUKA

68 Wojny genów MARIUSZ GOGÓL:
Tajemne funkcje cząsteczki DNA

■ ■ KULTURA

72 Niedobrze, panie bobrze
MAREK BIENIŃCZYK *o najnowszej powieści Michela Houellebecqa*

76 W drodze do Mordoru ROZMOWA
Z BOLESŁAWEM CHROMRYM,
RYSOWNIKIEM: *Zyjemy w tak zwanym prawdziwym życiu*

79 Był sobie pomnik PIOTR
KOSIŃSKI: *Wystawa poświęcona pomnikom w Europie Środkowo-Wschodniej opowiada o minionych i aktualnych sporach*

82 Kapsuła czasu ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Dowlatów”

83 Warto zobaczyć w TV

84 Nie wiedzieliśmy?
LEKTOR o „Przez ruiny i zgliszczca. Podróż po stu zgładzonych gminach żydowskich w Polsce”

■ ■ ZMYŚŁ

86 Spisek przeciwko karpom
ROZMOWA Z AUTORAMI KSIĄŻKI
„KAPŁONY I SZCZĘŻE. OPOWIEŚĆ O ZAPOMNIANEJ KUCHNI POLSKIEJ”

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Woś się jeży

Mieszkania są zbyt drogie. A winien temu jest między innymi napędzający gentryfikację wielki biznes – **RAFAŁ WOŚ** zastanawia się, co zrobić, gdy biznes mówi, że chciałby odkupić swoje grzechy tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ **O. Ludwik Wiśniewski: Trzeba skończyć z nienawiścią**
Cała Polska czeka, ażeby z Gdańska wyszło przestanie, które dotrze do każdego Polaka, i które przywróci moralną równowagę w naszym kraju i w naszych sercach – mówił **O. LUDWIK WIŚNIEWSKI** podczas uroczystości pogrzebowych prezydenta Pawła Adamowicza powszech.net/owisniewski-nienawisc

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONASWIATA

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny

A WŚRÓD LUDZI BYŁA CISZA

Dzięki mieszkańcom Gdańska słowo „obywatel” odzyskało właściwe znaczenie.
To już ktoś więcej niż ten, kto raz na kilka lat chodzi na wybory.

MARCIN ŻYŁA

TO NIEPRAWDA, ŻE GDAŃSK BYŁ W OSTATNICH dniach „inną Polską” – był taką Polską, jakiej na pewno chce większość z nas: miejscem dla wszystkich. A to dzięki jego obywatelom.

Zaczął się w poniedziałek 14 stycznia, zaraz po tym, gdy podano, że prezydent miasta zmarł. Kiedy mieszkańcy przyszli na Długi Targ, pierwszy raz wybrzmiało „The Sound of Silence”, teraz już nieoficjalny hymn Gdańska. A wśród ludzi była cisza – słyszał było tylko szloch i szelest kurtek. Obywatele europejskiego miasta przyszli pożegnać Pawła Adamowicza bez pompacyjnego zadęcia, martyrologii i narracji o polskich ofiarach. Właśnie ciszą, dyskrecją i opanowaniem – brakiem wielkich haseł i obietnic rzucanych na wyrost

– zaskoczyli wielu. Tych, którzy solidaryzowali się z nimi w innych miastach, i tych, o których pewnie wtedy nie myśleli – np. polityków liczących na to, że tak małymi gestami jak nieobecność podczas minuty ciszy w Sejmie zdołają zaciętrzewić swoich przeciwników.

Tak samo było przez pozostałe dni żałobnego tygodnia. W bezprzedziałowych wagonach pociągów jadących do Gdańska spontanicznie rozmawiali pasażerowie – o gminie, o sąsiadach, z którymi da się pogadać nawet o polityce; o burmistrzu, który „niby z PiS-u, ale przecież sensowne rzeczy zrobił, więc na niego głosowaliśmy”. W noc poprzedzającą pogrzeb, w kościele św. Jana odbył się kaszubski obchód pustej nocy – między żałobnymi pieśnia-

*Na gdańskiej
Ołowiance,
17 stycznia
2019 r.*

mi opowiadano o udanej integracji ludności Gdańska, tej po 1945 r., i tej dziś, kiedy dzięki polityce otwartych drzwi do miasta przyjeżdżają imigranci.

Kiedy mieszkańcy odprowadzali trumnę z ciałem Pawła Adamowicza z Europejskiego Centrum Solidarności do bazyliki Mariackiej, pod słynną bramą Stoczni Gdańskiej mijali napis: „Dziękujemy za dobrą pracę”; w oknie I LO, które kończył, stali uczniowie i nauczyciele; w witrynach sklepów i punktów usługowych – wywieszono portrety i hasła pożegnalne. W rozmowach (a wielu miało osobiste wspomnienie spotkania) nikt na siłę nie kanonizował nieżyjącego prezydenta.

Chwilę wcześniej kilkuset wójtów, burmistrzów i prezydentów miast zgromadziło się w sali BHP Stoczni Gdańskiej na nadzwyczajnym zebraniu Związku Miast Polskich. I trudno było uciec od pytań, czy to, co przeżywają, wygra nad partyjnymi podziałami, odnowi obyczaje w polskiej polityce. Jeśli nie teraz – mówiono – może się nie udać nigdy.

Miniony tydzień sprawił więc, że dzięki gdańszczanom słowo „obywatel”, obrzadzane za czasów komunizmu, a później przez lata oznaczające kogoś, kogo jedyną powinnością jest chodzenie raz na kilka lat na wybory, odzyskało prawdziwe znaczenie.

I choć Polska pozostaje zawieszona między dwiema wrażliwościami – tą reprezentowaną np. przez abp. Sławoja Leszka Głódzia, witającego podczas mszy „panów prezydentów”, i tą Aleksandry Dulciewicz, p.o. prezydenta miasta, która mówiła do „gdańszczanek i gdańszczan” – to podczas pogrzebu w bazylice Mariackiej uważnie słuchano słów o. Ludwika Wiśniewskiego. „Cała Polska czeka, ażeby z Gdańska wyszło przesłanie, które dotrze do każdego Polaka, i które przywróci moralną równowagę w naszym kraju i w naszych sercach” – apelował dominikanin, dodając: „Trzeba skończyć z nienawiścią! Trzeba skończyć z nienawistnym językiem! Trzeba skończyć z pogardą! Trzeba skończyć z bezpodstawnym oskarżaniem innych!”. „Zachęcałeś do czynienia dobra, wierzę, że to dobro rozleje się dalej, na cały świat, że podziały zaczną się zacierać, że skończy się fala nienawiści” – mówiła Magdalena Adamowicz, wdowa po prezydencie.

Na pożegnania, kondukt pogrzebowy i „świąteczko do nieba” – które na Targu Węglowym odbyło się dokładnie tydzień po zamordowaniu prezydenta – nikt nie musiał zwozić ludzi autobusami. Przyszli tu sami. ©P

WOŚP: Tak właśnie wyglądasz, Polsko



MICHAŁ OKOŃSKI

S KORO WCHODZIMY W ROK OBCHODÓW 30-lecia wolnej Polski, zacznijmy od prostej konstatacji: niewiele w ciągu tego czasu udało się w naszym kraju tak bardzo jak Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Wymyślona przez nieco jaskawego się radiowego prezentera muzycznego w reakcji na apel kardiochirurgów z Centrum Zdrowia Dziecka, jednorazowa w zamysłu impreza przerodziła się w machinę dobra, dzięki której w ciągu 27 lat na poprawę sytuacji w służbie zdrowia – głównie dziecięcej, ale w ostatnich latach WOŚP wspierała też placówki geriatryczne – zebrano miliard złotych. Zebrano, co warto podkreślić, dobrze się przy tym bawiąc – nie ma chyba pozytywnego wariactwa, którego nie zrobiono by przy okazji kolejnego finału Orkiestry, nie ma chyba rzeczy, której nie wystawiono by wtedy na licytację.

Inna sprawa, że nie ma też chyba bzdury, której by na temat WOŚP nie wypowiedziano. Mówiono o „miłosierdziu w świetle reflektorów” (że ponoć gorzej) i o „słomianym zapale” (że to niby jednorazowy zryw, co jest absurdem, bo organizowanie przetargów, negocjacje, zakupy sprzętu medycznego trwają okrągły rok, wraz z szykowaniem kolej-

nych finałów, letniego festiwalu rockowego i licznych mniej spektakularnych działań) – że wymienię tylko łagodniejsze zarzuty. Ten najbardziej kuriozalny – o promowanie relatywizmu i hedonizmu – prosiłby się właściwie o zorganizowanie kapłańskiego dnia skupienia, bo niestety celowali w nim księża.

Owszem, Jerzy Owsiak odpowiadał na ataki: przypadków, w których puszczały mu nerwy, jest sporo zwłaszcza od czasu, gdy wynaleziono Facebooka. Owszem, lepiej gdyby trzymał je na wodzy – choć mam wrażenie, że jak na tę skalę hejtu, która go spotykała (obok Grossa, Michnika, Kaczyńskiego i Rydzyka jest bodaj najczęściej atakowanym Polakiem), i tak ma wyjątkowo grubą skórę. Szkoda, że jeszcze grubszą mają ci, którzy z wysokości swoich łóż komentatorskich dywagują, czy powinien odwoływać swoją dymisję w czasie pogrzebu Pawła Adamowicza, czy np. dzień później.

Patrzę na wesołego niegdyś czarodzieja w czerwonych okularach. Widzę jego zmarszczki, grymas goryczy, zmęczenie. Właśnie się zbiera, by zacząć jeszcze raz – w poczuciu odpowiedzialności z pewnością, ale czy z dawną ochotą i ogniem? Tak właśnie wyglądasz, Polsko. ©P

Przed egzaminem z dojrzałości



PAWEŁ BRAVO

J AN ŚPIEWAK TO JEDEN Z NAJBARDZIEJ znanych aktywistów ruchów miejskich i twarz walki z dziką reprivatyzacją kamienic. Był skuteczny w jej nagłaśnianiu – zanim minister Zbigniew Ziobro i jego zastępca Patryk Jaki zrobili z reprivatyzacji spektakl polityczny.

Skuteczność niesie ze sobą ryzyko wypowiedzenia o parę słów za dużo. Kosztowało to Śpiewaka przegrany proces z adwokatką Bogumiłą Górnikowską-Ćwiakalską, która poczuła się zniesławiona twierdzeniem, iż „przejęła” część kamienicy jako kurator osoby urodzonej 118 lat wcześniej. Śpiewak zapowiedział, że nie zapłaci zaskakująco wysokiej grzywny i nawiązki oraz ogłosił

odejście z polityki. Tymczasem to właśnie działalność polityczna jest jedyną drogą do częściowego choćby zaprowadzenia sprawiedliwości, wbrew moralnym uniesieniom.

Pod względem formalnym większość decyzji reprivatyzacyjnych była przecież poprawna i tylko nasz zdrowy rozsądek i poczucie przyzwoitości nie umieją się pogodzić z tym faktem, który dla wielu prawników okazuje się przezroczysty moralnie. Przed Śpiewakiem stoi zatem kolejny test na polityczne świadectwo dojrzałości. Jego pozytywny wynik wart jest na pewno więcej niż 3 proc. głosów, jakie dostał na jesieni w wyborach na prezydenta Warszawy. ©P

Bezdomni na mrozie: reagujmy!

PIERWSZY DZIEŃ ŚWIĄT Bożego Narodzenia, Świecie nad Wisłą. W opuszczonej szopie w samym centrum miasta zostaje odnaleziony martwy mężczyzna. W pomieszczeniu była jeszcze jedna osoba: w złym stanie trafiła do szpitala.

Początek stycznia, Łódź. O siódmej rano jeden z przechodniów w okolicach skrzyżowania ul. Wojska Polskiego z Franciszkańską zauważa leżącego mężczyznę. Wzywa policję, przyjeżdża też karetka. Lekarze stwierdzają zgon. Przyczyna: wychłodzenie organizmu.

Również początek roku 2019. „Pani, którą przywiozła do nas Straż Miejska w bagażniku samochodu, owiniętą w koc termiczny, mimo wysiłków lekarzy zmarła w szpitalu – napisała 6 stycznia na swoim blogu siostra Małgorzata Chmielewska, przełożona Wspólnoty Chleb Życia. – Trafiła tam następnego dnia. Miała około 40 lat. Dzięki wytrwałości strażników i naszych ludzi nie zmarła na ulicy, lecz w łóżku, czysta i zadbana. Nie pierwsza tej zimy i oby ostatnia”.

Niestety, nie ostatnia. Tylko przez ostatni tydzień (licząc do ubiegłej soboty) zmarło z powodu wychłodzenia dziewięć osób. Zaś według ogólnych statystyk, obejmujących jesienno-zimowe miesiące 2018-19 (od listopada do stycznia), było ich już 59.

Co roku zamarza w Polsce około stu osób (trzy lata temu 108, przed dwoma laty 111, a na przełomie 2017 i 2018 r. – 83). Duża część z nich to bezdomni. Policja i służby pomocowe apelują, by nie przechodzić obojętnie obok ludzi leżących bądź śpiących na otwartym terenie, gdy temperatura spada poniżej zera. Jeden telefon (np. na alarmowy numer 112) może uratować komuś życie.

©© PW

LICZBA TYGODNIA

180

– tyle miliardów zł ma wpłynąć w tym roku do budżetu z podatku VAT, którym obłożone są zakupy towarów i usług. Rząd spodziewa się, że wpływy z VAT wzrosną w br. o 7,3 proc., czyli obstawia, że gospodarka będzie nadal rosnąć.

KRAJ W SKRÓCIE

MINUTA SPÓŹNIENIA. Prezes PiS Jarosław Kaczyński nie przyszedł na sejmową minutę ciszy ku czci Pawła Adamowicza, a w przeddzień pogrzebu prezydenta Gdańska, wraz z m.in. premierem Morawieckim i wicepremierem Szydło, udał się do Krakowa na grób swojego brata. Do Gdańska nie dotarł – inna sprawa, że mógłby się nie zmieścić w katedrze, skoro np. urzędującemu prezydentowi i premierowi organizatorzy uroczystości wskazali miejsca w dalszych rzędach.



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

KRÓTKI ODDECH. O zatruciu nas przez mowę nienawiści mówiono przez cały tydzień, różnie umiejscawiając jej źródła – ale zatruchał nas również smog. Stężenie pyłów PM 2.5 i PM 10 w niektórych miejscowościach Małopolski przekraczało tysiąc procent normy, w Krakowie – kolejny raz tej zimy – wprowadzono darmową komunikację miejską.

NA DZIKI. W ciągu kolejnego weekendu odbywały się skoordynowane polowania na dziki: myśliwi redukowali poławie tych zwierząt głównie wzdłuż wschodniej i północno-wschodniej granicy Polski, a także na Mazowszu, w związku z zagrożeniem występowania afrykańskiego pomoru świń (skuteczność walki z wirusem przez odstrzał podważają naukowcy). W ciągu pierwszego weekendu polowań ponad 5,5 tys. myśliwych zastrzeliło 721 dzików.

NA NORKI. Rada ministrów przyjęła projekt ustawy o organizacji hodowli i rozrodzie zwierząt gospodarskich – po wielomiesięcznych dywagacjach, podziałach w partii rządzącej i intensywnej działalności lobby futrzarskiego zniknął z niej zakaz hodowli zwierząt futerkowych.

Watykan od środka

JEST PIĘĆ POWODÓW, by sądzić, że obrady przewodniczących episkopatów o pedofilii, które Franciszek zapowiedział na luty, są skazane na niepowodzenie – twierdzi Thomas J. Reese, jezuita, watykanista, autor m.in. książki „Watykan od środka”.

Po pierwsze, cztery dni to za mało.

Po drugie, oczekiwania są zbyt duże w porównaniu z tym, co można w tym czasie osiągnąć.

Po trzecie, choć siłą spotkania będzie to, że do Watykanu przyjadą przewodniczący episkopatów, osiągnięcie porozumienia w sprawie procedur będzie trudne, gdyż biskupi pochodzą z różnych krajów, w których obowiązują odmienne kultury prawne.

Po czwarte, spotkanie nie jest dobrze przygotowane.

Po piąte, papież musiałby przedstawić rozwiązanie kryzysu i przekazać biskupom wytyczne. Franciszek – zdaniem o. Reese’a – tego nie robi, gdyż za bardzo ceni kolegalność w Kościele.

© TP GOA, NA PODST. NATIONAL CATHOLIC REPORTER

Dzień Judaizmu: Bóg grozy czy Bóg miłosierdzia

„NIE PRZYCHODZĘ, ŻEBY ZATRACAĆ” – te słowa z Księgi Ozeasza (11, 19) rozważali 17 stycznia żydzi i chrześcijanie podczas tegorocznych Dni Judaizmu. „Bóg mówi do Izraela: byłem dla was dobry, a wy zrobiliście coś takiego, za to należy się wam kara – tłumaczył rabin Dawid Szychowski podczas nabożeństwa Słowa Bożego w Łodzi. – Mimo to nie zrobię tego, ponieważ jestem Bogiem, a nie, jak ty, człowiekiem. Bóg daje ludowi miłosierdzie, to znaczy: daje czas”. Abp Grzegorz Ryś dodał: „Kiedy Bóg mówi o swoich emocjach wobec Izraela, to nie patrzy na rzeczy okropne, które Izrael czynił, ale pamięta czas pierwszej miłości, pierwszej więzi ze swoim ludem”.

W Lublinie ks. prof. Alfred Wierzbicki podkreślał, że nie ma kontrastu między Bogiem Starego i Nowego Testamentu. „Ten sam Bóg nachyla się nad każdym człowiekiem. Całuje go i podnosi, aby rósł. Ten sam wybrał chrześcijan i żydów. Wielkim błędem było nawracanie żydów”.

Rabin Symcha Keller czytał Ozeasza przez pryzmat wydarzeń z Gdańska. „Zło istnieje obok nas, przemyka przez nasze życie. Kiedy nie ma dookoła ludzi, ty bądź człowiekiem i zachowaj się jak człowiek wobec swojego brata” – mówił. Wcześniej naczelny rabin Polski Michael Schudrich podkreślał: „Dzień Judaizmu wskazuje na jeden aspekt – braterstwo. Trzeba nam być razem przeciwko takiemu hejtowi, jaki słyszymy dzisiaj w kraju. Mogę mieć inną wiarę, inny pogląd polityczny, ale wszyscy jesteśmy dziećmi Boga”.

© PMAM



Kościół kobiet

„JEŻELI TEDY NIE WOLNO nam będzie zwać się zakonnicami i nosić ubrania, o jakie w podaniu swym prosiłyśmy, to jednak bynajmniej nam nie przeszkadza żyć w dalszym ciągu jak najciszej wedle reguły, której się dotąd trzymałyśmy, zadowolając się mianem zwykłych sług” – tak odpowiedziała Anna Kaworek biskupowi przemyskiemu Józefowi Sebastianowi Pelczarowi, gdy w 1902 r. nie zgodził się zatwierdzić w Miejscu Piastowym koło Krosna nowego zgromadzenia i nakazać siostrąm rozejść się do domów. Pelczar uznał, że dzieło nie utrzyma się w warunkach galicyjskiej biedy. Ale prawdziwą przyczyną był konflikt dwóch osobowości: ambitnego biskupa i charyzmatycznego wizjonera ks. Bronisława Markiewicza, który pociągnął za sobą młodą Ślązaczkę. Ostatecznie obaj trafili na ołtarze: Pelczar został beatyfikowany w 1991 r., a 12 lat później kanonizowany, beatyfikacja Markiewicza nastąpiła w 2005 r.

Michalitki przetrwały, gdyż założyły świeckie stowarzyszenie opiekujące się sierotami. Zamiast habi- towały nosiły tradycyjny strój śląskich wieśniaczek: proste czarne suknie i chusty. Ludzie zwali je pannami od ks. Markiewicza. Zgromadzenie zostało zatwierdzone dopiero w 1928 r., już po śmierci Pelczara.

15 stycznia Franciszek zatwierdził dekret o heroicznosci cnót Anny Kaworek. Gdy zostanie uznany cud za jej przyczyną, możliwa będzie jej beatyfikacja. W akcie tym będzie można dostrzec dowartościowanie „kobiecego Kościoła”, który opiekował się sierotami i walczył z biedą, gdy „męski Kościół” zmagał się z własnymi ambicjami. ©© ARTUR SPORNIAC

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DIAKONISY ISTNIAŁY. Kobiety służyły jako diakonisy w Europie przez około tysiąc lat, wykonując różne posługi – namaszczały chore kobiety, przynosiły komunię, zarządzały kościelnym skarbem – mówi w rozmowie z „America Magazine” Phyllis Zagano, profesor religioznawstwa na Uniwersytecie Hofstra i członkini utworzonej przez Franciszka w 2016 r. watykańskiej Komisji Studyjnej ds. Diakonu Kobiet. Raport z pracy komisji trafił już na biurko papieża.

STULECIA ANTYJUDAIZMU.

„Zdaję sobie sprawę, że mamy za sobą dziewiętnaście wieków chrześcijańskiego antyjudyzmu i że kilka dziesięcioleci dialogu jest wobec nich niczym” – napisał papież we wstępie do książki „Biblia Przyjaźni. Fragmenty Tory/Pięcioksięgu komentowane przez żydów i chrześcijan”, która ukazała się we Włoszech nakładem Edycji św. Pawła. Oprócz papieża wstęp do książki napisał także przyjaciel Franciszka, rabin Abraham Skórka.

OSOBY LGBT W KOŚCIELE.

Arcybiskup Westminsteru kard. Vincent Nichols po raz drugi przewodniczył mszy dla katolików LGBT i ich rodzin w kościele Niepokalanego Poczęcia w Farm Street w Mayfair. W homilii prymas Anglii i Walii odniósł się do tożsamości, którą wszyscy chrześcijanie niosą poprzez chrzest i która przekracza dowolną orientację. Po mszy hierarcha podziękował społeczności katolików LGBT za to, że są ważnym znakiem otwartości we wspólnocie Kościoła. Za zgodą kard. Nicholasa parafia w Mayfair prowadzi duszpasterstwo dla osób LGBT.

KARA ZA KSIĘŻOWSKI HEJT.

„Środki karne przewidziane prawem kościelnym” nałożył biskup warszawsko-praski Romuald Kamiński na ks. Jacka Dunina-Borkowskiego za internetowy wpis: „Adamowicz jest znany przez swoje draństwo. Nie widzę żadnego powodu, żebyśmy się za niego modlili. Czy Jezus modlił się za Heroda?”. To nie pierwszy hejt autorstwa duchownego. Komunikat kurii informuje, że ks. Dunin-Borkowski dwukrotnie otrzymał już upomnienia kanoniczne.

Końcowe odliczanie

PATRYCJA BUKALSKA



DO BREXITU POZOSTAŁO NIEWIELE PONAD DWA MIESIĄCE. Nadal jednak nie wiadomo ani jak, ani nawet czy w ogóle do niego dojdzie. Porozumienie, które rząd Theresy May wypracował podczas długich negocjacji z Brukselą, zostało w minionym tygodniu odrzucone przez Izbę Gmin – i to tak dużą większością głosów, że okazało się największą porażką premiera w historii brytyjskiego parlamentaryzmu.

Premier May musiała też zmierzyć się z wotum nieufności (to głosowanie przetrwała, ale nie rozwiązało to jej problemów z brexitem). Obecnie w parlamencie trwają dyskusje, próby zawarcia ponadpartyjnych sojuszy i znalezienia sposobu na przełamanie impasu. Podziały, również wewnątrzpartyjne, są jednak tak głębokie, że nie wiadomo, czy możliwy jest jakikolwiek kompromis. To dlatego część posłów chce, aby parlament mógł zdecydować o wniosku o przesunięciu daty wyjścia z Unii (zgodę musiałyby wyrazić też państwa unijne). To dałoby Brytyjczykom więcej czasu, by uniknąć tzw. twardego brexitu. Czas byłby też potrzebny, jeśli zdecydowano by się na powtórne referendum. Zwolennicy brexitu widzą w tym jednak groźbę pozostania w Unii, co, ich zdaniem, byłoby zaprzeczeniem demokratycznej decyzji podjętej w referendum w 2016 r.

Dyskusja o brexicie zmienia się więc w debatę o demokracji. Wśród Brytyjczyków narastają tymczasem frustracja politykami i obawy dotyczące spraw praktycznych, jak zaopatrzenie w żywność i leki po wyjściu z Unii bez porozumienia. ©©



21 ZABITYCH – to bilans ataku na hotel DusitD2 w Nairobi. 15 stycznia zamachowiec samobójca zdetonował ładunek wybuchowy przed budynkiem, a tuż potem do środka wtargnęli uzbrojeni terroryści. Po kilkugodzinnym oblężeniu, w którym kenijską policję wspierał tajemniczy biały mężczyzna z bronią i wyposażeniem używanym przez brytyjskie oddziały SAS (najprawdopodobniej komandos przyjechał do Kenii szkolić tamtejsze specyjniki), uwolniono zakładników i zabito wszystkich pięciu terrorystów. ©© MR

USA: złe fantazje

JAN SMOLEŃSKI



BYŁY PRAWNIK DONALDA TRUMPA MICHAEL Cohen miał na polecenie prezydenta kłamać podczas przesłuchania przed Kongresem – poinformował w minionym tygodniu portal BuzzFeed.com. Kłamstwa miały dotyczyć planów budowy Trump Tower w Moskwie, a informacje o tym miał posiadać specjalny prokurator prowadzący rosyjskie śledztwo Robert Mueller.

Wcześniej dziennik „New York Times” ujawnił, że Trump wielokrotnie wspominał w rozmowach ze współpracownikami, że USA powinny wystąpić z NATO, co *de facto* oznaczałoby rozpad Sojuszu. Z kolei „Washington Post” informował, że prezydent ukrywał szczegóły swoich spotkań z Władimirem Putinem nawet przed wysoko postawionymi członkami administracji. Raz miał także odebrać tłumaczowi notatki ze spotkania. W efekcie nie ma żadnych zapisów dotyczących treści tych rozmów.

Po rewelacjach BuzzFeed.com kilku prominentnych członków Partii Demokratycznej stwierdziło, że Trump powinien zrezygnować albo przygotować się na *impeachment*. Trump jednak otrzymał pomoc z najmniej spodziewanej strony: rzetelność informacji podanych przez portal zakwestionował rzecznik Muellera.

Fakt, że niektórzy Demokraci żywo zareagowali na te doniesienia, sugeruje, iż wielu polityków tej partii uważa, że Trump nie jest prawomocnym prezydentem i dzięki pomocy Rosjan ukradł Demokratom prezydenturę. To niebezpieczna fantazja, która utrudnia wyciągnięcie wniosków z przegranej Hillary Clinton. Choć FBI stwierdziło, że służby rosyjskie rzeczywiście próbowały wpłynąć na wybory w 2016 r., to brakuje dowodów na to, że ten wpływ przełożył się na korzyść Trumpa. Wiadomo natomiast, że Trump wygrał o włos w kilku kluczowych stanach, które Clinton podczas kampanii zignorowała.

Co więcej, wpadka BuzzFeed rzuca cień na wiarygodność wszystkich informacji dotyczących nieprawidłowości i przestępstw ekipy Trumpa – przynajmniej w oczach części obywateli USA. Dla zwolenników prezydenta jest też długo wyczekiwanym dowodem potwierdzającym, że negatywne informacje o Trumpie to faktycznie fake newsy. ©



MAXSIEDENTOPF.COM

AUTOR INSTALACJI „TOTO FOREVER” Max Siedentopf nie ujawnia jej dokładnego położenia. Gdzieś na pustyni Namib w południowo-zachodniej Afryce z głośników podłączonych do odtwarzacza MP3, ładowanego bateriami słonecznymi, rozbrzmiewa na okrągło hit lat 80. Utwór „Africa” zespołu Toto jest wyborem nieprzypadkowym – piosenka stała się popularnym tematem memów i flash mobów. Dokładnie rok temu kilkaset osób zgromadziło się w centrum Nottingham w Anglii tylko po to, by ją wspólnie zaśpiewać. © P MOC

Płazie amory

PORTALE RANDKOWE zrewolucjonizowały proces dobierania się w pary. Teraz także wśród płazów.

„Jestem prostym facetem. Nie wadzę nikomu, a mój ulubiony sposób spędzania wieczora to odpoczywanie i oglądanie wody. Kocham jeść i wyskoczyć z domu, jeśli jest szansa na robaka czy ślimaka!” – brzmiał zamieszczony w lutym 2018 r. na randkowym portalu Match.com profil latynoskiego amanta. Romeo szukał swojej wielkiej miłości. Bo, drobnostka, zależało od tego istnienie jego gatunku.

Romeo to andoświstek jurakare, znany też jako wodna żaba Sehuencas. Na krawędz zagłady pchnęły je zmiany klimatu i zanieczyszczenie wody. Od 2008 r. nikt nie widział na żywo żadnego osobnika – poza samym Romeo, który od dziesięciu lat mieszka w Muzeum Historii Naturalnej Alcide’a d’Orbigny’ego w Boliwii. Naukowcy bali się, że jest ostatni.

Oczywiście szanse na to, że samica andoświstka będzie szukała partnera

w internecie, były nikłe, ale akcja miała pomóc zebrać pieniądze na wyprawę w głąb dżungli w poszukiwaniu towarzyszek życia dla Romea.

Dzięki niej pod niewielkim, górskim wodospadem naukowcy znaleźli niewidzianą od dziesięciu lat żabę. Radość okazała się jednak krótkotrwała, bo potencjalna Julia okazała się Julianem. Na szczęście po kilku dniach znalazła się tam i samiczka, która teraz przechodzi kwarantannę. Naukowcy muszą się upewnić, że nie zarazi Romea np. grzybem z gromady skocz-kowców, wybijającym całe populacje płazów. Jeśli wszystko pójdzie dobrze,

w walentynki wreszcie się poznają. Od tego, czy przypadną sobie do gustu, może zależeć przetrwanie ich gatunku.

Sprawę komplikuje fakt, że Romeo nie jest w formie. Mówiąc wprost: jest nieco grubawy. Żeby przygotować go na randkę, opiekunowie postanowili nieco przyspieszyć nurt wody w jego zbiorniku, żeby musiał chwilę poćwiczyć. Czego się nie robi dla miłości.

© P WOJCIECH BRZEZIŃSKI



ROBIN MOORE / EAST NEWS

Drzewa tylko dla dorosłych

LENIWCE TO WYBREDNE SSAKI – albo, jak wolą mówić ekolodzy – specjaliści pokarmowi. Dorosłe osobniki jednego z gatunków, leniwca pstrego, żerują niemal wyłącznie na pewnym gatunku tzw. drzew trąbowych – roślin o dużych i bogatych w składniki odżywcze liściach, ale pozbawionych gęstej korony. Nie powinno więc dziwić, że dobrobyt populacji leniwców zależy ściśle od źródła ich pożywienia. Mario F. Garcés-Restrepo i współpracownicy w artykule opublikowanym w „Proceedings of Royal Society B” potwierdzili taką zależność: wykazali, że gęstość rozmieszczenia konkretnego gatunku drzew trąbowych wiąże się ze współczynnikiem przeżywalności i rozrodczości dorosłych leniwców pstrych.

Z tej prawidłowości wyłamują się jednak młode osobniki. Okazuje się, że po porodzie matki z dziećmi przenoszą się na inne drzewa, o liściach znacznie mniej pożywnych, ale za to gęściej rosnących – i dlatego gwarantujących lepszą ochronę przed drapieżnikami. Badacze twierdzą również, że rzadziej porośnięte drzewa „dla dorosłych” poza walorami odżywczymi mają jeszcze jedną zaletę – ułatwiają



BEW

komunikację i znalezienie partnera. Leniwce przecież nie tym zasłużyły na swoją nazwę, że uganiają się za miłością po całej dżungli.

© P Ł K

Mózdzek uspołeczniony

NIEGDYŚ UWAŻANO, że odpowiada wyłącznie za funkcje ruchowe. Niedawno na mózdzek zaczęto patrzeć jak na strukturę, od której zależy znacznie więcej. Zmiany funkcjonowania mózdzku powiązane zostały m.in. ze schizofrenią, uzależnieniami, deficytami poznawczymi i zaburzeniami ze spektrum autyzmu. Dzięki badaniom zespołu Kamrana Khodakhaha z Albert Einstein College of Medicine w Nowym Jorku lepiej rozumiemy, jak mózdzek wpływa na tak złożone zachowania.

Naukowcy zidentyfikowali u myszy szlaki neuronalne wychodzące z mózdzka w kie-

runku tzw. pola brzusznej nakrywki (VTA) – obszaru należącego do układu nagrody. Okazało się, że szlaki te aktywują się, gdy myszy spontanicznie decydują się na kontakty społeczne zamiast samotności. Gdy myszom pozwolono na zdalne stymulowanie tych szlaków, bez angażowania się w kontakty społeczne, robiły to chętniej. Gdy zaś myszom zdalnie aktywowano te szlaki, najwyraźniej wprowadzając je w lekką euforię, gryzonię traciły zainteresowanie towarzystwem innych osobników.

„Nadeszły ekscytujące czasy dla badaczy mózdzku i jest jasne, że kolejne eksperymenty ujawnią następne szlaki, poprzez które mózdzek reguluje nasze zachowania” – kończą swój raport naukowcy.

© P Ł K

INSTAGRAM.COM / WORLD_RECORD_EGG



50 MLN – tyle polubień posiada obecnie najpopularniejsze zdjęcie na Instagramie. W ciągu ledwie kilku dni jajko pobiło rekord popularności należący do amerykańskiej celebrytki Kylie Jenner i wystąpiło w talk-show Ellen DeGeneres. Właściciel profilu world_record_egg, za którym stoi prawdopodobnie agencja marketingowa, rozpoczął już sprzedaż koszulek. Grosz do grosza, a będzie kokosza.

© P MOC

KULTURA W SKRÓCIE

ZA ORYGINALNOŚĆ. Prof. Jacek Leociak, literaturoznawca i historyk literatury, założyciel Centrum Badań nad Zagładą Żydów, został laureatem tegorocznej Nagrody im. Kazimierza Wyki. Kapituła wyróżniła jego dwie ostatnie książki „za wybitne przykłady oryginalnej eseistyki literacko-historyczno-antropologicznej”. Nagroda przyznawana jest od 1979 r., a w gronie dotychczasowych laureatów są m.in. Jan Błoński, Maria Janion, Zbigniew Herbert i Małgorzata Łukasiewicz.

ZA KONCEPCJĘ. W międzynarodowym konkursie Archi-World Academy 2017–2019 zwyciężył Przemysław Chimczak. Jego projekt „Coliving. Perspektywy wprowadzenia nowej formy mieszkaniowej do Polski” został okrzyknięty najlepszą koncepcją architektoniczną spośród blisko 1,5 tys. nadesłanych prac.

ZA WARTOŚCI. 26 stycznia po raz piąty wręczona zostanie Nagroda im. Jerzego Turowicza. Przyznawana jest za wybitne i oryginalne dzieło znajdujące się w kręgu tematów, do których Jerzy Turowicz – pierwszy redaktor naczelny „TP” – wracał w swojej publicystyce i działalności publicznej, oraz reprezentujące wartości, które były mu bliskie: personalistyczne podejście do człowieka, tolerancję i dialog oraz sprzeciw wobec ksenofobii, zwłaszcza antysemityzmu. Nagroda zostanie wręczona w przededniu 20. rocznicy śmierci Turowicza.

ZA 2 EURO. Z okazji 500. rocznicy śmierci Leonarda da Vinci, renesansowego malarza i wynalazcy, do obiegu z początkiem lutego trafi okolicznościowa moneta o nominale dwóch euro. Na jej rewersie widnieje „Dama z gronostajem”.

ZA POWIEŚĆ. „Lala” Jacka Dehnela i „Prowadź swój pług przez kości umarłych” Olgi Tokarczuk, obie w tłumaczeniu Antonii Lloyd-Jones, zostały nominowane do nagrody literackiej Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju. Lloyd-Jones, nazywana „jednoosobową ambasadą kultury polskiej”, jest autorką już ponad 50 przekładów książek polskich pisarzy i reporterów na angielski.

LUDZI DOBREJ WOLI JEST WIĘCEJ

Czego nas uczy tragedia w Gdańsku?
Co możemy powiedzieć o przyczynach hańby
i jak moglibyśmy zapobiec dalszemu osuwaniu się
w barbarzyństwo?

TADEUSZ SŁAWEK



TRAGICZNE WYDARZENIE ZAGĘSZCZA RZECZYWISTOŚĆ. Do tej pory rozrzedzona naszymi przyzwyczajeniami i nieuwagą, rozprysnięta na drobiny poszczególnych zdarzeń niełączących się z sobą, teraz nagle nabiera nadzwyczajnego ciężaru. Przekracza masę krytyczną, eksploduje, przesuwając się błyskawicznie gwałtowną falą uderzeniową.

W cierpieniu świat ciemnieje i gęstnieje. W tym mroku nitki faktów i zachowań, odległe brzegi słów i czynów scalają się w jeden kształt, i nagle obejmujemy spojrzeniem całość naszego świata. Mówimy sobie „tacy jesteśmy”, taki jest nasz ludzki los, bowiem tragiczne wydarzenie stawia nas zawsze wobec tego, co jest, a nie wobec naszych wyobrażeń, mrzonek, „wizerunków” i „projektów”.

„Dana jest nam chwila o wielkiej gestości i znaczeniu” – pisała Jolanta Brach-Czaina. I dalej: „Jeśli zdarzenie okrutne wskazuje wartość istnienia, to prezentuje ją jako wartość tragiczną, spaja bowiem bezcenną z zapowiedzią unicestwienia”. Chodzi o to, by owego zdarzenia nie

zmarnotrawić, nie roztrwonić, nie zapisać rychło jako kolejnego, jednego z wielu, „faktu historycznego”.

Tragedia zawsze dotyka nas samych. Zwróćmy uwagę: ona nas dotyka, a nie dotyczy. „Dotyczyć” może nas jakieś zarządzenie, przepis, decyzja. Natomiast dotyka nas to, co najważniejsze, a czego nie ima się żaden przepis. Dotyka nas zawsze do żywego, do „mięsa” i nagiego „nerwu: naszego bycia”. W ten sposób dotyka nas to, co jest.

Brzmienie ciszy

Tysiące ludzi oddających w Gdańsku pokłon pamięci zmarłego prezydenta Pawła Adamowicza słuchało pieśni o ciszy. Na pytanie, czym jest owa cisza, odpowiadamy najkrócej. Jest ostrzeżeniem przed nadmiarem słów, które zmieniły mowę w gadaninę i odebrały nam dar słuchania. Jest przestrogą przed systemami zarządzającymi nam życie, nam, którzy zrezygnowaliśmy z krytycznego oporu, jakim jest myślenie, a poniekąd i z chrześcijaństwa będącego znakiem sprzeciwu,

bo bez sprzeciwu przystajemy na to, co dzieje się wokół.

„Brzmienie ciszy”, pieśń Simona i Garfunkela, to otrzeźwienie dla nas, którzy bez większego sprzeciwu poddaliśmy się „okropnościom nowożytnego handlarstwa i spekulacji, z szatańskim panowaniem pieniądza i interesów” (Tomasz Mann w przekładzie Jana Łukowskiego). Panowanie to jest „szatańskie”, bowiem pozbawione krytycznej refleksji prowadzi do nieobliczalnych konsekwencji. Cisza jest w tej pieśni niebezpiecznym brakiem reakcji na bieg rzeczy, zgodą na wszechmoc jazgoczącego słowa oddanego służbie interesów. Taka właśnie zła cisza przyzwolenia, przemilczenia, stanowi tło dramatycznych wydarzeń w Gdańsku. To o niej traktuje pieśń przypominana w Gdańsku.

Chodziłoby więc o odzyskanie w życiu publicznym dobrej ciszy krytycznego zamyslenia, które nie będzie milczącą zgodą na manipulację gadającego bez przerwy świata, lecz namysłem nad znaczeniem słów. Cisza panująca w wielotysięcznym zgromadzeniu na Długim Targu nie była



Paweł Adamowicz z żoną Magdaleną i córką Teresą (za plakatem) na konwencji wyborczej komitetu Wszystko dla Gdańska, 27 października 2018 r.

angażowanym. Ostatnie wydarzenia pokazują, jak bardzo nam tego właściwego zaangażowania się w świat brakuje.

W ciszy nie chodzi o wyższość jednej idei nad jakąś inną, o rzuconą obietnicę, która swą szczodrością przebija wszelkie inne, o pokazanie, kto jest mężem bez skazy, a kto nędznym grzesznikiem. Cisza, o której tu myślimy, unieważnia te kategorie. Chce zejść głębiej niż one, które stały się domeną doraźnej konkurencji. Zmieniając lekko słowa Alberta Camusa rzeklibyśmy, że w ciszy „nie chodzi o bohaterstwo. Chodzi o uczciwość” (przeł. Joanna Guze). A dokładniej, o uczciwość wobec siebie samych. Czego dowiadujemy się i czego uczy nas o sobie tragiczne wydarzenie w Gdańsku, co możemy powiedzieć o przyczynach hańby i jak moglibyśmy zapobiec dalszemu osuwaniu się w barbarzyństwo?

Zło jest wiecznotrwałe, marzenia o pozbyciu się go są szlachetne i zrozumiałe, ale zdają się bezsilne. Jest zaraza, która toczy i będzie toczyć ciało społeczne. Trzeba zdać sobie z tego sprawę, ale trzeba także uprzytomnić sobie, jak dalece pomagamy owej wyniszczającej chorobie i jak bardzo środki oficjalnie przeciwko niej używane nierzadko ją wzmacniają i czynią skuteczniejszą. Do tego zaś trzeba wyobraźni, cechy uznanej w wyrachowanie pragmatycznym życiu politycznym za niepożądaną. Posłuchajmy jednak znów Camusa: „Tym ludziom brak wyobraźni. Nigdy nie są na wysokości zarazy, zaś środki, jakie wymyślają, są zaledwie na miarę kataru”. Pisarz ma na myśli przedstawicieli władz Oranu, nieudolnie usiłujących stawić czoła dżumie szalejącej w mieście, ale traktując ten krótki fragment jako zwięzłą i bolesną charakterystykę nas, Polaków w 2019 r.

Czy i nas dotknęła zaraza?

Mord i polityka

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że śmierć prezydenta Pawła Adamowicza była morderstwem politycznym. Odmawiając politykom prawa do zawłaszczania pojęcia „polityka” i wracając do jego pierwotnego znaczenia, które nam odebrali, powiedzielibyśmy, że polityka to nie kwestia ➔

przemilczeniem, lecz zamyśleniem. Bo przemilczenie poddaje się słowu, zadowala się bierną akceptacją, ślepą, acz wygodną wiarą, że w owej nadprodukcji słów rzeczy odnajdą swoje miejsca, same pokładają się i układają. Z ciszą zamyślenia jest inaczej: tam słowa nie tłoczą się wzajemnie zagłuszając, lecz wybrzmiewają głośniejsz i wyraźniej. Wzywają do rozważnej refleksji i w efekcie – do zmiany postępowania.

Zła cisza milczącej zgody na bieżący stan spraw, cisza przemilczenia, zapewnia panowanie rozgwaru gadaniny; nie dać sobie przerwać słowotoku, nie pozwolić sobie na wysłuchanie drugiej strony – oto niecnoty polityków i mediów.

Dżuma

Ta nadmiarowość słowa ma dwie poważne konsekwencje. Po pierwsze, sprawia, że słowo właściwie traci znaczenie stając się, co najwyżej, sygnałem politycznej postawy. Po drugie, ludzie poddani naporowi słowa stają się czymś na kształt zombie – ogłuszeni zgiełkiem są martwi

w swej obojętności. Charakter wybranych słów może napędzać ich do bezmyślnego działania. W ten sposób gadanina polityków zasłania sedno sprawy, oplątując je retorycznymi figurami o tandetnym, manipulacyjnym charakterze. Zgoda wynikająca z naszego przemilczenia uniemożliwia dotarcie do sedna sprawy, powodując już to obojętność wobec biegu spraw, już to punktowe, nieprzemyślane, czysto emocjonalne reakcje na słowa-sygnały władzy (np. „totalna opozycja”).

Taka polityka partyjna przeszkadza myśleniu; chciałaby kreować obywatela, który nie tyle słowa przemyśli, co na nie automatycznie zareaguje pożądanym odruchem. Najczęściej – odrzą wobec przeciwnika. Te słowa niczym młotek neurologa mają wywołać automatyczną reakcję. Mają też fabrykować postawę, w której świat nas nie obchodzi.

Cisza właściwa krytycznemu myśleniu jest dyskretną, samodzielną, nieostentacyjną, ale silną formą zaangażowania się w świat, sposobem bycia wobec niego nie-obojętnym, ale i nie czysto reaktywnie za-

→ partyjnej młócki i fabrykowania władzy z perspektywą kolejnych wyborów. Gdy ją traktować poważnie, polityka to ogół naszych relacji z szeroko pojętym światem ludzkim i nieludzkim, a tu perspektywa czasowa jest daleko szersza. Uprawiać politykę to myśleć o tym, jaki świat pozostawimy swoim dzieciom i wnukom.

Polityka jest wszędzie, bowiem dotyczy racji naszego życia i życia następujących po sobie generacji; polityka to troska o świat, a ponieważ to mowa jest podstawowym instrumentem tworzenia i wpływania na świat (każdy światopogląd kreuje jakiś świat), zatem polityka jest w podstawowym sensie rzeczą języka. Nęda języka jest nędzą polityki, i odwrotnie. Nienawistna mowa nie jest więc jedynie sprawą słów, bowiem tworzy konkretną rzeczywistość, w której nienawiść wygodnie się mości, kierując się w ostatecznym rezultacie przeciwko światu. Apel o odwrót od nienawiści był ostatnim słowem prezydenta Pawła Adamowicza ze sceny w Gdańsku.

Ci, którzy krzyčili o „zdradzieckich mordach” i „kanaliach”, powinni nas, obywateli, publicznie przeprosić. Ci, którzy ochoczo objaśniali, że „nie pochwalają, ale rozumieją” okrutne zachowania, powinni nas, obywateli, publicznie przeprosić. Straszący uchodźcami i niegodziwością metody *in vitro* powinni nas, obywateli, publicznie przeprosić. Ci, którzy mówili o „dorzynaniu watahy”, powinni publicznie nas, obywateli, przeprosić. Powiedzmy od razu: nie dla jakiegokolwiek zemsty ze strony nas, obywateli, lecz jako dowód, że pojęli strasliwą, nieobliczalną w skutkach szkodliwość tego rodzaju mowy.

Mowa polityki powinna ograniczyć się do absolutnego minimum w posługiwaniu się słowem „wy”. Okazało bowiem wielokrotnie swoje złowrogie działanie poprzez stygmatyzowanie adresatów jako gorszych, wrogich bądź zdradzieckich. Ci, którzy używają mowy, w której gospodrzy fraza „bo wy...”, której towarzyszą z reguły oskarżenia lub inwektywy, powinni nas, obywateli, publicznie przeprosić. Także i ci, którzy swojemu „my” przypisali miłość Matki Boskiej i prawdziwy patriotyzm, z czego ma nieuchronnie wynikać, że „wy” jest kosmopolitycznie zdradzieckie i niegodne boskiej uwagi.

Politycy uczynili partie głównym, o ile nie jedynym sposobem praktycznego w świecie funkcjonowania, tym samym sprowadzając świat do prowincjonalnego

zaścianka partykularnych interesów. Politycy winni zdać sobie sprawę z tego, że chociaż istotnie realia polityki rządzą się kryteriami partyjnymi, to partie nie są idealnym narzędziem uprawiania polityki, lecz należy je traktować jako zło konieczne. Mentalność partyjna, oparta na ostrych, dychotomicznych i często nieracjonalnych podziałach, rani ciało społeczne, powodując marnotrawienie energii lub obojętność (częsta postawa wśród niechodzących do głosowania: „nie mam i tak na nic wpływu, bo decydują »oni«”).

Zapewne partie pozostaną głównymi aktorami politycznego spektaklu, ale trzeba, aby zdawały sobie sprawę, iż obywatele wiedzą, że często „partyjne programy skracają karki wszystkim nowym, zdolnym do życia prawdom, że względy użyteczności wywracają na nice moralność i sprawiedliwość tak, że w końcu życie staje się ponurą udręką” (Henryk Ibsen w przekładzie Anny Marciniakówny). Gdy sobie wszyscy to uprzytomnimy, być może wtedy politycy stracą wiele ze swej arogancji i bliżej im będzie do idei służby niż czystej władzy.

Większość

Socjotechnika władzy w coraz większym stopniu opiera się na intensyfikowaniu antagonizmów i wzbudzaniu lęków. Władza staje się przemysłem, sprawą techniki propagandowej i biegłości w graniu na podstawowych emocjach oraz odstręcaniu od samodzielnego, krytycznego myślenia. Władza jako przemysł dąży do zinstytucjonalizowanego ukierunkowywania życia jednostki, zmierzając do tego, by racje partyjno-ideologiczne stały się racjami nadającymi sens ludzkiemu życiu. Sprawia to, że partie rosną we własnych oczach, nadymają się, jakby napędzały je nadprzyrodzone moce obdarzające ich decyzje niekwestionowanym autorytetem.

Dlatego tak groźne jest otwarcie polityczne angażowanie się Kościoła, silnie wzmacniające tego rodzaju nieusprawiedliwione roszczenia politycznych stronnictw. Stąd powinniśmy my, obywatele, i my, Kościół, dołożyć wszelkich starań, aby Kościół powszechny, ten wielotożsamościowy, wielorasowy i wielonarodowy, był Kościołem prawdziwie otwartym, czyli bezstronnym, spoglądającym w każdą stronę, w którym człowiek staje we wspólnocie jako człowiek, a nie jako sfabrykowany na polityczny użytek preparat opatrzonej sygnaturą „wierzący”,



MICHAŁ CZACHOROWSKI / AEROWIDEO



„niewierzący”, „uchodźca”, „islamista” etc. Dopiero człowiek w całej nagości ludzkiej egzystencji jest człowiekiem Kościoła.

Nie możemy więc dopuścić do tego, by tragiczna śmierć Pawła Adamowicza rozpuściła się w nurcie dotychczasowych praktyk życia społecznego. Nie wiem, czy sprawiedliwość zostanie wymierzona sprawcy i nie jest to dla mnie teraz najważniejsze. Sprawiedliwość jest zawsze bez miary, bowiem nie jest w stanie cofnąć biegu czasu, przywrócić stanu sprzed zdarzenia, zdarzeniu dorównać. Zdarzenie jest większe od sprawiedliwości, która jest zawsze po fakcie. Za faktem może nadążyć nie sprawiedliwość, lecz miłosierdzie. Dlatego tak krzepi zachowanie gdańszczan, współpracowników Pawła Adamowicza, a nade wszystko jego rodziny, którzy nie wspominając o sprawiedliwości, zachowują się miłosiernie.

Losy tej nadziei zależą od nas. Od tego, czy okazemy się ludźmi dobrej woli.

Dziwny jest ten świat

Nie możemy nie spytać, kim są owi ludzie dobrej woli? Ewangelia św. Łukasza mówi o nich głosami chórów anielskich ogłaszających narodziny Jezusa, co pozwala mnieć, że są oni świadkami przyjścia Boga na świat. Towarzyszą więc początkowi, który zmieni kurs dziejów. Człowiek dobrej woli, nazwany w nowym przekładzie Biblii człowiekiem, w którym Bóg ma upodobanie, to ten, kto – nie zważając na bieżący bieg spraw, grawitację zastanego stanu rzeczy i naciski możliwych tego świata – pragnie zacząć na nowo. To człowiek zaczynający. Jeśli presja władzy będzie żądała jedynie kontynuacji tego, co jest, człowiek dobrej woli będzie miał siłę przeciwstawić się temu żądaniu, ożywia go bowiem nie chęć utrwalenia *status quo*, lecz pragnienie przemiany.

W eseju o Chrystusie wyszydzonym Leszek Kołakowski pisze, że dla większości poważnych problemów ludzkości nie ma rozwiązań menadżersko-technokratycznych; aby próbować je rozwikłać, niezbędna jest przemiana, *metanoia*, którą grecka etymologia objaśnia jako „zmianę sposobu myślenia”, „opamiętanie się”, „namysł po fakcie”. Ratunek zależy od tego,

czy okazemy się ludźmi dobrej woli, czyli od tego, czy się opamiętamy, czy potrafimy wyciągnąć wnioski ze zdarzeń, które nami wstrząsnęły. Alternatywą do opamiętania się otwierającego drogę przemianie jest zapamiętałość, która wszystko zamyka w otwartzaniu tego, co jest, i upartym powtarzaniu tych samych błędów.

Trzy lata po tym, jak Simon i Garfunkel wydali swą płytę „Sound of Silence”, Czesław Niemen dał nam „Dziwny jest ten świat” – hymn, w którym ludziom dobrej woli powierzył szczególne zadanie. W świecie, w którym nieodrodną częścią ludzkiego doświadczenia jest zło owocuujące pogardą, jaką ci, co zapewne chcą zło zwalczać, darzą bliźnich, którym wcześniej przypisali wszelkie możliwe grzechy; w świecie, w którym „słowem złym zabija się jak nożem”, ludzie dobrej woli mają pełnić misję ocalenia świata.

„Lecz ludzi dobrej woli jest więcej / i mocno wierzę w to, / że ten świat / nie zginie nigdy dzięki nim. / Nie! Nie! Nie! Nie! / Przyszedł już czas, / najwyższy czas, / nienawiść zniszczyć w sobie”.

Czy to naiwne marzycielstwo? Niekoniecznie. O ile nie przeoczymy czasownika „wierzyć”. Liczby są istotne, to one bowiem rozstrzygają o sprawowaniu władzy, ale istotniejsze jest to wewnętrzne przekonanie, które nazywamy wiarą. Wiarą w możliwość przemiany, w opamiętanie się i w rozpoczęcie od nowa.

Czyż nie dlatego nazywamy się „wierzącymi”? Dlatego, że nie traktujemy wiary jako terenu bezpiecznego schronienia, wywyższenia, którego nie podmywa woda wątpliwości i z którego dyktujemy losy innym i decydujemy o ich cnocie lub grzeszności. Czy nie dlatego uważamy się za wierzących, że wiara nasza nie jest asekurowaniem się w wierze, ale zaryzykowaniem w wierze? Bezwarunkowym otwarciem na przyjście tego, co odmieni losy świata, a więc bezwarunkowym zniszczeniem nienawiści? Nie nienawiści w ogóle, to istotnie byłoby niewykonalnym zadaniem; wszak zło, ów brat bliźniak dobra, pozostanie z nami na zawsze.

Chodzi o próbę ukrócenia nienawiści w sobie (taką próbą jest Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, która oby grała dalej, do końca świata i jeden dzień dłużej). Tylko tyle i aż tyle. Wspólnota ludzi dobrej woli to wspólnota tych, którzy mocują się z nienawiścią złościącą w nas swoje jamy i pokrętne korytarze. Nie poddają się jej.

© TADEUSZ SŁAWEK

„Sound of Silence” na Długim Targu w Gdańsku – tysiące ludzi oddaje w milczeniu cześć pamięci prezydenta Pawła Adamowicza.
14 stycznia 2019 r.

Dyktat awatarów

KRZYSZTOF MAZUR, KLUB JAGIELLOŃSKI:

Zginął człowiek. Dlatego powinniśmy spróbować wyrwać się z naszych ról i politycznych uwikłań. Przeciwyczyć się w byciu dociekliwym obywatelem, któremu nie jest wszystko jedno.

RAFAŁ WOŚ: Co się powinno wydarzyć teraz, po tragedii w Gdańsku?

KRZYSZTOF MAZUR: Strona pisowska powinna ogłosić, że w obliczu tej sytuacji chce wykonać jakiś gest polityczny. Wziąć na siebie część odpowiedzialności za atmosferę nienawiści. Więc po pierwsze, zmienia prezesa telewizji publicznej Jacka Kurskiego, który dla sporej części Polaków stał się symbolem jednostronnej, agresywnej propagandy wobec politycznych przeciwników. Zastępuje go ktoś, kto uzyska nieformalne wsparcie przedstawicieli opozycji.

To co powinna, Pana zdaniem, zrobić opozycja?

Zaimponowało by mi, gdyby liderzy Platformy Obywatelskiej wyszli i powiedzieli: „Ta straszna tragedia nami wstrząsnęła. Ale nie uprzedmiotawiamy ofiary dla politycznych potrzeb. Wiemy, że na pragnieniu zemsty możemy dojechać daleko. Możemy nawet dzięki temu wygrać wybory. Ale nie dbamy o to. To nie są nasze standardy”.

A PiS powinien jeszcze ogłosić, że np. poseł Krystyna Pawłowicz odchodzi z polityki z powodu swoich wypowiedzi o Jerzym Owsiaku. A nadzorca śledztwa dotyczącego śmierci Pawła Adamowicza

zostaje wybrany drogą nieformalnych, ale opartych na konsensusie konsultacji. Takie gesty pomogłyby naszej rozdzielanej intensywnym konfliktem wspólnocie. Ale jednocześnie wiem oczywiście, że tak się nie stanie.

Nie?

I to jest w tym wszystkim najbardziej przerażające. Potrafimy przecież dość dokładnie przewidzieć, kto jak się zachowa. Aktorzy życia publicznego wchodzi w swoją rolę automatycznie. Skrypt zresztą jest gotowy. W 2010 r. po tragedii smoleńskiej władza mówiła do opozycji: „Nie grajcie zmarłymi”, „Nie uprzedmiotawiajcie tej tragedii”, „Nie traktujcie tego jako politycznego paliwa”. Opozycja nie posłuchała. Dziś dawna opozycja rządzi i apeluje, by nie grać tragedią. Ale jest w tym wezwaniu niewiarygodna. Więc i ona nie będzie wysłuchana. Jeden z odcinków popularnego serialu „Czarne lustro” („Black Mirror”) opowiada o psychopatycznym artyście przeprowadzającym na społeczeństwie swój makabryczny performans. Realizowany jest straszliwy algorytm. Uczestnicy gry niby są wolni, ale jednak jak po sznurku postępują zgodnie ze scenariuszem. Doskonale wiemy, co by się działo, gdyby gdzieś w Polsce doszło do

śmiertelnego ataku na osobę o innym kolorze skóry. Albo ktoś rzuciłby się z nożem na katolickiego biskupa.

Można sobie dość precyzyjnie wyobrazić argumenty i oskarżenia, które padną.

Tak, bo zadziała algorytm. I to jest właśnie nieludzkie. To budzi mój niepokój.

A co by było ludzkie?

Powiedzieć: „Nie wiem”, „Nie rozumiem”, „Nie doszukujmy się w tym sensu”. Kiedy w poniedziałek po tragedii tak właśnie powiedziałem dziennikarzowi, to wyczułem irytację. Spytał, kiedy będę już wiedział i kiedy może zadzwonić. Nie dziwię mu się oczywiście. Miał swoje dedaliny. I nie mógł puścić komentarza, że ktoś nie wie.

Ale w sumie od tego jesteśmy.

My, dziennikarze, i wy, komentatorzy. Mamy zaproponować jakąś interpretację w sytuacji wyjątkowej. Taka robota.

A mój pierwszy odruch był taki, żeby dotknąć czegoś realnego, na przykład spędzić ten czas z dziećmi, pobawić się z nimi klockami na podłodze. I nie miałem wcale wrażenia, że uciekam. To była chyba zdrowa reakcja wobec irracjonalnej nagiej przemocy, która się wydarzyła. Nie chciałem od razu przechodzić do interpretacji, do tych wszystkich pytań: „Kto winien?” i „Co z tą Polską?”.

W „Tygodniku” napisaliśmy podobnie.

Pomilczmy, złapmy dystans, wyjdźmy z przypisanych nam ról, zobaczmy nie tylko „ich”, ale i „siebie”. Posypały się komentarze, że to przyzwolenie. Że nie czas na milczenie. Że trzeba krzyczeć.



Tak, słyszałem te głosy. Były też takie, że w niedzielę skończył się w Polsce „symetryzm”, cokolwiek to znaczy. Bo teraz jedni mają krew na rękach i o tym nie można milczeć. A jak pomilczysz, to też masz krew na rękach.

Można powiedzieć, że jeśli utrzyma się ta dynamika, którą mamy dotychczas, to zamordowanie Pawła Adamowicza nie zmieni nic. Przeciwnicy PiS już wcześniej poruszali się w logice „Kto nie z nami, ten przeciw nam”. Jedyne, co się zmieni, to że teraz będą mogli zastrzyć swój argument i oprzeć go na krwi bezbronnego polityka. W tym sensie nieprawdziwa jest również inna popularna teza, że oto jako społeczeństwo przekroczyliśmy granicę, za którą już nie będzie takie samo. Problem w tym, że zazwyczaj twierdzą to osoby, które chcą powiedzieć: „Wreszcie mamy dowody na to, co mówimy od lat”.

Zginął człowiek.

Dlatego powinniśmy spróbować wywrwać się z naszych ról i politycznych uwikłań. Stać w autentycznej naiwności i przeciwiczyć się w byciu uczciwym, dociekliwym obywatelem, któremu nie jest wszystko jedno.

Dlaczego więc zginął Paweł Adamowicz?

Stawiając takie pytanie, natrafiamy natychmiast na wątpliwość: jak ocenić motywacje człowieka, który go pozbawił życia. Ale jak to zrobić? Przecież nie jestem psychiatrą. Szukając odpowiedzi na to pytanie, dotarłem do dwóch wypowiedzi. Przeczytam je, żeby pokazać sedno problemu, w którym się znaleźliśmy.

Dobrze. Wypowiedź pierwsza.

Jej autorem jest doktor Jerzy Pobocha, były prezes Polskiego Towarzystwa Psy-

chiatryi Sądowej, z 30-letnim doświadczeniem pracy w aresztach śledczych. Zaimprowizował się m.in. nożownikami w Rzeszowie [w ostatnich latach w stolicy Podkarpacia doszło do serii tego typu ataków – red.]. Nie znam się na psychiatrii, ale myślę sobie, że jest wiarygodny. Na dodatek tę jego wypowiedź znalazłem w portalu Na-Temat.pl – czyli nie w żadnej pisowskiej propagandzie.

Co mówi Pobocha?

On mówi tak: „działania tego człowieka nie da się wytłumaczyć racjonalnie. Jeśli ktoś po dokonaniu takiego czynu się śmieje, to jest to objaw schizofrenii. Nazywa się to paratymia”. Dalej ten sam dr Pobocha mówi, że to zupełnie inna sytuacja niż zamach na biuro poselskie PiS w Łodzi sprzed kilku lat. Bo tam zamachowca był doskonale świadom tego, co robi. To był czysty fanatyzm polityczny. Natomiast obrazki z Gdańska „można pokazywać studentom jako kliniczny przykład zaburzeń psychicznych”. Pobocha dochodzi więc do wniosku, że śmierć Adamowicza to był tragiczny, ale jednak przypadek. Jego zabójca chciał zaistnieć i zaatakować ważną osobę. A najważniejszą osobą był prezydent.

Poproszę teraz o drugą wypowiedź.

Szukałem dalej, bo nie chcę poprzestać na jednej opinii. Trafiam na stanowisko Polskiego Towarzystwa Psychoanalizy, które na swoim Facebooku pisze tak: „Nie znając intencji zamachowca nie można nic powiedzieć”. Ale zarazem czytamy, że „najważniejsi politycy partii rządzącej, członkowie rządu, posłowie, senatorowie wraz z hierarchami Kościoła katolickiego głosili słowa nienawistne i pogardliwe wobec Jurka Owsiaka oraz Pawła Adamowicza”. I na koniec „kto sze-

rzy mowę nienawiści, ten jest moralnie odpowiedzialny za czyny motywowane nienawiścią”.

Jakie Pan wyciągnął wnioski?

Dostałem krańcowo sprzeczne osądy. Jako dociekliwy, pełen dobrej woli obywatel jestem bezradny. Zaczynam rozumieć, że muszę znaleźć inny sposób na zrozumienie tej tragedii. Niestety, większość tego, co oferuje mi opinia publiczna, to wpisanie jej w szerszą polityczną opowieść. To próba wpisania tego chaosu w znane kategorie, przetłumaczenia ich na język, do którego jesteśmy przyzwyczajeni, czyli język codziennego sporu politycznego.

Tomasz Stawiszyński w tekście „O potrzebie powściągliwości” opublikowanym przez „Krytykę Polityczną” celnie zauważa, że próbujemy w ten sposób „wyegzorcyzmować bezsensowny, absurdalny charakter tego czynu. Usunąć z pola widzenia zbrodnię, której ofiarą w każdej chwili może paść każdy z nas i której chaotyczny, bezładny charakter budzi bodaj równie silne przerażenie, co jej tragiczne skutki. Zamiast tego wszystkiego dostajemy zbrodnię, która potwierdza naszą wizję rzeczywistości”.

Takie ramy to zawsze jakaś pociecha.

Tak by mogło być. Ale nasze elity polityczne musiałyby zareagować jak w Norwegii po zamachu Breivika [w 2011 r. Anders Breivik dokonał dwóch zamachów. Na siedzibę premiera Norwegii i na obóz młodzieżówki Partii Pracy. Zabił 72 osoby – red.]. Tam też był ogromny potencjał na opowiedzenie tej historii w kategoriach nowych lat 30. i nacjonalistów, którzy znów strzelają do lewaków. Ale Norwegom udało się przeciwstawić temu inną opowieść. Opowieść o przekroczeniu





Kadry z animacji Barbary Piel, emitowanych przez TVP Info w programie „Minęła 20” od września 2017 r. Po emisji ostatniego odcinka z Hanną Gronkiewicz-Waltz i Jerzym Owsiakiem władze TVP 12 stycznia zawiesiły prowadzącego program Michała Rachonia.

→ granicy przemocy, która jest niedopuszczalna. Niezależnie od tego, jakie motywacje nią kierują. W tym sensie Norwegom udało się spuścić z Breivika polityczne paliwo. I zrobić z tego atak na wspólnotę i jej zasady.

Może w Polsce też się tak da?

Dałoby się. Ale to by wymagało od elit politycznych gestów w stylu, o jakim mówiłem na początku. Zamiast tego mamy jednak polityczny patostreaming.

Co to jest?

To dość świeże zjawisko ze świata internetu. Polega na tym, że ludzie robią w internecie rzeczy głupie, oburzające i prowokujące.

Jeden patostreamer wyrzuca oknem wartościowe przedmioty i to nagrywa, a znów inny zamieszcza filmy z alkoholowych imprez albo poniżej członków swojej rodziny live – pisaliśmy o tym dopiero co w „Tygodniku”.

Sedno sprawy polega na tym, że oni doskonale wiedzą, że robią rzeczy oburzające, niesmaczne i prowokujące. To precyzyjnie skonstruowana psychologiczna zależność. Bo przecież większość oglądających ogląda to właśnie dlatego, że łapie przynętę. Oglądając mówią, że widzą, jakie głupie i prowokujące rzeczy oni robią. I potem jest 1,5 mln odsłon takiego filmiku. Co z kolei daje youtuberom od patostreamingu motywację, w tym również tę bardzo konkretną, finansową, by robić kolejne filmiki. Dla mnie patostreaming już jakiś czas temu stał się metaforą dzisiejszej polskiej polityki i publicystyki.

Jak to działa?

Drobny fakt z ostatnich dni. Jarosława Kaczyńskiego nie było na sali obrad Sejmu w chwili, gdy Grzegorz Schetyna poprosił o minutę ciszy dla Adamowicza. Nie wydaje mi się, by Kaczyński żywił nienawistne uczucia wobec Adamowicza. Wobec Tuska pewnie żywi. Ale Adamowicz nie był konkurentem z jego politycznej ligi. A jednak to zrobił. Jednak nie przyszedł. Dlaczego? Na tyle, na ile znam Kaczyńskiego, wydaje mi się, że zrobił to absolutnie na zimno. Wiedział doskonale, jak ta nieobecność rozsierdzi tych, którzy go nienawidzą. Wiedział, że nieprzychylnie mu media będą się w tym pławić przez następne godziny, a może nawet dni. Kaczyński nie robi tego po raz pierwszy. On tak właśnie od lat buduje swoją pozycję. Prowokuje ludzi, którzy go nienawidzą, do jeszcze większej nienawiści. Nie musi nawet nic mówić – sam zarządza nienawiścią wobec siebie.

To słynne „milczał nienawistnie”...

No właśnie, nic nowego. Przez wiele lat na prawicy podobną panikę moralną wywoływały gesty Donalda Tuska. To też miało swoją nazwę – Tusk lubił od czasu do czasu przywalić prętem w kraty klatki. Żeby sobie te pisiory trochę powrzeszczały. Kaczyński robi teraz to samo z anty-PiS.

Niedobrze to świadczy o naszych liderach.

To zbyt łatwe. Bo czy popularność patostreamingu to problem samych youtuberów i ich dziwnych pomysłów? Czy może raczej publiczności? Bo mnie się wydaje, że dużo sensowniej byłoby odwrócić soczewkę i się zastanowić, co polityczny patostreaming mówi o jego widzach. Czy nie

jest tak, że wszyscy ci, co chcą dziś walczyć z bliżej nieokreśloną „mową nienawiści”, powinni zacząć od prostej zasady: nie reaguj na zaczepki, nie kopiuj i nie rozpowszechniaj nienawistnych wpisów z forów! Spróbuj jednak zaproponować tożsamościowym mediom liberalnym, by przestały się tak ekscytować Kaczyńskim i stworzyły własną, niezależną od niego narrację. Przestańcie co dnia pompować balonik z napisem „Trump to idiota”, bo was samych to rozbraja. Pogódźcie się z tym, że Trump, Kaczyński i ci wszyscy znienawidzeni politycy istnieją i mają prawo funkcjonować w przestrzeni publicznej. Uświadomcie sobie, że to jest nawet w waszym interesie. Inaczej uruchamia się mechanizm: nie lubię establishmentu, establishment nie lubi Trumpa, więc automatycznie zaczynam czuć sympatię do Trumpa. To się wydaje oczywiste. Gdy to mówię, wręcz banalne. Ale zgadnijmy, co odpowiedzą, kiedy to usłyszą.

Że sprzyjasz i ocieplasz wizerunek tych złych?

Tak. Bo nienawiść w przestrzeni publicznej nie zaczyna się od tego, że Kaczyński używa jakichś słów albo gestów. Kaczyński może nimi prowokować, bo tak naprawdę jest swoim wrogom potrzebny. Jako zwornik politycznych albo kulturowych koalicji przeciw nim. Z Tuskiem na prawicy jest podobnie. Nienawiść do niego ich spaja. Nigdy się do tego nie przyznają. Ale tak jest. Tak działa w praktyce polityka tożsamościowa. Takie spustoszenie przynosi. Odbiera nam wolność.

Tożsamościowy patostreaming?

Polityka tożsamościowa głosi, że jak „tamci” znikną, to wszystkie problemy się

rozwiąza. Ona jest kłamstwem na dwóch poziomach. Po pierwsze, „tamci” nie znikną. Po drugie, nawet jak znikną, to problemy nie zostaną rozwiązane. W sobotę mieliśmy kongres Klubu Jagiellońskiego. Przyjechał Andrzej Zybertowicz i zaczął przekonywać, że wszystko byłoby dobrze, gdyby Platforma nie była tak bardzo uzależniona od Niemiec i Brukseli. W tak ustawionej polityce zawsze będzie coś nie tak. Zawsze wróg będzie nam mieszał szyki. Zawsze będzie się gdzieś odradzał.

Da się z tego wyjść?

Nie wiem. Mogę powiedzieć, czego mnie w tych ostatnich dniach brakowało i brakuje. Otóż brakuje mi autentyczności. Ja wiem, że jak jesteś osobą publiczną – politykiem czy komentatorem – to musisz sobie zbudować publiczny awatar swojej osoby i złapać do niej dystans. Inaczej się wykończysz i będziesz brał wszystko do siebie. A tak na awatarze skupia się hejt, a ty potem zdejmujesz maskę i nieskalany wracasz do domu, by z dziećmi przystroić choinkę przed świętami. Awatar i realna osoba zazwyczaj się ze sobą nie spotykają. Są jednak takie momenty, jak śmierć Pawła Adamowicza, gdy zabito prawdziwą osobę, a nie jej publicznego awatara. On naprawdę nie żyje. I adekwatną reakcją powinno być rozszczelnienie tego pancerza publicznego, wyjście z ról.

Tak się nie stało?

Nie. Awatar prezydenta Andrzeja Dudy zrozumiał, że dobrze będzie stanąć na czele marszu. Awatar Schetyny się nie

zgodził przyjąć, bo zrozumiał, że zostanie wciągnięty w grę, która nie pasuje do jego planów. Awatar Kaczyńskiego nie był w Sejmie w trakcie minuty ciszy, czym doprowadził publikę do wrzenia. Logika systemu zwyciężyła. Mnie brakuje gestu, który by pokazał, że jest napięcie pomiędzy awatarem a prawdziwym człowiekiem. Moment prawdy pokazujący, że pod publicznymi wizerunkami ciągle są autentyczni ludzie.

Czy to może nastąpić?

Nie nastąpi. Ale nie dlatego, że Schetyna czy Kaczyński są złymi ludźmi. Właśnie z powodu patostreamingu polskiej polityki. Schetyna, choćby chciał, nie może powiedzieć PiS, że śmierć Adamowicza to nie jest ich wina. Bo swoi go przecież zmiotą, a przeciwnicy zaczną się doszukiwać w geście pułapki. Ukrytego drugiego dna. Podobnie jest z PiS. Można niemal na pewno założyć, że gdyby Kaczyński zdecydował się na gest dobrej woli, o którym mówiłem na początku, i wziął na siebie część odpowiedzialności, zostałoby to uznane przez jego obóz za oznakę słabości. „Widocznie mają coś na sumieniu, boją się” – zakrzyknęliby z kolei przeciwnicy. Kaczyński to wie. I dlatego gestu nie będzie chciał wykonać. I to jest w tej naszej sytuacji najsmutniejsze: nawet wstrząsające doświadczenie nie może nami wstrząsnąć, bo nasze awatary grają nami.

Rady?

Im dłużej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, który mnie samego

najbardziej zaskakuje. Od wielu lat należą przecież do środowiska, które głosi pochwałę polityczności. Mówi o tym, że spór o sprawy publiczne jest dobry i potrzebny.

Już Pan tak nie uważa?

Uważam. Dziś jednak jedynym sposobem, jaki widzę, by obronić swoją wolność przed walcami każdego z plemion, jest maksymalnie zdystansować się od bieżącej polityki. Jeśli obie strony nie rozumieją, że sytuacja stała się tak poważna, że każdy powinien zrobić krok w tył, bez oglądania się na „tamtych”, to *sorry*, panowie i panie, nie nadajecie się do rządzenia naszym krajem.

© P Rozmawiał RAFAŁ WOŚ



MATEUSZ SKWARCEK / AG

KRZYSZTOF MAZUR jest doktorem nauk politycznych; pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim; członek Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP oraz Rady Narodowego Centrum Badań i Rozwoju; były Prezes Klubu Jagiellońskiego; twórca wielu projektów społecznych (m.in. Akademii Nowoczesnego Patriotyzmu); prowadzi youtube'owy kanał #KluboTygodnik Mazura.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabi, Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Janowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczyńska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziwilt-Meller, Szymon Hołownia, Jan Kłata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłotkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłiska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczyńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

Z najgłębszym smutkiem i żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

ś.†P.

Pawła Adamowicza

To wielki szok i ogromna strata,
którą niełatwo przyjąć do wiadomości.

Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy współczucia oraz słowa otuchy
i wsparcia w trudnych chwilach.
Zapewniam, że Kraków jest z Państwem myślami...

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA

Nasz Prezydent nie żyje.
Został zabity.
Jesteśmy smutni, osamotnieni, rozgoryczeni.
Jednak pozostajemy wierni
otwartej postawie wolności i solidarności

ś.†P.

Pawła Adamowicza

Prezydenta Gdańska,
Prezydenta Kultury,
nieodżałowanego Przyjaciela
naszego teatru.

Łączymy się w bólu z Rodziną,
Przyjaciółmi,
wszystkimi pogrążonymi w żałobie

DYREKCJA I ZESPÓŁ
MIEJSKIEGO TEATRU MINIATURA
W GDAŃSKU

Do głębi poruszeni tragiczną śmiercią

ś.†P.

Pawła Adamowicza
Prezydenta
Miasta Gdańska

Rodzinie i Najbliższym
składamy
najszczerze wyrazy współczucia.

Dziękujemy za Gdańsk,
w którym o wolności i solidarności
mówi się także językiem sztuki.

ZESPÓŁ
INSTYTUTU KULTURY MIEJSKIEJ

Naczelna Rada Adwokacka z największym żalem przyjęła wiadomość o śmierci

Pawła Adamowicza

Prezydenta Gdańska

Wielokrotnie dawał On dowód przyjaźni wobec Adwokatury Polskiej. Często był gościem wydarzeń organizowanych przez gdańskie środowisko adwokackie, m.in. uczestniczył w Krajowym Zjeździe Adwokatury w 2010 r. Rozumiał, czym jest zawód adwokata i istota samorządu adwokackiego. Mówił, że samorządy zawodów zaufania publicznego na równi z samorządem terytorialnym tworzą podstawy społeczeństwa obywatelskiego.

W październiku 2018 roku Prezydent Paweł Adamowicz uczestniczył w debacie towarzyszącej odsłonięciu tablicy na murach Stoczni Gdańskiej poświęconej adwokatom zasłużonym dla wolnej i niepodległej Polski. Tablica została zamieszczona również dzięki wsparciu Prezydenta Adamowicza. „Na murze Stoczni brakowało waszej tablicy. Nie tylko broniliście działaczy, broniliście ludzi niewinnych. Ta tablica będzie ważnym znakiem waszej tożsamości zawodowej” – mówił wówczas Paweł Adamowicz, dodając, że adwokat z natury rzeczy ma bronić jednostki przed aparatem państwa.

Prezydent Paweł Adamowicz już na zawsze pozostanie wzorem samorządowca, który poświęcił życie służbie społeczeństwu, idei samorządności oraz miłości do swojego miasta. To właśnie o Gdańsku i jego mieszkańcach mówił w ostatnich słowach – nazwał to miasto najcudowniejszym na świecie, a gdańszczanom dziękował za okazaną podczas Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy solidarność i szczodrość. Paweł Adamowicz pozostanie także symbolem powszechnego sprzeciwu wobec przemocy i nienawiści, będziemy Go pamiętać jako postać inspirującą i zobowiązującą do działań na rzecz dobra.

Adwokaci dedykować Mu będą swoje działania edukacyjne, skierowane w szczególności do młodzieży szkolnej, na rzecz zatrzymania mowy nienawiści.



ADW. JACEK TRELA
PREZES NACZELNEJ
RADY ADWOKACKIEJ

Głęboko zasmuceni
żegnamy przyjaciela
naszego
trójmiejskiego klubu

ś†P.
**Pawła
Adamowicza**
Prezydenta
Gdańska

Składamy
wyrazy współczucia
Bliskim Zmarłego.

CZŁONKOWIE KLUBÓW
„TYGODNIKA
POWSZECHNEGO”

Żywi zamykają oczy zmarłym, zmarli otwierają oczy żywym.

Trudno znaleźć słowa, aby wyrazić smutek po wiadomości,
która 14 stycznia nadeszła z Gdańska:

Prezydent Paweł Adamowicz

zaatakowany podczas finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy,
zmarł mimo heroicznych wysiłków lekarzy.

Niedowierzanie, przygnębienie i gorycz bezsilności zagościły w wielu sercach,
łącząc miliony ludzi w żałobie. Wydarzenie, będące na całym świecie
synonimem bezinteresownej pomocy najbardziej bezbronnym
(noworodkom, niemowlętom, pacjentom onkologicznym, seniorom),
stało się źródłem niewyobrażalnego bólu
oraz iskrą do walki z agresją i mową nienawiści.

Wiem, że żadne słowa nie ukoją cierpienia osób doświadczających poczucia straty,
nie możemy sobie jednak pozwolić na zupełny brak reakcji.

Tego dnia Polska utraciła wybitnego samorządowca,
gdańszczanie cenionego i szanowanego gospodarza, a najbliżsi – członka Rodziny.
Jego ofiara nie powinna pozostać niezauważona.

Składam serdeczne wyrazy współczucia
Rodzinie Prezydenta,
jego Przyjaciółom i Współpracownikom
oraz mieszkańcom Gdańska.

PREZYDENT TARNOWA, ROMAN CIEPIELA

Drogi Pawle, nasz Przyjacielu!

My, prezydenci, burmistrzowie i radni polskich miast, oddajemy Tobie hołd, hołd dla tego wszystkiego, co zrobiłeś nie tylko dla swojego ukochanego Gdańska, ale i dla naszych miast dzieląc się swoją wiedzą samorządową i doświadczeniem.

Chylimy czoła przed wielkim dziełem Twojego życia! Twoją walką o demokratyczną Polskę w latach 80. oraz realizacją wizji nowoczesnego, pięknego, wielkiego, europejskiego Gdańska.

Ale teraz, w tych niezwykle trudnych dniach widzę, że najważniejsze, co dla nas zrobiłeś, to fakt, że zbudowałeś wspólną wspólnotę gdańszczan i Polaków, których setki tysięcy, a nawet miliony Cię z nami żegnają! Stworzyłeś z nas rodzinę, w której jest miejsce dla każdego.

Ze swojego domu, z historii Gdańska, ze swojej głębokiej wiary chrześcijańskiej wyniosłeś bezwarunkową potrzebę miłości i szacunku wszystkich ludzi, niezależnie od poglądów, koloru skóry, wyznania czy orientacji.

Ponownie rozślawiłeś Gdańsk w Europie, na świecie jako miasto wolności i solidarności, gościnne dla każdego. Zawsze gotowe pomagać słabszym i potrzebującym, Polakom na wschodzie, mieszkańcom innych miast doświadczonych kataklizmami, a szczególnie imigrantom.

I takie nasze miasta otwarte na potrzeby innych, pozbawione uprzedzeń i nienawiści, taką Polskę prawdziwie demokratyczną, europejską jak Twój Gdańsk, bez dzielenia na lepszych i gorszych Polaków – my chcemy i obiecujemy Tobie, nasz Przyjacielu, budować!

Panie Prezydencie, Pawle! Niech Twój duch miłości, wolności i solidarności, duch Gdańska, pozostanie zawsze z nami!

JACEK KARNOWSKI, PREZYDENT MIASTA SOPOTU

Z ogromnym smutkiem
żegnam

ś.†P.

Prezydenta
Pawła Adamowicza

Dobrego człowieka,
doświadczonego samorządowca
i przyjaciela Wrocławia.

Najgłębsze wyrazy współczucia
Żonie i Najbliższym

składa

JACEK SUTRYK
PREZYDENT WROCŁAWIA

Z ogromnym smutkiem
żegnamy tragicznie zmarłego
14 stycznia 2019 r.

ś.†P.

Prezydenta
Pawła Adamowicza

prawnika, opozycjonistę, samorządowca,

wieloletniego wóldarza Gdańska,
który łączył w swych działaniach
dziedzictwo kolebki Solidarności
z wielokulturowym dorobkiem Wolnego Miasta
i otwarciem na wspólne europejskie wartości.

Człowieka otwartego i życzliwego.

Dziękujemy za świadectwo obywatelskiego zaangażowania
oraz inicjatywy, które napędzały nas nadzieją,
że polityka może być zarazem skuteczna i głęboko ludzka.

PRZYJACIELE
Z MIESIĘCZNIKA I WYDAWNICTWA ZNAK

„Nietolerowanie” drugiego człowieka tylko ze względu
na jego biologiczne pochodzenie jest ciemnym
zaułkiem myślowym: wkracza się na teren, gdzie
kończy się wszelkie rozumowanie, gdzie gasną światła
w umyśle ludzkim.

Ks. Stanisław Musiał, Czarne jest czarne



pamięć leczy rany

Najlepsze teksty o najtrudniejszej relacji

Wydanie specjalne „Polska Żydowska” **już w sprzedaży**
w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą
oraz w e-wydaniu na powszech.net/polskazydowska

weź, czytaj!

PAWEŁ

Śpiewak: *Jak żyd czyta Torę?*



TAKIE PYTANIE POSTAWIŁ MI ARCYBISKUP Grzegorz Ryś i do tego domagał się porządnej publicznej wypowiedzi. Oczywiście zadzwoniłem do kilku prawowiernych żydów (z małej litery) i zadałem im to samo pytanie. Nie tylko dlatego, że dobrze jest z kimś

mądrym porozmawiać na poważny temat, ale też dlatego, że każdy może mieć swoje zdanie. Wszak dochodzimy do dobrych odpowiedzi wtedy, gdy stoi za tym nie tylko własne doświadczenie, ale też dobra rozmowa.

Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to że żyd czyta Torę długo. Stale do niej powraca. To nie jest książka czy zbiór ksiąg, które wystarczy raz czy nawet kilka razy przeczytać. Ci, co regularnie chodzą do synagogi, w szabat słyszą co roku w tym samym porządku kolejne części Tory zwane parszami. Raz słucha ich uważnie, czasem zapamiętuje jedno zdanie czy obraz. Żyd czyta Torę przez lata i przez lata słucha lub sam udziela innym lekcji, jak rozumieć poszczególne słowa, formuły. Można powiedzieć, że nie tyle powraca do Tory, co się w niej zadamawia i nią odczuwa świat.

Żyd czyta Torę, nie bacząc na to, czy jest ona historycznie prawdziwa. Nie jest to księga historyczna w naszym rozumieniu tego pojęcia. Jest dzisiaj wystarczająco dużo danych po temu, by stwierdzić z dużym prawdopodobieństwem, że nie było czegoś takiego jak masowe wyjście z Egiptu. Nie było w związku z tym zdarzenia takiego jak przejście przez Morze Czerwone. Na pewno stoi góra Synaj – Horeb, ale czy tam została dana Tora, nie wiemy. Z różnych fragmentów samej Biblii dowiadujemy się, że różne części Tory powstały wiele set lat po opisanych wydarzeniach. Podobno za czasów króla Jozjasza w trakcie remontu Świątyni znaleziono Księgę Powtórzonego Prawa. Może to oznaczać, że wtedy ją napisano i zaczęto kierować się jej wskazaniem. Nie traktujemy więc Tory inaczej niż księgę o rozwoju religii i ludu, który poświadcza prawdę Objawienia. Jest w niej opis dziejów, acz zapewne wydarzeń uporządkowanych na osi czasu, którą nam Bóg wytycza. Wielu badaczy Biblii wskazuje na szereg warstw historycznych i językowych Tory. To też nam sugeruje, że powstawała czy była redagowana w długim czasie i że swój ostateczny kształt zyskała wiele set lat po tym, jak umarł król Dawid. Ale to, że nie daje się jej treści uzgodnić z wynikami badań archeologicznych, nie zmienia jednego faktu – traktujemy te treści w swojej lekturze jako zamkniętą, niezmienną całość, w której ważna jest każda litera, każde słowo, każde zdanie, i chcemy je pojąć przez konteksty, w jakich zostały użyte. Tak się zaczyna moja odpowiedź na pytanie arcybiskupa. Choć jeszcze nie doszedłem do najważniejszego. Żyd ma przed sobą dwie Tory: spisaną i ustną, na którą składają się interpretacje mędrców, midrasze, a przede wszystkim nasze życie. Ono najmocniej oświeca sensy tej Księgi. O tym za tydzień. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Namaszczeni*



PO CZTERDZIESTODNIOWYM POBYCIE NA pustyni, swego rodzaju wielkich rekolekcjach, Jezus „przyszedł też do Nazaretu, gdzie się wychował. Zgodnie ze swym zwyczajem wszedł w dzień szabat do synagogi i wstał, aby czytać. Podano Mu zwój proroka Iza-

jasza. Gdy go rozwinął, znalazł miejsce, gdzie było napisane: »Duch Pana nade mną, bo mnie namaścił, abym ubogim głosił dobrą nowinę. Posłał mnie, abym ogłosił więźniom wyzwolenie, a niewidomym przejrzenie, abym zniewolonych uczynił wolnymi, abym ogłosił rok łaski od Pana«. Zwinął zwój, oddał go słudze i usiadł. A oczy wszystkich w synagodze były w Nim utkwione. Zaczął więc mówić do nich: »Dzisiaj wypełniło się Pismo, które słyszeliście«».

My postępujemy podobnie. W niedzielę, a i w tygodniu, też idziemy do naszych synagog, czyli kościołów, czytamy Biblię i rozważamy, żeby usłyszeć, co mówi Duch Boży. A mówi nie tylko przez biblijne teksty. Chodzimy do kościoła, gdyż również jesteśmy namaszczeni Duchem Świętym, a to znaczy, że idąc za przykładem Jezusa widzimy, w jaki sposób prorocтва spełniają się w naszych czasach.

Tej umiejętności nie nabywa się automatycznie. Owszem, sakrament, czyli Jezus, działa niezależnie od kondycji sprawującego sakramenty, ale czy to działanie będzie skuteczne, zależy w dużym stopniu od naszej współpracy z Jezusem. A na to trzeba wysiłku i czasu. Ten proces trafnie ujął Ignacy z Loyoli: „Tak Bogu ufaj, jakby całe powodzenie spraw zależało tylko od Boga, a nie od ciebie; tak jednak dokładaj wszelkich starań, jakbyś ty sam miał to wszystko zdziałać, a Bóg nic zgola”. Nie znaczy to, że Bóg jest bezsilny wobec naszej woli. Znamy przecież przypadki, kiedy Bóg zwała człowieka z nóg czy też zrzuca z konia, jak Piotra Apostoła na dziedzińcu arcykapłańskiego pałacu czy Pawła z Tarsu pod murami Damaszku. Zwykle jednak chrzest to dopiero początek. Nowymi ludźmi stajemy się w trakcie procesu, który nazywamy życiem.

Podczas chrztu otrzymaliśmy od Boga i rodziców miejsce w Kościele, w społeczności wierzących i przy stole Pańskim, ale co z tego wyniknie, zależy od nas. Dobrą okazją na taki sprawdzian są wydarzenia czy stwierdzenia, które zaskakują, wydają się niemożliwe, gorszące, piekielnie złe. Na przykład takie stwierdzenie: nie trzeba święceń, żeby udzielać sakramentów. Jak to, przecież sakramentów udzielać może tylko duchowny. Nie zawsze i niekoniecznie duchowny. Chrztu, sakramentu pierwszego i podstawowego, w nagłych przypadkach może udzielić każdy człowiek, również ateista, byleby chciał robić to, co Kościół w takim przypadku robi. Następnie sakrament małżeństwa, którego w Kościele rzymskokatolickim nie udzielają przecież duchowni, ale narzeczeni. Rozpoczynają sprawowanie sakramentu w kościele, ale dopełniają już w domu, a to znaczy, że świeccy to też duchowni. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Dzień kuszenia

Miły Bogu człowiek nie wini nikogo za własne grzechy – i to właśnie jest oznaką duszy, która dostępuje zbawienia.

**PRZYPISYWANE
ANTONIEMU WIELKIEMU**



Nie widziano jeszcze, by ktoś był nieszczęśliwy z tego powodu, że nie zajmuje się tym, co się dzieje w duszy innego człowieka. Ci zaś muszą być nieszczęśliwi, którzy nie śledzą z rozwagą drgnień duszy własnej.

MAREK AURELIUSZ



Wybrał PIOTR SIKORA



LIST DO HEBRAJCZYKÓW, który czytamy ostatnio jako pierwszą lekturę w codziennej Eucharystii, przyniósł nam ostatnio – wraz ze swoim komentarzem – fragmenty Psalmu 95. W liturgii, w modlitwie i w duchowości naszego Kościoła ten psalm zajmuje bardzo ważne miejsce. W modlitwie brewiarzowej zasadniczo zaczynamy każdy dzień odmawiając ten właśnie psalm – można powiedzieć, że przy jego pomocy „Pan otwiera nasze usta” każdego poranka – po milczeniu snu i nocy.

Modłę się więc tym psalmem – niemal dzień w dzień – ponad trzydzieści dwa lata, a dopiero teraz przemówił do mnie dramatycznym napięciem, wobec jakiego nas stawia na otwarcie każdego kolejnego dnia naszego życia. Napięcie to wpisane jest w sformułowanie „dzień kuszenia”: „dziś, jeśli głos Jego usłyszycie, nie zatwardzajcie serc waszych (...), jak w dzień kuszenia na pustyni” (Hbr 3, 7-8; por. Ps 95, 7-11).

„Dzień kuszenia na pustyni”. Kto był kuszony na pustyni? Zwykle myślimy, że Izrael. Ale Psalm mówi nam, że to Bóg był kuszony na pustyni – był kuszony przez... Izrael: „gdzie mnie kusili wasi Ojcowie”, i objaśnia: „wystawiali Mnie na próbę, choć widzieli Moje dzieła”.

Kuszenie Boga. Wystawianie Go na próbę. A więc pokazanie Bogu: „Nie! Nie ufam Ci! Udowodnij, że masz rację, i że mnie kochasz”. Albo lepiej: „Zmień swoje postępowanie wobec nas! Zostawiłeś nas bez wody..., umieramy z pragnienia i głodu..., czy Ty potrafiś zastawić stół na pustyni?”.

Kuszenie Boga – stwierdza Psalmista – powtarzanie Mu, że Mu nie ufam, że nie dowierzam Jego miłości, albo wymuszanie na Nim korekcji planów Jego Opatrzności i Miłosierdzia względem mnie – zatwardza serce. Przetrąca w nas możliwość miłowania Boga. Moje serce zamyka się na Niego, a w końcu już samo gubi się w rozeznanie tego, co kocha: „Zawsze myślę się w sercu”, i dlatego też „nie rozpoznają Moich dróg” (bo te jedynie sercem można rozeznac – por. Hbr 3, 10).

„Dzień kuszenia” – stwierdza Psalm, a za nim autor Listu do Hebrajczyków – trwa ciągle, każdego dnia, dziś: „Dziś, jeśli głos Jego usłyszycie...”.

Dziś – każdego dnia – o poranku, kiedy ów Psalm otwiera mi najpierw uszy, a potem usta – stoję przed decyzją: muszę wybrać między moją miłością do Boga a kuszeniem Boga. Potrzebuję wybrać: Wulgata przekłada słowa psalmu podkreślając rangę ludzkiego chcieć lub nie chcieć – w dosłownym tłumaczeniu łacińskiej wersji odpowiedni fragment brzmi: „Dziś, jeśli usłyszycie Jego głos, nie chcecie zatwardzać serc waszych” (*nolite obdurare corda vestra*).

Nie chodzi o emocje – takie czy inne odczucia. Chodzi o decyzję woli: „nie chcieć”. Od tej decyzji zależy, co stanie się ze mną „dzisiaj” (każdego kolejnego dnia): albo pomnoży się we mnie umiejętność miłości, albo postąpi we mnie przerażający i obezwładniający proces zatwardzania serca. Mogę powiedzieć Bogu: „Kocham Cię!”, mogę również powiedzieć: „Nie ufam Ci! Twoje drogi mi nie odpowiadają”.

To pierwsza decyzja każdego dnia. Albo „kuszenie Boga”, albo komunika z Nim. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (27 I – 3 II)

3. niedziela zwykła: Ne 8, 1-4a. 5-6. 8-10;

Ps 19; 1 Kor 12, 12-30; Łk 1, 1-4; 4, 14-21;

Poniedziałek: Hbr 9, 15. 24-28;

Ps 98; Mk 3, 22-30;

Wtorek: Hbr 10, 1-10; Ps 40; Mk 3, 31-35;

Środa: Hbr 10, 11-18; Ps 110; Mk 4, 1-20;

Czwartek: Hbr 10, 19-25; Ps 24; Mk 4, 21-25;

Piątek: Hbr 10, 32-39; Ps 37; Mk 4, 26-34;

Sobota, Święto Ofiarowania Pańskiego: Ml 3, 1-4;

Ps 24; Hbr 2, 14-18; Łk 2, 22-40;

4. niedziela zwykła: Jr 1, 4-5. 17-19;

Ps 71; 1 Kor 12, 31 – 13, 13; Łk 4, 21-30.

An aerial night photograph of Gdansk, Poland. In the foreground, a large heart shape is formed by thousands of small, warm-white lights on a dark surface. To the right, a large, illuminated model of a ship is visible. The background shows city buildings and streets with some light trails from traffic. A red square with the word 'KRAJ' is in the top center.

KRAJ

NASZ GDAŃSK

Oto miasto, jakie zapamiętamy.
Źródła jego niepowtarzalnej, dzisiejszej tożsamości.
Przez ponad dwie dekady współtworzył je Paweł Adamowicz.
Chcielibyśmy, by ten świat przetrwał,
mimo tego, co się stało 13 stycznia.

ANNA MACHCEWICZ, PAWEŁ MACHCEWICZ



DOMINIK WERNER / AGENCJA GAZETA

JEST WE WRZESZCZU ULICA WAJDELOTY, która przecina się z ulicą Grażyny. Nazwy znajome, ale architekturą przypomina niemiecki Bamberg. Dziewiętnastowieczne kamienice, skwery, mostki i kanały pamiętają dawnych mieszkańców miasta, którzy musieli je opuścić po przegranej wojnie. Nowe władze nadawały tym miejscom nazwy rodem z polskiej literatury romantycznej. Taka dosłowność w polonizowaniu Ziem Zachodnich miała oczywisty cel propagandowy, ale dla przybyszów musiała stanowić nić łączącą z własną tradycją. Wszystko wokół było przecież zupełnie inne, z gruntu obce. Musieli oswoić się z nowym miejscem do życia i zbudować społeczną tkankę.

W okolicach Wajdeloty całe dorosłe życie przemieszkała Stefania Cesarz. Przyjechała do Gdańska spod Krosna w 1948 r., zaraz po maturze. Morze przyciągało ludzi. Jej starszy brat Władysław przybył wcześniej – ukończył kurs w szkole morskiej i w pierwszy rejs, jako chłopiec okrętowy, popłynął „Batorym” do Nowego Jorku. Potem statkiem „Waryński” odbył rejs do Ameryki Południowej, pływał do portów europejskich. Wracał za każdym razem, choć nie brakowało okazji, by pozostać w wolnym świecie. Już podczas pierwszego rejsu kilku marynarzy wybrało Nowy Jork. Gdy brat wracał, chodzili na tańce i do restauracji.

Pewnego dnia jednak nie wrócił, a Stefania została wkrótce aresztowana. Najpierw spędziła tygodnie w gmachu Urzędu Bezpieczeństwa przy Okopowej, a potem miesiące w więzieniu przy Kurkowej, skazana, wbrew zdrowemu rozsądkowi, ale zgodnie z logiką terroru, „za brata”.

To jedna z dziesiątek tysięcy najrozmaitszych biografii powojennych mieszkańców miasta, jakie się odsłaniają przed historiami. Poznając je, my, przybysze ze stolicy, wrastaliśmy w Gdańsk. Opuściliśmy go w 2017 r.

Bliżej okna

W sercu miasta tkwi emblematyczna Stocznia Gdańska. Dziś jest cieniem samej siebie, ale na ogromnym niegdyś obszarze wciąż stoją ogromne hale. Starsze

Plac Solidarności w Gdańsku, pod pomnikiem Poległych Stoczniovców (w tle Europejskie Centrum Solidarności). Gdańszczanie czekają, by pożegnać Pawła Adamowicza. 17 stycznia 2019 r.

są ceglane, pamiętają czasy niemieckie, stocznie Schichaua, lata Wolnego Miasta. Powojenne są betonowe. Rano do pracy płynęły tu potoki ludzi. W latach 70., gdy zakład osiągnął maksymalne zatrudnienie, pracowało tam kilkanaście tysięcy robotników, majstrów, inżynierów, urzędników.

Od historycznej Bramy nr 2, tej, pod którą w grudniu 1970 r. padły strzały w stronę strajkujących, do najdalszej hali na wyspie Holm szło się około 20 minut. Stocznia produkowała nie tylko bohaterów, ale i nowoczesne statki, o czym dzisiaj zapominamy. Dla ludzi, którzy rozpoczęli strajk w 1980 r., ten złoty okres życia stoczni na początku lat 60., a potem w latach 70. stanowi nie mniej ważny fragment ich biografii niż sam udział w protestach i powstanie Solidarności. Marnotrawienie ich wysiłku przez złe zarządzanie było ważnym powodem protestu.

Strajkowanie tuż po wojnie nie było w Gdańsku popularne. Do 1948 r. w całym województwie, w przeciwieństwie do innych części Polski, odnotowano zaledwie siedem strajków. Tę niewielką liczbę, mimo istnienia przemysłu stoczniowego i dużej liczby robotników portowych, można tłumaczyć problemami, z którymi mierzyć się musieli ówczesni gdańszczanie. Zniszczone miasto zasiedlali przybysze ze wsi i małych miasteczek centralnej i południowej Polski, z Podlasia i Lubelszczyzny. Wyrazistą społeczność stanowili powojenni repatrianci ze wschodnich terenów II RP. Wszyscy zmagali się z brakiem mieszkań, fatalną aprowizacją, chorobami, z szerzącym się bandytyzmem. Jednocześnie trwała odbudowa miejsc pracy – stoczni, portów, zakładów przemysłowych. Wyczerpywało to energię społeczną, a wzajemne sieci i związki międzyludzkie dopiero musiały się odbudować. Na to potrzeba było czasu.

W marcu 1968 r. na dużą skalę zaproteutowali gdańscy studenci, ale niektórzy robotnicy uczestniczyli w zajściach na ulicach Wrzeszcza i znaleźli się wśród aresztowanych. W obronie zatrzymanego kolegi zastrajkowali robotnicy z brygady montażowej Wydziału W-2 w Stoczni Gdańskiej. Stało się to możliwe, bo w końcu lat 60. w Gdańsku dorosło pierwsze pokolenie, które odczuwało już wspólnotę miejsca. Ci nowi gdańszczanie byli stąd, znali się z podwórek, szkół, całkiem licznych uczelni wyższych, byli kolegami z zakładów pracy. Dochodzące do głosu ➔

→ pokolenie powojennego *baby boom* nie znało stalinizmu, strachu przed władzą i tajną policją. Bunt pokoleniowy z marca 1968 r. w Gdańsku miał specyficzne oblicze, bo w ulicznych starciach uczestniczyli nie tylko studenci czy młodzi robotnicy, ale i szczególnie liczni tutaj „prywaciarze”.

„Prywaciarzom” należą się osobne słowa, bo też stanowili o specyfice miasta w sposób o wiele bardziej wyrazisty niż gdziekolwiek w Polsce. W 1970 r. stoczniovcy porównywali swój byt nie do miasteczka czy wsi, z których wyszli, ale do stylu życia marynarzy, dokerów czy „prywaciarzy” właśnie.

Grudniowy protest w 1970 r. rozpoczął się na Wydziale Silnikowym, gdzie pracowali najlepiej wykształceni, cenieni majstrowie, mający o wiele więcej kontaktów ze światem niż pracownicy wykonujący proste czynności. To też ważna cecha Gdańska. Przemysł stoczniovcy wymagał kwalifikacji i stwarzał możliwość poznawania świata. Wyjątkowość portowego miasta nie oznacza tylko ułatwień w aranżowaniu ucieczki czy dostępu do świeżych pomarańczy, ale też wymianę wiedzy technologicznej i informacji o stosunkach panujących w tzw. wolnym świecie.

Tramwaj numer 8

Stocznia Gdańska nie tylko dominowała liczbą zatrudnionych nad innymi zakładami, ale stanowiła też centrum lokalnego organizmu społecznego. Kto nie pracował w stoczni, to na pewno miał tu zatrudnionego ojca, matkę, syna, wujka. To dlatego między innymi grudniowy dramat tak trwale wpisał się w pamięć miasta. Nieobecne w mediach, opowieści przekazywane z ust do ust żyły w pamięci ludzi.

Andrzej Kołodziej, który był jednym z bohaterów Wielkiego Strajku w 1980 r., jako młody chłopak przyjechał do Gdańska w połowie lat 70. i słyszał je od starszych stoczniovców, wychowywał się na nich i tak wrastał w miasto. Buntowniczych nastrojów z 1970 r. nie dało się ujarzmić mimo wpompowania pieniędzy w przemysł stoczniovcy i sporych podwyżek płac. Choć podstawowe powody kolejnego protestu w 1980 r. miały podłoże ekonomiczne, było przecież coś jeszcze. Protest dotyczył nadużyć władzy i ograniczania samodzielności robotników. Dla kolejnych generacji młodych przedsiębiorczych ludzi, którzy przybywali na Wybrzeże w poszukiwaniu lepszego ży-

cia, było to jeszcze bardziej oczywiste niż dla poprzednich. Nie musieli już wznosić miasta z gruzów.

Te zmiany obserwował gdański socjolog Marek Latoszek. Dostrzegł rosnący poziom życia, ale i rosnące nierówności. Najwyższe wynagrodzenia mieli robotnicy zatrudnieni przy bezpośredniej produkcji, po części w dodatkowym, lepiej płatnym czasie pracy. Miało to swoją cenę: robotnicy czekali czasem beczynnie w godzinach pracy, a nadgodziny wysysały siły i komplikowały życie rodzinne. Za tak wyzyskiwanymi nikt się nie ujmował, choć przecież były socjalistyczne związki zawodowe. „Po co nam takie związki?” – pytali więc coraz głośniejsze. Pomysł reformowania struktury związkowej pojawił się i radykalizował długo przed powstaniem Komitetu Obrony Robotników. Krótkie nawet protesty wybuchające parę razy w wielkiej stoczni w latach 70. przynosiły doraźny efekt, obietnice niewielkiej podwyżki, sprawiedliwego podziału premii. W małych zakładach były lekceważone. Stąd zapewne płynęło silne w sierpniu 1980 r. poparcie mniejszych i całkiem małych przedsiębiorstw dla hasła solidarności związkowców broniących praw pracowniczych w każdym zakładzie.

Jazda tramwajem z Jelitkowa na Stogi jest dla historyka przeżyciem szczególnym. Trasa prowadzi przez Przymorze, mijają bloki Zasp, gdzie tłumy z całej Polski przybyły witać Jana Pawła II w 1987 r. (łącznie z piszczącymi te słowa, wtedy studentami historii na Uniwersytecie Warszawskim), okrąża tereny stoczni, potem Główne Miasto, przez chwilę widać wież kościoła Mariackiego. Z wyższych pięt wieżowca na Przymorzu rozciąga się rozległy widok na morze, ulubiony widok Joanny i Andrzeja Gwiazdów. Pokazują go gościom ze swego balkonu. W drugiej połowie lat 70. stąd zmierzali do pracy w sąsiadującym ze Stoczną Gdańską Elmorze albo na konspiracyjne nasiodówki, pewnie nieraz w mieszkaniu Lecha Wałęsy na Stogach. Trasa tramwaju nr 8 to jak wycieczka po historii najnowszej Polski i Gdańska, niezależnie od tego, jak ostre podziały zastąpiły wcześniejszą współpracę.

Gdańska opozycja demokratyczna tworzyła ducha tego miasta. Należały do niej różne środowiska ideowe, których spoiwem stała się pamięć o dramacie Grudnia 1970 r. Gdańscy członkowie i sympatycy Komitetu Obrony Robotników, Ru-

chu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, członkowie Ruchu Młodej Polski, Wolnych Związków Zawodowych, studenci i robotnicy od 1977 z roku na rok coraz liczniej gromadzili się w grudniu przed Bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej. Choć do lata 1980 r. nigdy nie stanowili środowiska przekraczającego kilkaset osób, o czym warto pamiętać. Potem odwaga staniała.

Przyczyny protestu, który wybuchł 14 sierpnia 1980 r., dał początek Solidarności, zostały zapisane w setkach postulatów dziesiątków zakładów pracy. Ostatecznie wszystkie, spisane ręcznie lub na maszynie, trafiły do Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku. Tutaj dokonano ich systematyzacji.

Powstała lista zaskakuje historyka, ponieważ te najpopularniejsze, najczęściej powtarzane znalazły się też na liście słynnych 21 postulatów, spisanych zupełnie niezależnie w Sali BHP. Dowodzi to wielkiej intuicji przywódców strajku. Wywieszone na drewnianych tablicach, na bramie Stoczni Gdańskiej, weszły do historii miasta, Polski, a potem do światowego dziedzictwa UNESCO. Protesty z 1970 i 1980 r. pełnią dziś ikoniczną funkcję w historii całego kraju, ale w samym Gdańsku w nieporównanie silniejszym stopniu. Wyrazem tego jest gmach Europejskiego Centrum Solidarności zbudowany na terenie postoczniovcym i gromadzący pamiątki po tych wydarzeniach. Z budynku ECS widać Muzeum II Wojny Światowej.

Dziadkowie z Wehrmachtu

Tworzenie Muzeum II Wojny Światowej było wędrówką przez różne warstwy historii, ale i teraźniejszości Gdańska. Z terenem, na którym rozpoczęła się jego budowa, sąsiaduje Poczta Polska, symbol polskiego oporu w Wolnym Mieście Gdańsku we wrześniu 1939 r. Wcześniej myśleliśmy o niej poprzez pryzmat wzmianek w podręcznikach, a może przede wszystkim „Błaszanego bębenka” – powieści Güntera Grassa i filmu Volkera Schlöndorffa, z Danielem Olbrychskim w roli pocztowca rozstrzelanego na Zaspie. Teraz, gdy byliśmy w Gdańsku, przestało to być dla nas jedynie częścią standardowej pamięci o wojnie, czy też filmowych reminiscencji, a stało się namacalne i konkretne. Budynek Poczty i stojący przed nim pomnik z końca lat 70. znajdowały się na pokonywanej przez nas codziennie drodze z domu do muzeum.

W Gdańsku opowieść o wojnie musiała się rozpocząć od obrony Poczty i Westerplatte. To drugie miejsce, położone na peryferiach miasta, bez łatwego dojazdu, było jednak w samym centrum mapy jego emocjonalnej pamięci. Dla nas, przybyszów z Warszawy, coroczne peregrynacje, jeszcze po ciemku, na uroczystości rocznicy wybuchu wojny, przypominały 1 sierpnia. Niezależnie od oficjalnego wymiaru upamiętnienia, przemówień polityków, pocztów honorowych, i na warszawskie cmentarze, i na Westerplatte samorzutnie przychodzą tysiące ludzi, których nikt do tego nie musi nakłaniać jakąkolwiek polityką historyczną. Tak samo zresztą było za czasów komunizmu.

Odsłonięcie pomnika w 1966 r. nie było tylko oficjalną uroczystością, ale autentycznym przeżyciem dla tysięcy gdańszczan, którzy w niej uczestniczyli. Podobnie sprowadzenie prochów majora Henryka Sucharskiego, zmarłego po wojnie we Włoszech. Przed ponownym pochówkiem zostały wystawione w Dworze Artusa, a na zdjęciach z 1971 r. można zobaczyć niekończącą się kolejkę ludzi, którzy chcieli mu oddać hołd. Gdy choć raz było się na Westerplatte przed świtem 1 września, nietrudno zrozumieć, jakim gwałtem na żywej tkance pamięci było narzucanie w tym miejscu apelu smoleńskiego, tak samo zresztą jak na warszawskich cmentarzach 1 sierpnia.

Westerplatte jest opowieścią o heroizmie. To wiemy wszyscy, zanim nawet znajdziemy się w Gdańsku. Jest jednak także historią o polskich dylematach, wykraczających poza wrzesień 1939 r., ciągnących się przez pokolenia. Na wystawie przygotowanej przez Muzeum II Wojny Światowej znalazły się dwie postawy: majora Sucharskiego, który chciał oszczędzać życie żołnierzy, według niego potrzebnych jeszcze Polsce; był gotów skapitulować, gdy wypełnił rozkazy i stało się jasne, że nie można liczyć na odsiecz, oraz kapitana Franciszka Dąbrowskiego, który chciał walczyć do końca, niezależnie od strat.

Tworzenie muzeum spletało się z historiami konkretnych ludzi, zarówno z czasów wojny, jak i współczesnymi. Andrzej Stachecki przekazał pamiętki – listy i grypsy z więzienia – po ojcu Józefie Stachu, którego nigdy nie poznał, gdyż został rozstrzelany jeszcze przed jego narodzeniem wraz z tysiącami innych Polaków w lasach koło Piaśnicy. Te kilka przed-

Gdańska opozycja demokratyczna

do lata 1980 roku nigdy nie stanowiła środowiska przekraczającego kilkaset osób, o czym warto pamiętać. Potem odwaga staniała.

miotów i zdjęć otwierają oczy na skalę niemieckiego terroru na Pomorzu, którego ofiarą już w 1939 r. padło kilkadziesiąt tysięcy przedstawicieli polskich elit – działaczy politycznych i społecznych, nauczycieli, księży.

Pamięć o nich jest wciąż słabo obecna w ogólnopolskiej pamięci wojny, warszawocentrycznej, zdominowanej przez to, co działo się w Generalnym Gubernatorstwie, a nie na ziemiach wcielonych do Rzeszy. To są także historie rodzinne ludzi, którzy współtworzyli muzealną wystawę. Dla historyka z Warszawy, któremu rodzina przekazywała opowieści o traumie Powstania i wypędzenia z miasta, rozmowa z kolegami z pracy, których dziadkowie służyli w Wehrmachcie, otwierała nową perspektywę. Przystawało to być tylko propagandową figurą, wykorzystaną dla dyskredytacji politycznego przeciwnika, ale odsłaniało się jako doświadczenie tysięcy pomorskich rodzin, o którym jednak niezbyt chętnie i na pewno nie od razu rozmawiało się z ludźmi z zewnątrz.

To, co najlepsze

Zanim rozpoczęła się budowa Muzeum II Wojny Światowej, trzeba było przeprowadzić badania archeologiczne. Odsłoniły pozostałości dzielnicy – Wiadrowni/Eimermacherhof, zniszczonej w 1945 r. i nigdy nieodbudowanej. Zarysy domów i ulic, które już nie istnieją, robiły widmowe wrażenie, pozwalały odkrywać podskórną przeszłość, która niemal całkowicie zniknęła, choć jest świeża. Jej ślady widać i w innych miejscach miasta – choćby w niemieckich sztyldach wciąż widocznych na zrujnowanych domach na nieodległej Biskupiej Górze. W muzeum znalazł się bruk zdjęty z największej ulicy dawnej Wiadrowni – Grosse Gasse. Leży na podłodze głównego, stumetrowego korytarza w obrębie wystawy stałej, który

architekci zaprojektowali w tym samym miejscu, gdzie Grosse Gasse przebiegała do 1945 r. Jest to symbol historycznej kontynuacji miasta, jak i przezwyciężenia skutków wojny. Widać było, jak się ono dokonuje, gdy obok muzeum zaczęły powstawać kolejne budynki, a wymazana przez wojnę dzielnica wracała do życia. Nie można było zapomnieć i o ludziach, którzy tam żyli.

W muzeum można zobaczyć przedmioty wykopane przez archeologów, także te, które mieszkańcy prawdopodobnie ukryli w czasie walk o miasto w 1945 r. i których nie zabrali, gdy byli wysiedlani. Na wystawie znalazły się też relacje niemieckich kobiet gwałconych przez czerwonarmistów. Wiele z nich, by uniknąć gwałtu, wybierało śmierć w Motławie, z którą sąsiaduje budynek muzeum.

Olga Krzyżanowska przekazała pamiętki po ojcu, płk. Aleksandrze Wilku-Krzyżanowskim, dowódcy Armii Krajowej na Wileńszczyźnie, zmarłym w komunistycznym więzieniu. Polacy, przyjeżdżający po wojnie do Gdańska z Wileńszczyzny, współtworzyli to miasto, a ich wcześniejsze doświadczenia stały się częścią jego współczesnej pamięci i mitologii. Ucieleśnieniem tego splecia się różnych doświadczeń stała się dla nas Joanna Muszkowska-Penson. Jako łączniczka Związku Walki Zbrojnej została aresztowana w Warszawie przez Gestapo, była więziona na Pawiaku i przez kilka lat w Ravensbrück. Jej listy z obozu są częścią wystawy. Po wojnie przyjechała do Gdańska i stała się powszechnie szanowaną lekarką, profesorem Akademii Medycznej. Wspierała konspiracyjną Solidarność i stała się jedną z najbliższych współpracowniczek Lecha Wałęsy. Zaangażowała się w obronę Muzeum II Wojny Światowej w najbardziej dramatycznym momencie, gdy jeszcze przed ukończeniem jego budowy chciał je zlikwidować minister kultury. Była też pierwszą osobą, która weszła na wystawę w dniu otwarcia muzeum w marcu 2017 r. Dla nas jest symbolem tego, co najlepsze w historii i Polski, i Gdańska.

© ANNA MACHCEWICZ,
PAWEŁ MACHCEWICZ

ANNA MACHCEWICZ jest autorką książki „Bunt. Strajki w Trójmieście. Sierpień 1980”.

PAWEŁ MACHCEWICZ jest pomysłodawcą Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Jego twórca i dyrektor w latach 2008-17.

Nie wszystkie ręce na pokład

JAROSŁAW FLIS

Słuchać coraz mocniejsze wezwania do jedności po stronie opozycji. Trzeba jednak pamiętać, że elektoraty sumują się trudniej niż politycy.

WSTRZĄS PO TRAGICZNEJ ŚMIERCI prezydenta Gdańska pozostawić może dwa ślady. Jeden dotyczy kultury politycznej – to rozbudzone nadzieje na złagodzenie rzucanych w rozgorączkowanym oskarżeń. Drugi to utrwalenie przekonania, że stawka w obu nadchodzących w tym roku wyborach (zwłaszcza tych sejmowych jesienią) będzie większa niż zwykle. To przekonanie przekłada się z kolei na coraz dobitniej wypowydane wezwania do jedności. Nie tyle rozumianej jako wyciszenie podziałów w łonie społeczeństwa (co zakłada zdolność do dostrzegania w drugiej stronie ludzkich cech), ile jako większa zwartość organizacyjna obu stojących naprzeciw siebie bloków. To jest zaś zdecydowanie większym wyzwaniem dla opozycji.

Apele o zjednoczenie towarzyszą polskiej polityce w zasadzie od 30 lat i w trakcie minionych trzech też ich nie brakowało. Jednak tym razem sprawa ma większe znaczenie przynajmniej z kilku powodów. Przede wszystkim dlatego, że niedawne wybory samorządowe wysłały jednoznaczny sygnał. Umiejętność zachowania jedności daje w polityce kilka efektów. Żaden z nich nie jest jednak ostateczny i wystarczający.

Zwycięzcy konserwują system

Kwestia pierwsza: za zwycięzcę wyborów społeczna opinia uznaje tego, kto zajął pierwsze miejsce w politycznym wy-



ścigu. Choć bywa to łudzące, to jednak niewątpliwie podnosi morale, mobilizuje aktywistów i zwolenników. To optyczne zwycięstwo pozwoliło PiS ogłosić tryumf w wyborach samorządowych, nawet jeśli realny wynik znacznie różnił się od oczekiwania, a wewnątrz partii zinterpretowano go zgoła inaczej, niż głoszone w trakcie oficjalnej konferencji.

Po drugie, bardzo praktyczna kwestia progów wyborczych. Chodzi o progi ustawowe, znane każdej osobie interesującej się polityką. Przykłady Zjednoczonej Lewicy i Partii Razem z wyborów 2015 są tu dla wszystkich sugestywnym memento. Ale ostatnie wybory przypomniły też o istnieniu progów naturalnych. Ruch Kukiza zdobył 5 proc. poparcia w skali kraju i w większości województw, ale nie uzyskał żadnego mandatu w sejmikach. Ustawowy próg wyborczy może być jedynie przypomnieniem i nazwą handlową znacznie silniejszej reguły.

Tym, co łączy obydwie te czynniki, jest system D'Hondta. Zapisana w kodeksie wyborczym formuła z dzielnikami i ilora-

zami odstrasza polityków i politologów. Jej logika jest jednak prosta – przy przeliczaniu głosów na mandaty zaokrąglamy wynik zawsze w górę. To zaś nagradza duże partie, a mniejsze ustawia na końcu kolejki po mandaty. Dlaczego takie rozwiązanie, przez wiele osób uznawane za niesprawiedliwe, jest w ogóle stosowane? Bo zachęca do integracji. W polityce istotnym elementem jest trwałość i stabilność rządów. Międzynarodowe badania pokazują jednoznacznie, że im więcej partnerów koalicyjnych, tym większe prawdopodobieństwo, że rząd rozpadnie się w trakcie kadencji. To zaś zawsze oznacza spadek jakości działań władzy. Także koalicje przedwyborcze prowadzą do większej trwałości rządów niż te zawierane dopiero po ogłoszeniu wyników. Jedność jest napędzana przez lojalność, także tę wykutą w ogniu walki wyborczej. Dlatego taką metodę podziału mandatów stosuje się nie tylko w Polsce, ale i w wielu krajach, takich jak Czechy, Hiszpania czy Finlandia. Raz wprowadzony system wcale nie jest łatwo zmienić. Uwiera przegranych,



MATEUSZ GROCHOCKI / EAST NEWS

Lider SLD Włodzimierz Czarzasty, lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, przewodniczący PO Grzegorz Schetyna, przewodnicząca Nowoczesnej Katarzyna Lubnauer, liderka Inicjatywy Polska Barbara Nowacka podczas konferencji prasowej w Sejmie, 2 listopada 2018 r.

że dwa ugrupowania o tym samym poparciu po połączeniu otrzymają więcej mandatów niż każde z nich startujące oddzielnie. Jednak rzecz wymaga istotnego doprecyzowania. Zyski pochodzące z łączenia partii są tym większe, im mniejsze są podmioty, które się łączą. Przekonuje o tym prosty wywód – gdyby wszystkie partie połączyły się w jedną, to na pewno nic by nie zyskały, bo pula mandatów jest przecież stała. Ta nie do końca oczywista logika sprawia, że dołączenie kolejnej partii do bloku, który przekroczył już średnią wielkość liczących się w danym kraju ugrupowań, oznacza coraz mniejsze dodatkowe korzyści. Dlatego zasada „wszystkie ręce na pokład” niekoniecznie musi być dla każdego korzystna. Głosy zwolenników każdego kolejnego ugrupowania, które miałyby się łączyć na wspólną listę, kuszą. Lecz przecież wcale nie jest oczywiste, że padną na wspólną listę.

Badania sondażowe i wcześniejsze doświadczenia pokazują, że elektoraty sumują się czasem trudniej niż politycy. W końcu im większą część sceny politycznej chce się zagospodarować, tym większe są różnice na jej skrzydłach. Warto wspomnieć, że największe straty w 2015 r. PO poniosła wśród wyborców konserwatywnych obyczajowo, ale liberalnych gospodarczo. Niedawno do opozycyjnego obozu dołączyło istotne środowisko lewicy o dołkądnie odwrotnym niż ci ludzie stanowisku na obu kluczowych osiach poglądów (ekonomicznej i obyczajowej), a to oznacza ryzyko, że na jesieni nie uda się ich przyciągnąć z powrotem do zjednoczonej opozycji. Zwłaszcza że osoba obecnego premiera i obsadzenie Jarosława Gowina na stanowisku wicepremiera przemawiają właśnie do tej grupy.

Pojawia się też drugi problem z szerokim ugrupowaniem: jak mówi porzekadło, gdy się dużo obejmuje, to się słabo ścisła. Coraz trudniej jest kontrolować inicjatywę na własnych skrzydłach, czego najlepszym przykładem jest ostatnia akcja Inicjatywy Polskiej, postulującej rozdział Kościoła od państwa, jakby nie było

to obowiązującym prawem. Wiadomo, że jeśli chce się wygrać, trzeba obejmować większą część sceny politycznej, ale doświadczenie historyczne wskazuje np. na AWS – gdy chęć zjednoczenia zbyt wielu nurtów grozi upadkiem całego projektu.

Wielkość potencjalnej nagrody za zjednoczenie jest też warunkowana przez liczbę partii. To, że pozostałe ugrupowania idą w rozsypkę, jest zawsze korzyścią dla największych ugrupowań. Dlatego wszystkie partie nawołują do łączenia swoich, ale i z chęcią pielęgnują podziały wśród przeciwników. Wielkość nagrody zależy też od liczby okręgów wyborczych. Zyski są największe w wyborach sejmikowych, gdyż województwa są w sumie podzielone na 86 okręgów. W wyborach sejmowych nagroda też jest potężna, bo okręgów jest 41. Jednak w najbliższych wyborach europejskich jest tylko 13 okręgów, a trzeba mieć na uwadze, że tak naprawdę okręg jest tylko jeden – mandaty dzieli się najpierw pomiędzy partiami w skali kraju. Dlatego specyfiką eurowyborów jest to, że arytmetyczna premia za zjednoczenie dotyczy tylko i wyłącznie małych ugrupowań, które startując samodzielnie mogą spaść poniżej progu wyborczego. Z punktu widzenia PO i jej dzisiejszej pozycji sondażowej, liczy się tylko zwycięstwo optyczne. Takie, które pozwoliłoby wyprzedzić PiS i pozbawić jej zwolenników przekonania o własnej wszechmocy, a tym samym dać rozpęd przed wyborami sejmowymi. Przeciwn integracji przemawia to, że stawka jest względnie mała. Nie będzie się wszak bezpośrednio rozstrzygać, kto rządzi.

Kosiniak-Kamysz – nowa gwiazda

Mała stawka z punktu widzenia ugrupowań nie wyklucza tego, że jest kolosalna z perspektywy konkretnych polityków. Ponieważ mandatów jest niewiele, liczą się tu dwie grupy. Jedną to dotychczasowi europosłowie, którym szczególnie zależy na zachowaniu swojego statusu. Wybór do europarlamentu może być też formą wynagrodzenia lub zabezpieczenia polityków z ław ministerialnych (jak pokazuje przypadek PO). To stanowiska dochodowe i prestiżowe, a przy tym mniej męczące niż te, które oferuje polityka krajowa. Rodzi to silne napięcia wewnątrz partii, co z kolei utrudnia działania mające na celu zjednoczenie.

Fakt, że w eurowyborach nie rozstrzyga się, kto będzie rządził w kraju, ma

ale nigdy nie boli zwycięzców, póki liczą na powtórkę sukcesu. Dlatego większość polityków zaakceptowała ten stan rzeczy i stara się do niego dostosować.

Tworzenie bloków może przynieść dodatkowe korzyści: część wyborców po prostu chce głosować na jedną z dwóch największych partii. Po części dlatego, że pragnie być po stronie zwycięzców, a po części dlatego, że nie chce dopuścić do wygranej drugiej strony. Niechęć do tych, których uważa się za większe zło, jest jedną ze składowych decyzji wyborczych. To, że wykorzystuje się tę niechęć, aby wymusić akceptację mniejszego zła – a wraz z tym nieuchronne kompromisy ideowe, a nawet akceptację pewnych patologii – to już zupełnie inna sprawa. Jednak bez takich sił polityka obejść się nie może. Nie znaczy to wcale, że siła społecznego ciężaru ku polaryzacji jest przemożna.

Premia, ale nie dla każdego

Dlatego właśnie, nie zawsze do końca świadomie, stosowane są mechanizmy nagradzające duże partie. Oznacza to tyle,

→ znaczenie tak dla strategii liderów, jak i dla części wyborców. Polska jest przy tym ewenementem – w innych krajach niższa stawka pobudza w elektoracie chęć do eksperymentów. Sukcesy Partii Piratów czy innych ugrupowań, które nie mają szans na krajowych scenach, są tu dość częste. W Polsce do eksperymentów skłonni są raczej liderzy, zwłaszcza nowych inicjatyw. Dzieje się tak, gdyż do startu w wyborach potrzeba mniej kandydatów (zamiast 900 wystarczy ich 130), zainteresowanie mediów jest wyraźnie słabsze, nie jest też konieczne silne zakorzenienie w społecznościach lokalnych.

Takim politycznym eksperymentatorem chce zostać Robert Biedroń. Sporo liderów opinii pokłada w nim swoje nadzieje. Dzisiaj jego pozycja oznacza tylko jedną osobę, ale uzyskanie choćby kilku-procentowego poparcia postawiłoby go w zupełnie innym świetle w trakcie negocjacji przed wyborami sejmowymi. Jednak widzieliśmy już wiele inicjatyw chcących przełamać duopol PO-PiS, spośród których zaskakująco wiele skończyło z wynikiem na poziomie 3-5 proc. Mimo to pozycja Roberta Biedronia nie jest bez znaczenia dla negocjacji wśród pozostałych graczy. Przede wszystkim dlatego, że jest on ważnym punktem odniesienia dla SLD. Kierownictwo Sojuszu ma świadomość, że Biedroń może odebrać im połowę elektoratu, jak kiedyś zrobił to Palikot. Strata połowy stanu posiadania oznaczałaby ostateczny koniec partii. W krytycznej sytuacji jest też Partia Razem, która na przestrzeni trzech lat nie zdołała się posunąć do przodu, tylko się cofnęła. Zapewne i Razem, i SLD łatwiej byłoby pójść z Biedroniem, jednak on woli raczej iść samodzielnie.

Nie tylko SLD jest pod ścianą. Nowoczesna po rozłamie jest w zasadzie skazana na współpracę. A nikt poza PO nie jest zainteresowany jej przygarnięciem. Niemniej

Partia, która przez ćwierć wieku reprezentowała

oburzonych na status quo, ma trudność przekształcenia się w partię sukcesu, spokoju i szacunku dla przeciwników.

jej los, w szczególności nieszczerne zakończenie projektu Koalicji Obywatelskiej, to ważny punkt odniesienia dla pozostałych partnerów. W medialnych przekazach widać, że historia ta zmroziła wszystkich potencjalnych partnerów PO i coś, co wydawało się oczywiste, jest teraz traktowane jako zło konieczne. Nie ma już nawet oficjalnego entuzjazmu.

O ile sytuacja resztek Nowoczesnej jest nie do pozazdroszczenia, to pozycja ludowców jest zgoła odmienna. Pomimo strat w wyborach samorządowych PSL utrzymał stan posiadania i nic nie wskazuje, by był w zapowiadany kryzysie. Strategia łagodzenia sporów przyniosła kilka spektakularnych efektów – na pewno jest nim pozycja sondażowego lidera Władysława Kosiniaka-Kamysza wśród kandydatów na „premiera opozycji”. Taki wynik otwiera nowy rozdział w jego kontaktach ze Schetyną, zwłaszcza w kontekście krążących już wcześniej głosów, że to premier wymarzony przez Donalda Tuska. Lider PSL przejął tym samym w opozycyjnym bloku rolę konserwatywnej kotwicy na obyczajowej osi. Jego status nowej gwiazdy polskiej polityki wspierają paradoksalnie działania PiS. Do liderów partii rządzącej dotarło po wyborach samorządowych, że ze zdobyciem samodzielnej większości może być problem. Efektem

jest łagodzenie kursu wobec ludowców, bo pozostali oni jako ostatni możliwi koalicjanci.

Niezdolni do bycia w centrum

Teoretycznie takim partnerem mógłby być też Kukiz. Wybory europejskie są kluczową dla niego walką o przetrwanie. Na razie traci dotychczasowych potencjalnych sojuszników, a nie zyskuje nowych. Ewentualne porozumienie z Bezpartyjnymi Samorządowcami mogło mu dać silny impuls. W wyborach europejskich nikt z nim jednak siłą nie połączy, antysystemowa konkurencja z połączonych sił Korwina i narodowców zagraża zaś nie tylko jemu, ale i PiS.

Część jego wyborców to ludzie, którzy cztery lata temu chcieli zagłosować przeciw Platformie, ale nie chcieli przy okazji popierać PiS. Zwrot PiS w stronę centrum pozwoliłby ich łatwo przejść. Ale nie wychodzi to rządzącym zbyt dobrze, co szczególnie było widać w dniach bezpośrednio po tragedii w Gdańsku. Partia, która przez ćwierć wieku reprezentowała oburzonych na *status quo*, ma ogromną trudność przekształcenia się w partię sukcesu, spokoju i szacunku dla przeciwników. Prezesowi i środowisku rządowemu wciąż najłatwiej przychodzi atakowanie oponentów. Nawet taki wstrząs jak śmierć Pawła Adamowicza nie był w stanie zmienić sposobu myślenia medialnego zaplecza partii i całego szeregu aktywistów. Trudno sobie zatem wyobrazić, aby przez najbliższe dziewięć miesięcy udało się prowadzić na tym polu konsekwentną politykę. Tym bardziej że PiS sam ma kłopoty z konkurentami na własnych łowiskach. Łagodzenie sporów z UE to szansa dla polityków pokroju Korwina i narodowców. Zawieszenie sprawy ustawy aborcyjnej zawsze będzie rodzic pokusę stworzenia bardziej jednoznacznej alternatywy na odwołującej się do wskazań Kościoła prawicy.

Znany z sentencji o wojnie jako polityce prowadzonej innymi środkami Carl von Clausewitz mawiał: „Na wojnie wszystko jest proste, ale nawet najprostsze rzeczy są trudne”. Tak samo jest w polityce, zwłaszcza jeśli chodzi o łączenie sił. Nie przesądzą o nim same apele. Rzecz wymaga starannego planowania, charyzmy oraz umiejętności okiełznania indywidualnych ambicji – i swoich, i partnerów. To gra – o zupełnie nieprzewidywalnym wyniku.

© JAROSŁAW FLIS

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 225/18 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Panience, o powierzchni 1,34,73 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 119/9, arkusz mapy 1, dla której nie była prowadzona księga wieczysta ani zbiór dokumentów.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.



KRYSZTOF MAJ / FORUM

Sprawa tzw. frankowiczów (na zdjęciu ich protest pod Sejmem w styczniu 2016 r.) nie wpłynęła na wysoki wskaźnik zaufania do banków

Bank jak się patrzy

MAREK RABIJ

Czy powinna istnieć urzędowo wytyczona granica prywatności, której instytucjom finansowym nie wolno przekroczyć?

Banki i firmy pożyczkowe chcą o nas wiedzieć jak najwięcej – ich porażka niekoniecznie będzie oznaczać wygraną klientów.

NA PYTANIE, CZY MOŻNA IM UFAĆ, AŻ 74 proc. Polaków – jak wynika z badania CBOS przeprowadzonego pod koniec ub.r. – odpowiada wciąż twierdząco. W ciągu ostatnich sześciu lat o 5 punktów procentowych – do 11 proc. – spadł także odsetek przekonanych, że banki w swej działalności nie kierują się dobrem klienta. Najwyraźniej wybaczyliśmy więc tej branży i aferę z opcjami walutowymi, i późniejszą tragifarsę z frankiem szwajcarskim, który miał być najbezpieczniejszą walutą świata, a okazał się zabawą dla inwestorów o żelaznych

nerwach. Na społecznym odbiorze sektora bankowego w Polsce nie zaciążyła nawet ubiegłoroczna afera GetBack, w której przewijały się nazwy banków z grupy Leszka Czarneckiego. Przypomnijmy: ten sam miliarder nagrał swoją rozmowę z szefem Komisji Nadzoru Finansowego Markiem Chrzanowskim, zatrzymanym następnie przez CBA pod zarzutem składania propozycji korupcyjnej. Pytanie o poziom zaufania do banków trzeba by zatem zastąpić innym: jak to możliwe, że wciąż jeszcze chcemy mieć z nimi do czynienia?

Odpowiedź składa się co najmniej z dwóch elementów. Po pierwsze, branża ta nie doznała dotąd naprawdę poważnego uszczerbku na wizerunku. Jeśli nie liczyć upadłości małych banków z łatwymi do opanowania konsekwencjami, działa stabilnie i zapewnia względne bezpieczeństwo pieniądзом klientom. W połowie ub.r. Polacy trzymali w bankach łącznie 774 mld zł, co w przeliczeniu na gospodarstwo domowe dawało średnio po około 48 tys. zł. Rzecz jasna, ujęcie statystyczne upiększyło obraz, bo na wspomniane miliardy składają się oszczędności zaledwie 69 proc. Polaków. Reszta – jak wynika z badania Barometru ING – żyje od wypłaty do wypłaty.

W ten sposób dochodzimy do prawdziwego źródła polskiego zaufania do banków, które nie sprawdzają się jako wiarygodny partner w inwestycjach, ale są sprawnym narzędziem do regulowania bieżących wydatków i źródłem kredytów. Łączne zadłużenie Polaków oscyluje już na poziomie 600 mld zł. Przynajmniej jeden kredyt ma ponad 15 mln osób, co oznacza, że praktycznie nie ma nad Wisłą gospodarstwa domowego, które nie zadłużyłoby się →

→ w banku, SKOK-u czy innej instytucji finansowej.

Każdej z nich uchyliliśmy także szeroko drzwi do prywatności w ramach czegoś, co one same nazywają dla niepoznaki oceną zdolności kredytowej, a co w praktyce sprowadza się do oszacowania ryzyka przyszłej niewypłacalności na podstawie informacji dostarczanych przez klienta i Biuro Informacji Kredytowej. Branża od dawna mówi, że chce wiedzieć o nas jeszcze więcej, ale politycy właśnie doszli do wniosku, że to, co już ma na widelcu, musi jej wystarczyć.

Interes banków kontra prawo do prywatności? To, niestety, wcale nie takie proste.

Scoring po polsku

W Sejmie nabrały ostatnio tempa trwające od miesięcy prace nad rządowym projektem ustawy, który ma dostosować prawo bankowe do unijnych przepisów o ochronie danych osobowych. W noweli pilotowanej przez resort cyfryzacji pojawiła się propozycja stworzenia zamkniętego katalogu danych, które instytucje finansowe mogłyby przetwarzać w trakcie oceny naszej zdolności kredytowej: głównie urzędowych i finansowych, takich jak PESEL, dane adresowe, informacje o zatrudnieniu, stanie cywilnym itd.

Tym samym projekt wykluczył z użycia dane z innych źródeł, jak aktywność klientów w internecie czy wskazania geolokalizacji – czyli akurat to, co stanowi najlepszą pożywkę dla szybko rozwijających się metod analizy behawioralnej wnioskodawców. Gdyby nowela weszła w życie w proponowanym dziś kształcie, kredytodawcy nie mogliby korzystać z tego typu rozwiązań – nawet gdyby klient wyraził na to zgodę.

Punkt ciężkości życia codziennego

przenosi się do internetu, a tej zmiany urzędowy filtr instytucji państwowych praktycznie nie wychwytuje.

W bankach i firmach pożyczkowych powiało więc grozą. Na początku stycznia projekt trafił do podkomisji sejmowych, a ich posiedzenia zaczęli okupować branżowi lobbysci. Tadeusz Białek ze Związku Banków Polskich przekonywał posłów, że żaden kraj nie wprowadził dotąd zamkniętego katalogu danych służących do oceny ryzyka kredytowego, a unijne rozporządzenie RODO nawet nie stawia takich wymogów. Wysłannicy Biura Informacji Kredytowej (BIK) tłumaczyli z kolei, że nowelizacja odetnie polskie firmy od nowoczesnych metod oceny ryzyka kredytowego stosowanych na całym świecie – włącznie z innymi państwami Unii – i tym samym pozbawi polski sektor finansowy konkurencyjności. Polski Związek Instytucji Pożyczkowych (PZIP) w liście do minister finansów ostrzegał, że usztywnienie tzw. procedur scoringowych podług rządowej recepty zwiększy liczbę odrzucanych wniosków o udzielenie pożyczki oraz odsetek tzw. złych, czyli niespłaconych kredytów. To z kolei sprawi, że tego typu usługi staną się po prostu droższe. Słowem: że nadchodzi kredytowy sądny dzień.

Na próżno. Rząd na razie nie dał się przekonać do zmian w projekcie. Więcej: wyznaczenie zamkniętego katalogu danych,

po które firmy będą mogły sięgnąć, nadal uważa za uzasadnione interesem klientów. Europejskie przepisy o ochronie danych osobowych za przetwarzanie danych uznają przecież już samo ich zbieranie. Ustawodawca podkreślił też znaczenie tzw. adekwatności gromadzenia informacji, którego nie wolno dokonywać na zapas, a tylko w związku z konkretną transakcją. Szkopuł w tym, że taki przepis jest nie do pogodzenia z samą ideą analizy Big Data, która bazuje na odwrotnej logice: współzależność między pozornie niepowiązanymi ze sobą informacjami można odkryć dopiero po ich przetworzeniu.

Wreszcie, chodzi po prostu o to, by kredytodawcy nie mogli dowolnie dobierać sobie danych, których użyją do analizy, bo to stawiałoby ich w sytuacji uprzywilejowanej.

Szlachta płaci mniej

– Dowolnie? Uprzywilejowanej? – dziwi się były prezes jednego z pierwszych banków w Polsce, który zaczął udzielać pożyczek przez internet. – Przecież to kredytodawcy zależy, żeby udzielić pożyczki, zarobić na niej i odzyskać pieniądze, a klientowi – by pożyczyć jak najszybciej i jak najtaniej. Im więcej wiemy o wnioskodawcy, tym szybciej i dokładniej możemy ocenić jego wypłacalność. Myślę, że klienci to rozumieją. Mam za to wątpliwości, czy posłowie wiedzą, które mamy stulecie.

Nowe regulacje, jak twierdzi prezes, nie biorą bowiem pod uwagę tego, że już nie wszyscy pracują w Polsce, dla firm zarejestrowanych w Polsce i na pełen etat. Istotnie, tylko 57 proc. Polaków utrzymujących się z pracy ma dziś umowę na czas nieokreślony, czyli jest w stanie spełnić

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 271/18 postępowanie z wniosku Urszuli Horbacz o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości położonej w Żerkowie przy ul. Moniuszki, oznaczonej geodezyjnie jako działka 588, arkusz mapy 7, o powierzchni 0,14,85 ha, dla której była prowadzona księga wieczysta Żerków k. 44.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

W Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie, Wydział I Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie o sygn. I Ns 12/16/S, z wniosku Banku Polska Kasa Opieki Spółki Akcyjnej z siedzibą w Warszawie, o stwierdzenie nabycia spadku po Krystynie Helenie Strumiłło, z domu Pykosz, c. Władysława i Franciszki, ur. 1 czerwca 1946 r. w Anzenbach, zm. 13 maja 2015 r. w Krakowie, ostatnio zamieszkałej w Krakowie przy ul. Krowoderskiej 77/12.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w ciągu 3 miesięcy od zamieszczenia niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, albowiem w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

brzegowy do niedawna warunek każdej umowy kredytowej.

Poza tym punkt ciężkości życia codziennego przenosi się nieubłaganie do internetu, a tej zmiany urzędowy filtr instytucji państwowych praktycznie nie wychwytuje. Radosław Nawrocki, prezes firmy PayPo, oferującej odroczone płatności, w rozmowie z dziennikiem „Puls Biznesu” zdradza, że w swoich modelach statystycznych spółka wykorzystuje ponad 140 różnych danych. – Przykładowo kobiety w wieku 30-35 lat, robiące zakupy w sklepach dziecięcych, statystycznie mniej się opóźniają z płatnościami. Mężczyźni w wieku 18-21 lat, którzy jako miejsce pracy w swoim profilu na Facebooku mają wpisane „Szlachta nie pracuje”, są statystycznie gorszymi płatnikami – wylicza. – To tylko dwa przykłady, ale dzięki tego typu danym jesteśmy w stanie utrzymać poziom akceptacji wniosków powyżej 80 proc. przy wskaźniku niespłaconych kredytów w okolicach 2 proc.

Branża finansowa ma oczywiście w zadanym więcej przykładów na to, że rozszerzenie katalogu jej scoringowych zagrywek wyjdzie klientom na zdrowie. W Singapurze OCBC Bank stworzył np. coś w rodzaju farmy cyfrowych awatarów swojej aktualnej klienteli. Dzięki uzyskiwanym informacjom może przygotowywać oferty produktów finansowych skrojonych ściśle pod klienta, zanim jeszcze ten zda sobie sprawę, że będzie potrzebował pieniędzy.

Algorytmy mogą z dużą dozą trafności wskazać choćby moment, kiedy klient ze chce lub będzie musiał wymienić samochód na nowy. W tym celu system zestawia wiek auta (z danych rejestracyjnych lub ubezpieczeniowych) i jego aktualny przebieg (z rachunków ze stacji benzynowych) ze statystycznymi wskaźnikami awaryjności konkretnych marek i modeli, całość doprawia zaś informacjami o zwyczajach zakupowych posiadacza konta (sknera-pragmatyk, który jednym samochodem potrafi wozić się przez dekadę, czy raczej dandys, co lubi mieć zawsze najnowszy model). Dokładniej zaplanowana w ten sposób alokacja bankowych depozytów oznacza dla klienta tańsze pożyczki – przekonują bankierzy.

Amerykański oddział Visa dzięki analizie korelacji transakcji kartami z innymi informacjami o klientach jest w stanie udaremnić przypadki wyłudzeń łącznie na ponad 2 mld dolarów rocznie: klient nie może przecież w tym samym momen-

Wiara w dobre intencje administratorów dużych zbiorów danych kończy się bolesnym poczuciem nabicia w butelkę.

cie bawić na wakacjach Tajlandii i płacić kartą na stacji benzynowej w rodzinnym mieście.

Pewne jak w banku

Według danych firmy badawczej IDC, sektor bankowy na całym świecie tylko w 2016 r. (nowszych opracowań brak) wydał na rozbudowę infrastruktury służącej do analizy Big Data ponad 20,8 mld dolarów. W tej opowieści o pogoni za nowoczesnością brakuje jednak dwóch elementów.

Po pierwsze, przyznania, że wykorzystanie analizy Big Data w bankowości to nie szarmancki ukłon w stronę klientów, lecz konieczność wynikająca z cyfryzacji kolejnych obszarów codzienności. „W ciągu ostatnich 12 miesięcy na świecie wygenerowano niemal 90 proc. wszystkich danych cyfrowych, jakie powstały w ubiegłych dekadach. Ilość danych generowanych przez urządzenia mobilne wzrosła do roku 2020 dziesięciokrotnie” – pisali już pod koniec 2016 r. autorzy opracowania zamówionego przez Związek Banków Polskich. Tymczasem – to informa-

cja z tego samego opracowania ZBP – w codziennej działalności przeciętnego banku aż 70 proc. procedur polega wyłącznie na weryfikacji decyzji podjętych wcześniej przez pracowników. Mówiąc wprost: albo banki przeforsują zmiany, które pozwolą im zwalić większą część proceduralnej odpowiedzialności na algorytmy Big Data, albo już wkrótce stracą całkowicie zdolność szybkiego reagowania na zmiany.

Tylko czy nas, klientów, powinno to w ogóle obchodzić?

Ostatnie miesiące pokazały, że wiara w dobre intencje administratorów dużych zbiorów danych prędzej czy później kończy się bolesnym poczuciem nabicia w butelkę. Afera Cambridge Analytica ujawniła, że nawet bogaty Facebook, który zdobył globalne zaufanie ponad miliarda internautów, na masową skalę handlował z podmiotami zewnętrznymi danymi swoich użytkowników. Z kolei Google kończy zwycięsko wieloletnią batalię z europejskim wymiarem sprawiedliwości o „prawo do bycia zapomnianym”: wszystko wskazuje na to, że ci spośród użytkowników wyszukiwarki, którzy chcieliby na stałe zniknąć z jej serwerów, zyskają to prawo... ale ograniczone do wyników wyszukiwania na terenie Unii.

W epoce, w której najpotężniejszą bronią jest informacja, nikt nie chce dać się łatwo rozbroić. Zaleta cyfryzacji bankowości – jak zwykły mawiać Sławomir Lachowski, twórca sukcesu mBanku – nie sprowadza się do tego, że można dzięki niej skazać klienta na samoobsługę. Można przedstawić mu to także jako zmianę na lepsze.

© P MAREK RABIE

12 stycznia 2019 roku, po długiej i ciężkiej chorobie
odszedł w wieku 94 lat

ś.†p.

Kazimierz Herzog

ukochany Mąż, Tatuś, Dziadziu i Pradziadziu

Urodził się we Lwowie 19 sierpnia 1924 roku.

18 stycznia 2019 roku został pochowany w grobie rodzinnym
na cmentarzu Rakowickim w Krakowie,

o czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

ŻONA, CÓRKI, ZIĘCIOWIE, WNUKI, PRAWNUKI I RODZINA

Matka Polka albo żadna

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Rząd niemal zlikwidował adopcje zagraniczne. Dla dobra małoletnich – twierdzą urzędnicy. Prześledziliśmy losy dzieci, którym zablokowano drogę do rodzin. Oto jak władza jedną decyzją wpłynęła na ich życie.

OD TEJ HISTORII WSZYSTKO SIĘ ZACZEŁO. Rok 2013, dwie siostry, trzylatka i pięcioletka, trafiają do adopcji zagranicznej. Sprawą zajmuje się jedna z trzech posiadających wówczas licencję na przysposobienia międzynarodowe placówek: Krajowy Ośrodek Adopcyjny Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

W 2015 r. przyjeżdża do Polski małżeństwo z USA. Para zakwalifikowana przez EAC, amerykańską agencję posiadającą akredytację strony polskiej. Nasz sąd zgadza się na adopcję. Dzieci wylatują za ocean. Ale na amerykańskim lotnisku nowi rodzice oddają starszą z dziewczynek innemu małżeństwu (ci pierwsi będą tłumaczyć, że o tym fakcie – wynikającym z trudności, jakie mieli mieć z dzieckiem już w Polsce – powiadomili EAC).

Sierpień 2016 r. Rodzice, którzy przejechali na lotnisku starszą z dziewczynek, przywożą ją do szpitala. Lekarze stwierdzają, że dziecko było wykorzystywane seksualnie. Para trafia do aresztu, później wychodzi za kaucją. Do dziś nie ma pewności: czy dziecko, na co wskazywać miał stopień zbliznienia się ran, było krzywdzone w Polsce, czy już w USA. Wrzesień 2016: amerykańska policja przekazuje informację o sprawie ośrodkowi TPD. Dopiero teraz polska strona dowiaduje się o rozdzieleniu dziewczynek. Ośrodek nie powiadamia o policyjnym raporcie urzędników. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej (kieruje nim już wówczas Elżbieta Rafalska) dowiaduje się o sprawie 8 grudnia. Od amerykańskiego konsula.

Burza wybucha w styczniu 2017 r. „Ośrodek zawałił, straciliśmy do niego zaufanie” – mówi TVN24 wiceminister Bartosz Marczuk. „Nie mamy sobie nic do zarzucenia” – mówią w TPD, dodając, że zawiąła amerykańska agencja, a ośrodek nie miał obowiązku przekazywać informacji o śledztwie urzędnikom. Dramat staje się impul-

sem do rewolucji. MRPiPS odbiera prawo do adopcji zagranicznych dwóm z trzech zajmujących się nimi ośrodkom, w tym TPD. Od tej pory na stałe prawo to będzie mieć tylko warszawski Katolicki Ośrodek Adopcyjny.

Resort decyduje o radykalnym ograniczeniu zagranicznych przysposobień, motywując to „głębokim przekonaniem o możliwości znalezienia w Polsce właściwego, stabilnego zastępczego środowiska rodzinnego dla wielu dzieci”. W 2017 r. za granicę trafia jeszcze 152 małoletnich, a więc o połowę mniej niż w latach poprzednich. W roku 2018 już 39, co oznacza, że władza niemal wygasila adopcje zagraniczne.

Co w zamian? Czy rzeczywiście dzieci, którym odmówiono wyjazdu, znalazły „rodzinne” i „stabilne” środowisko?

Historia I: „Ciociu, zabierz mnie do ministerstwa”

Rozmawiamy przez telefon: 11-letnia Amelia przeszła za dużo, by roztrząsać przy niej minione zdarzenia. S., jej opiekunka prawna, wraz z mężem od lat pełni rolę rodziny zastępczej. – Rezolutna, zdolna, ogólnie zdrowa dziewczynka z długimi blond włosami – opowiada o Amelce. – W oczach „świderek”: widać temperament. Lubi śpiewać i rysować.

– W szkole ma też problemy – dodaje S. – Nie dogaduje się z dziećmi. Odrzuca je, bo sama boi się odrzucenia. Tak jak wiele dzieci bez stabilnych więzi.

Początek jest jak tysiące podobnych. W domu pijaństwo, brak poczucia bezpieczeństwa. W 2011 r. Amelia trafia do domu dziecka. Ma trzy latka. Gdy kończy sześć, łąduje w rodzinie zastępczej. Z końcem 2016 r. dziewczynka po raz pierwszy słyszy o możliwości przysposobienia. Ru-sza procedura, taka jak zawsze: lokalny

ośrodek gromadzi dokumenty dziecka i szuka dłań rodziców wśród zarejestrowanych u siebie kandydatów. Jeśli w ciągu 30 dni nie będzie chętnych, dokumenty trafiają do wszystkich wojewódzkich rejestrów. A jeśli w całej Polsce nie znajdą się kandydaci, papiery dziecka idą do Centralnego Banku Danych. Tu – wobec braku innych opcji – dziecko może dostać kwalifikację do adopcji zagranicznej.

Tak też się dzieje w przypadku Amelii. W Polsce od lat nie brakuje co prawda kandydatów na rodziców, ale większość chce dzieci małych i zdrowych... To ważny kontekst sporu o adopcję zagraniczną: nigdy nie przeprowadzało się ich zamiast krajowych. Chodziło o dzieci w Polsce niechciane.

Wrzesień 2017 r. Amelka ma już kwalifikację do adopcji zagranicznej (to rodzaj „zielonego światła” do szukania rodziny – stąd do zgody ministerstwa na kontynuowanie procedury daleka droga). Po jakimś czasie się udaje: para z Włoch jest po czterdziestce, na adopcję czekają od 2011 r. On „skończył studia w zakresie literatury, ale od dawna pracuje w policji, pomagając dzieciom z ulicy, zaniedbanym. Od kilku lat jest trenerem psa o imieniu Roxy” – pisze we wrześniu 2017 r. Elżbieta Różańska, psycholog będąca polską przedstawicielką włoskiej organizacji In cammino per la fa-



JOANNA RUSINEK

miglia, pośredniczącej w przysposobie-
niach. „Amelka jest przeschęśliwa, że
nowi rodzice (tak o nich mówi) mają psa”
– odpowiadają m.in. opiekunowie.

– Amelka powiedziała w szkole, że ma
nowych rodziców – wspomina dzisiaj S.
– Koleżankom, nauczycielkom, księdzu,
pani woźnej. Zaczęła się uczyć włoskiego,
wyszukując słówka w internecie. Bunt
i agresja osłabły.

Ale sprawa się przedłuża. W listopa-
dzie 2017 r. S. pisze list do KOA i resortu
rodziny: „W ramach buntu nie chce cho-
dzić do szkoły. Nie panuje nad emocjami
(...) Dłuższe oczekiwanie z pewnością po-
głębi zaburzenia”. I dodaje: „Proszę o danie
szansy Amelce na życie w rodzinie »takiej
już na zawsze« (tak mówi dziewczynka)”.

S. dziś wspomina: – Zdarzało się jej mó-
wić: „Ciociu, zabierz mnie do minister-
stwa, ja im powiem, co o tym myślę”. Nie
potrafiła zrozumieć, dlaczego to tyle trwa.

W marcu 2018 r. przychodzi decyzja.
Odmowna. – Gdy usłyszała, co się stało,
zaczęła przeklinać – zapamiętała S. – „Co
oni sobie, k..., myślą w tym ministerstwie!”
– krzyczała, a ja nawet nie wiedziałam, że
potrafi tak mówić. Potem znowu były
spadki nastrojów, agresja. Do innego na-
szego podopiecznego, młodszego chłopca
krzyczała: „Zobaczysz, ja cię w nocy za-
biję”. Baliśmy się. Myśleliśmy, że będzie

trzeba w nocy czuwać. Dopiero z czasem
Amelka zaczęła się uspokajać.

– Dziecko chciało adopcji, była rodzina.
Za byli rodzice zastępczy, niebędący prze-
cież stroną w tej sprawie. Skąd więc ta de-
cyzja? – pytam Elżbietę Różańską.

– Nie wiem – ucina. – Uzasadnienie było
takie, jak w każdej odmowie: przysposo-
bienie „nie leży w najlepszym interesie
dziecka”. I kropka.

Piecza bardzo zastępcza

– Staraliśmy się o dobro dzieci niezale-
żnie od opcji sprawującej władzę. Proszę
więc, byśmy trzymali się z dala od poli-
tyki – zastrzega Zofia Dłutek, dyrektorka
KOA w Warszawie. Rozmawiamy w sie-
dzibie placówki, która jako jedyna prze-
prowadza dziś adopcje zagraniczne. Prze-
prowadza, a więc łączy dziecko z kandy-
datami na rodziców, gdy to pierwsze do-
stało już owo „zielone światło”, czyli kwa-
lifikację.

– Wszystkie rządy podchodziły nega-
tywnie do przysposobień międzynarodowych – twierdzi dyrektorka ośrodka.
– Tyle że ten wcielił swoje przekonania
w życie.

– Jakie to przekonania? – pytam.

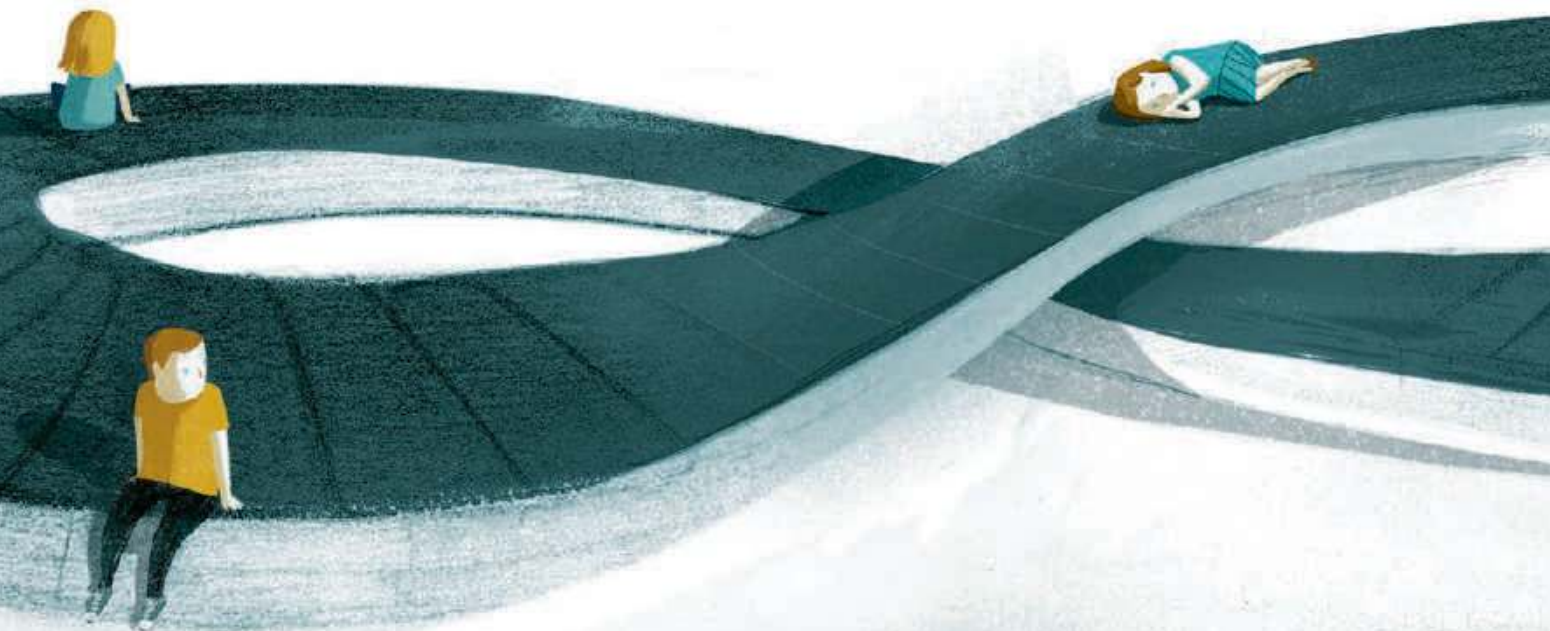
– Że jak to, wysłać polskie dzieci z Pol-
ski? Wynaradawiać? Żyje nam się le-
piej, mamy 500 plus, jesteśmy rozwinie-

tym krajem, mamy kandydatów czeka-
jących na adopcję. A za granicę wysyłają
dzieci kraje biedne – streszcza obiegowy
pogląd dyrektorka KOA. I dodaje: – Mu-
simy zrozumieć jedno: dziecku, które
przeszło przez horror, jego kraj nie koja-
rzy się z Bożym Narodzeniem i choinką,
tylko z wódką, wraskiem i przemocą. Dla
niego liczy się nie to, do jakiego kraju trafi,
ale czy będzie je miał kto przytulić. Przez
lata szukaliśmy rodzin dla dzieci, których
nikt w Polsce nie chciał. A jak się udawało,
to jakbyśmy Pana Boga za nogi chwycili!

– Ta zmiana to ideologia?

– To zmiana niekorzystna, ale nie na-
zwalabym tego ideologią. W Konwencji
Haskiej, którą przyjęliśmy i my, i kraje Za-
chodu, jest napisane, że „kraj pochodze-
nia” powinien w pierwszej kolejności za-
pewnić „odpowiednią rodzinę” u siebie.
A jeśli nie jest w stanie, dopiero wtedy
dziecko powinno trafić do adopcji zagra-
nicznej. Problem w tym, że o ile do 2017
roku „odpowiednią rodzinę” rozumiano
jako biologiczną lub adopcyjną, obecny
rząd włączył w nią też pieczę zastępczą.
Kluczowe jest pytanie: czy polska piecza
zastępcza da dziecku to, co rodzina adop-
cyjna? – pyta retorycznie Zofia Dłutek.

Polska piecza podlega przeobraże-
niom. Na lepsze: w tzw. domach dziecka
nie wolno już umieszczać najmłodszych, →



→ a starsi coraz rzadziej są koszarowani w instytucjach-molochach; na korzyść zmieniły się też proporcje, bo w rodzinach zastępczych jest więcej dzieci niż w placówkach. Ale jest to też system trawiony problemami: w sferze, która jest z definicji czymś tymczasowym, dzieci – jak wykazał raport NIK – tkwią latami, w dodatku przerzucane nierzadko z miejsca na miejsce (jak chłopiec, który w ciągu 4,5 lat zdążył „zaliczyć” 9 domów, na koniec wymagał pomocy psychiatrycznej). Poza tym w niektórych regionach dramatycznie brakuje rodziców zastępczych.

Ale kluczowy problem tkwi gdzie indziej. – Nie chodzi tylko o to, że opiekunowie, nawet najwspanialszy, nie są po prostu dla dziecka mamą i tatą – mówi Elżbieta Różańska, która jako psycholog przez lata pracowała w domach dziecka i ośrodkach wychowawczych. – Także o to, że dzieci w rodzinie adopcyjnej są nie tylko córkami i synami, ale też wnukami, siostrzeńcami, kuzynami. Zawsze będą do tej rodziny należeć, nawet po stracie rodziców. W pieczy zastępczej dzieci przebywają do tzw. usamodzielnienia. Potem zaczynają zwykle życie bez oparcia bliskich albo wracają do swoich biologicznych rodzin, tych samych, z których wcześniej je zabrano.

– Oczywiście bywa, że dzieciom jest w rodzinach zastępczych dobrze – mówi S., opiekunka Amelki. – Ale nawet

wtedy czekają... Amelka pyta, czy może do mnie mówić „mamo”. Pozwalam, ale wiem, że i tak jestem dla niej „ciocią”.

Jak na tym tle wyglądają przysposobienia zagraniczne? To tysiące historii, zapewne różnych. Ale w polskim środowisku adopcyjnym i zastępczym trudno usłyszeć inną opinię: adopcja i piecza zastępcza to dwa różne światy.

– To były w większości historie z happy endem, choć czasami umiarkowanym – mówi Halina Balewska-Jurczak ze stowarzyszenia La Cicogna, z siedzibą w Turynie, za pośrednictwem którego przed 2017 r. adoptowano łącznie ok. 650 dzieci. – Dlaczego umiarkowanym? Bo na życie w nowej rodzinie musiały mieć przecież wpływ zranienia, choroby i traumy z „poprzedniego” życia. Ale jednego jestem pewna: w porównaniu z pieczą zastępczą adopcja zagraniczna to los wygrany na loterii. Każdą sfinalizowaną procedurę traktowałam jak uratowanie dziecka.

Historia II: „Dwa zmarnowane lata”

– Mam pytanie do minister Rafalskiej: czy chciałaby przebywać w tak „stabilnym” i „rodzinnym” środowisku jak rodzina zastępcza? Albo placówka? – mówi na początek Magdalena Szymczyńska, dyrektorka Zakładu Pielęgnacyjno-Opiekuńczego dla dzieci do lat 4 w Częstochowie.

Leży tu 23 dzieci. Przyjeżdżają, bo potrzebują opieki lekarskiej. Na rodziców biologicznych liczyć nie mogą. Przypadki? Np. tata ugodził nożem mamę. Albo mama w szpitalu dowiedziała się o wodogłowie syna... Wspólny mianownik dla większości: pijąca w ciąży matka, dziecko trafia do Zakładu prosto ze szpitala z podejrzeniem zespołu FAS. – Czasami tak głębokiego, że nie potrafiąssać, połykać. W przyszłości będą miały upośledzenia, problemy emocjonalne. Ich szansa na adopcję krajową jest zerowa – mówi dyrektor Szymczyńska.

Siedzimy w sekretariacie, na ścianie wielkoformatowe fotografie. Z jednej patrzy drobna dziewczynka o ciemnych, kędzierzawych włosach. Z drugiej uśmiecha się blond chłopiec. Mieli szczęście: są dwójkiem spośród 45, które w ciągu dekady wyjechały z tutejszego Zakładu za granicę. Ale od stycznia 2017 r. żadne tutejsze dziecko do adopcji zagranicznej nie trafiło.

Rozmawiamy o trzyletniej Natalii, która będzie nam towarzyszyć – przyniesiona na rękach przez jedną z pań – podczas rozmowy. Kto sam nie obserwował, jak wyglądają fazy rozwojowe dziecka, pewnie niczego nie zauważy. Zwłaszcza że Natalka, drobna, z krótko ciętymi lokami, będzie skakać na kolanach dyrektorki Szymczyńskiej, dokona próby połknięcia leżącego w zasięgu jej ręki cukierka wraz z papierkiem, uśmiechnie się do każdego dorosłego w zasięgu jej wzroku. Wulkan.

Tyle że waga jej ciała to bardziej waga dziecka półrocznego. Podobnie mowa – Natalka gaworzy monosylabami. Iloraz rozwojowy poniżej normy. Twarz – tak by powiedzieli lekarze – dysmorficzna. Szeroko rozstawione oczy, szeroki nos, wąskie usta. Urodziła się w lutym 2016 r. Matka piła w ciąży. Pierwsze dwa miesiące spędza w szpitalu, potem trafia do pogotowia opiekuńczego. W maju 2016 r. zostaje zgłoszona do adopcji. Ale w Polsce nie udaje się znaleźć rodziców. Nie dla „takiego dziecka”.

W sierpniu 2016 r. Natalka dostaje kwalifikację do adopcji zagranicznej. A już miesiąc później KOA znajduje rodzinę z USA. Procedura przedłuża się, przychodzi wspomniany styczeń 2017 r. To oznacza nie tylko decyzję o ograniczeniu przysposobień, ale też o powtórnej kwalifikacji dzieci. – Musieliśmy zebrać raz jeszcze dokumenty, poszukać rodziny polskiej, wysłać informacje do banku danych. I czekać – słyszę od Anny Wójcik, kierowniczk



sosnowieckiej filii Wojewódzkiego Ośrodka Adopcyjnego, który szukał rodziny dla Natalii.

Decyzja przychodzi dopiero w czerwcu 2018 r. Odmowna. Po odwołaniu jest kolejna odmowa. Gdy dziecko jest już w Zakładzie, ośrodek adopcyjny postanawia – w związku ze zmianą sytuacji dziecka – walczyć po raz trzeci. Znowu szuka rodziny w kraju. Znowu bezskutecznie.

– Czekamy – mówi Anna Wójcik. – Dostaliśmy decyzję o ponownej kwalifikacji. KOA będzie teraz, powtórnie, szukał rodziny. A potem decyzja ministerstwa...

– Wciąż liczymy na dobre zakończenie – dodaje Magdalena Szymczyńska. – Ale nawet jeśli to nastąpi, to zmarnowano dziewczynce dwa lata życia. Robimy tu, co w naszej mocy. Mamy nawet sześć pań na zmianie. Przywiązujemy się do dzieci, przytulamy je. Ale nigdy nie zastąpimy rodziny. Każdy miesiąc w placówce to kolejne zaburzenia dziecka.

– Co jeśli dostaniecie kolejną odmowę, a Natalia skończy cztery lata? – pytam.

– Kolejna placówka – nie ma wątpliwości dyrektor Szymczyńska. – To niepojęte, że na skutek jednego dramatu zdemolowano coś, co dobrze działało.

Włosi bliscy rezygnacji

Te dwie historie to nie odosobnione przypadki. Wiele podobnych opowiadań w ośrodkach adopcyjnych (wśród kilkunastu zebranych opinii nie usłyszałem ani jednej popierającej wprowadzone w 2017 r. zmiany).

Anna Wójcik przytacza losy 11-letniego chłopca. Mieszka w domu dziecka, jego przyrodnia siostra znalazła rodzinę za granicą, on był o krok od adopcji krajowej. – Ale kandydaci na rodziców nie poradzi sobie z nim już na etapie wstępnych kontaktów – opowiada Wójcik. – Nie unieśli buntu, agresji, wszystkiego, czego można się spodziewać po dziecku przez lata odrzucanym, które testuje każdego nowego dorosłego w swoim otoczeniu, bo nie czuje się pewnie. Na to kolejne odrzucenie chłopiec zareagował, wyrывая sobie włosy z głowy i brwi... Zgłosiliśmy go do adopcji zagranicznej. W lipcu tego roku przyszła z ministerstwa odmowa, a po wystosowaniu odwołania kolejna. Mimo opinii z wysłuchania dziecka, w której chłopiec deklarował „chęć posiadania rodziny. Bardzo chciałby trafić do adopcji zagranicznej (...) Największym marzeniem chłopca jest tata grający w piłkę nożną”.

Zmarnowano dziewczynce dwa lata życia.

Robimy, co w naszej mocy,
ale nie zastąpimy rodziny.

Każdy miesiąc w placówce
to kolejne zaburzenia
dziecka – mówi
Magdalena Szymczyńska.

Historia kolejna: dwóch sióstr, czternaście- i dwunastolatki. – Między dziewczynkami nie było silnej więzi, więc ośrodek adopcyjny dopuszczał ich rozdzielanie – opowiada Balewska-Jurczak, która ma za sobą także pracę w pogotowiu opiekuńczym i ośrodku adopcyjnym. – Ministerstwo się na to nie zgodziło, mimo że były rodziny dla obu dziewczynek. A na końcu dzieci zostały i tak rozdzielone, trafiając do dwóch różnych domów dziecka.

Ile może być podobnych historii? Nawet kilkaset, bo o tyle dzieci mniej otrzymało zgodę na adopcję zagraniczną w ciągu ostatnich dwóch lat. Chodzi o odmowy bądź to na etapie kwalifikacji, bądź decyzji ministerstwa, a więc już po zakwalifikowaniu rodziny z zagranicy do konkretnego dziecka przez Katolicki Ośrodek Adopcyjny.

– Sytuacja jest bardzo trudna, bo nie ma żadnej pewności co do wydania przez ministerstwo zgody na kontynuowanie procesu adopcji dla dzieci, które już zostały zaproponowane konkretnej rodzinie i uzyskały pozytywną opinię kwalifikacyjną – słyszę od Małgorzaty Mendez z KOA. – Dzieci są coraz starsze, przeżywają kolejne doświadczenie odrzucenia. Tracą zaufanie do osób, z którymi rozmawiały o przysposobieniu, a potem ich marzenie o wyjeździe się nie spełniło. Dzisiaj trudno nawet powiedzieć, czy zagraniczni kandydaci na rodziców, którzy zgłosili się po konkretne dzieci, a następnie usłyszeli o braku możliwości kontynuowania procedury, będą chcieli czekać. Poza tym zgromadzone dokumenty ulegają przedawnieniu, kandydatom przybywa lat, w dodatku tracą zaufanie do polskich procedur, i z prośbą o adopcję zwracają się do innych krajów. Już słyszymy od przed-

stawicieli zagranicznych organizacji, że koszt emocjonalny dla kandydatów na rodziców stał się zbyt duży.

Potwierdza to w rozmowie z „TP” Anna Waszczyńska, prezes stowarzyszenia La Cicogna (Włochy to dominujący kierunek naszych adopcji zagranicznych): – O ile jeszcze w 2017 r. sfinalizowaliśmy przysposobienia 17 dzieci, to już w ubiegłym żadna z procedur nie została dokończona. W dodatku mamy w tej chwili polsko-włoski klinch na szczęblu rządowym. Tutejsza komisja przy Prezydium Rady Ministrów wydała zalecenie, by żadna włoska akredytowana organizacja adopcyjna działająca na terenie Polski nie przyjmowała już pełnomocnictw od kandydatów na rodziców, skoro i tak prawie wszystkie te procedury kończą się odmowami ze strony polskiego ministerstwa. To wszystko oznacza, że prędzej czy później będziemy musieli zamknąć działalność.

Ministerstwo (nie) odpowiada

Co na to wszystko ministerstwo?

Resort nadesłał uzasadnienie zmian, a w nim wyimki z krajowych i międzynarodowych aktów prawnych, które traktują adopcję międzynarodową jako swego rodzaju ostateczność (w żadnym jednak nie ma mowy o prymacie pieczy zastępczej nad adopcją). „Oferowane dzisiaj efektywne narzędzia wsparcia i troska, jaką rząd polski otacza rodziny wychowujące dzieci, w tym rodziny zastępcze, dają gwarancję zabezpieczenia dobrostanu większości dzieci” – pisze biuro prasowe MRPiP.

Poprosiłem o rozmowę z przedstawicielem resortu, by zapytać, jak to uzasadnienie ma się do losów konkretnych dzieci. Bez skutku. Zadałem więc pytania mailem:

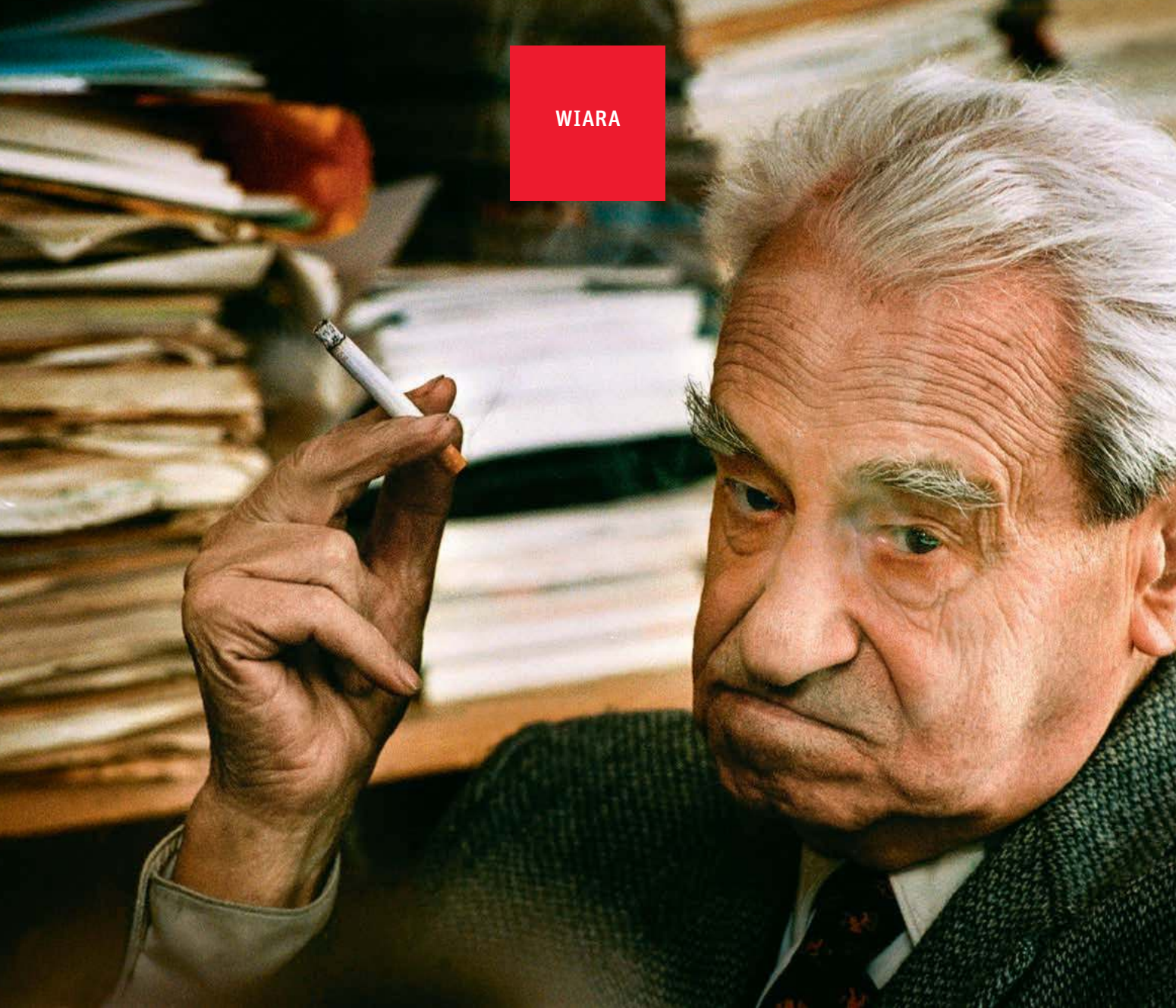
Jakie są źródła „głębokiego przekonania” o możliwości „znalezienia w Polsce właściwego, stabilnego środowiska rodzinnego”? Czy zmiana była konsultowana z ekspertami: psychologami, pedagogami? A jeśli tak, to czy można poznać ich nazwiska?

Czy ministerstwo monitoruje szczegółowo losy dzieci, którym odmówiono adopcji? Czy podejmując decyzje, resort brał pod uwagę głos dzieci?

Na odpowiedź czekałem trzy tygodnie. Bezskutecznie.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Imiona dzieci zostały zmienione.



WIARA

Jerzy Turowicz w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, 1995 r.

W KRAINIE WYKRZYKNIKÓW

20 lat temu zmarł Jerzy Turowicz,
założyciel i wieloletni redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”.
Co by powiedział o dzisiejszych polskich wojnach,
nie tylko tych toczonych o wiarę i niewiarę?

MICHAŁ OKOŃSKI



WOJCIECH DRUSZCZ / ARCHIWUM „TP”

Byście się nie zjedli

A przecież abp Gądecki był zwyczajnie zgodny nie tylko z przesłaniem Ewangelii, ale z elementarną wrażliwością na los drugiego człowieka – każdego człowieka. Wyobrażam sobie, że słowa o zabójcy, który potrzebuje większego współczucia niż zabity, mogłyby paść np. z ust Jacka Kuronia, i to nie tylko dlatego, że ów nazywany przez przyjaciół laickim świętym polityk i działacz wiedział, co to więzienie. „Przekonałem się, chyba mogę się tak wyrazić, że nawet tzw. zwyrodniali przestępcy nade wszystko pragną kochać i tworzyć; i to właśnie z faktu, że nieomal uniemożliwiono im to, wyprowadzałbym ich zbrodnię” – pisał w „Chrześcijanach bez Boga”.

Co się takiego z nami stało, że nie jesteśmy w stanie usłyszeć najprostszych słów? Czy zdolność rozumienia odbiera nam samo to, kto je wypowiada? Czy nie lepiej jednak spróbować się usłyszeć? „Całe Prawo wypełnia się w tym jednym nakazie: Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego. A jeśli u was jeden drugiego kąsa i pożera, baczcie, byście się wzajemnie nie zjedli” – to fragment listu św. Pawła do Galatów, ale znów: podobnych zdań znajdziemy wiele u myślicieli laickich. „Zasada autonomii osoby ludzkiej to zatem radykalne wymaganie, by zaakceptować drugiego człowieka takiego, jakim jest. Zaakceptować bez warunków, a jeśli trzeba – to przeciw sobie” – zauważał Kuroń, dodając natychmiast, że jeśli przyjąć tę zasadę bez miłości, to „szybko zwróci się ona przeciw miłości, a więc przeciw drugiemu człowiekowi”.

O miłości i o byciu dobrymi dla siebie nawzajem mówiła dobitnie do gdańszczyzan wdowa po zabitym prezydencie, Magdalena Adamowicz. Inny wołający na puszczy, niedawno zmarły izraelski pisarz Amos Oz, w wykładach o fanatyzmie radził: „Nawet kiedy masz stuprocentową rację, a ten drugi w stu procentach się myli, nawet wtedy pożytecznie jest wyobrazić sobie tego drugiego”.

Rozmowa sprzed 30 lat

Gdybym nie czytał tego numeru „Znaku”, gdybym nie znał i nie rozmawiał z wieloma uczestnikami tamtej konferencji, mógłbym nie uwierzyć – a co dopiero wielu młodszych ode mnie czytelników. Numer ten, z wiosny 1989 r., a więc dokładnie sprzed 30 lat, to efekt spotkania, tak, to nie pomyłka, w siedzibie Episko-

patu. Na zaproszenie Komisji Episkopatu ds. Dialogu z Niewierzącymi, 31 maja 1988 r. jej progi przekroczyli m.in. Marek Edelman, Bronisław Geremek, Artur Międzyrzecki i Jan Strzelecki, jeden z referatów wygłosił Adam Michnik, a po stronie „katolickiej” w rozmowie uczestniczyli m.in. biskupi Kazimierz Majdański i Alfons Nossol, o. Jacek Salij i przysłany przez Jana Pawła II kard. Paul Poupard.

Zorganizowana z inicjatywy Krzysztofa Śliwińskiego konferencja „Niewierzący a Kościół” była zwieńczeniem – a z dzisiejszej perspektywy też zamknięciem – pewnego etapu procesu zbliżania ludzi Kościoła i laickiej inteligencji. Sprzyjały temu niewątpliwie okoliczności zewnętrzne: kościelna fala odnowy po Soborze Watykańskim II oraz świadomość wspólnego przeciwnika – komunistycznej władzy. Kiedy w 1977 r. Adam Michnik publikował książkę „Kościół, lewica, dialog”, działał już Komitet Obrony Robotników, który współtworzyli niewierzący i antyklerykalowie wraz z katolikami. A wkrótce przyszedł stan wojenny: schronienie udzielane ludziom opozycji w kościołach i płynące z ust katolików propozycje strategii czy prawd życiowych, np. „Zło dobrem zwyciężaj” ks. Jerzego Popiełuszki.

„Raduję się, że intelektualści, artyści, ludzie kultury znajdują w Kościele przestrzeń wolności, której nieraz brakuje im gdzie indziej – mówił podczas pielgrzymki do Polski w 1987 r. Jan Paweł II. – I że dzięki temu odkrywają istotę i rzeczywistość duchową Kościoła, którą wcześniej widzieli jakby z zewnątrz. Ufam też, że Kościół polski odpowie w pełni na zaufanie tych ludzi przychodzących nieraz z daleka i znajdzie język, który trafi do ich umysłów i serc”.

Oblężone twierdze

Dziś już wiadomo, że papieskie nadzieje się nie spełniły – i że on sam mówił później innym językiem. Kościół, który na przełomie lat 80. i 90. był jednym z akuszerów wolności, „w oczach wielu z nas przeobraził się w zagrożenie dla niej, zaś wielu ludzi Kościoła wolność, za którą tęsknili i dla której ponosili ryzyko i wyrzeczenia, zaczęło traktować jako »dar nieszczęsny«” – pisał badający relacje między państwem i Kościołem w pierwszej dekadzie III RP Jarosław Gowin.

Historia wolnej Polski to z jednej strony poczucie zagrożenia „państwem wyznaniowym”, z drugiej – obawa przed

TO MOŻE PARADOKSALNE, ALE ZABÓJCA potrzebuje większego współczucia niż zabity” – te słowa abp. Stanisława Gądeckiego po zabójstwie prezydenta Gdańska wywołały, jak napisał eufemistycznie jeden z portali, mieszane uczucia. Eufemistycznie, bo szukając w internecie pełnego tekstu wypowiedzi przewodniczącego Episkopatu natychmiast natrafiłem na określanie mówcy mianem „Głębeckiego” i przeczytałem, że duchowny „haniebnie” skomentował sytuację; darujmy sobie cytowanie określeń podpadających pod definicję mowy nienawiści czy wzywających do przemocy wobec „Kaczyńskiego z jego bandą” i „biskupów z całym tym ich spowrotniałym Kościołem kat.”.

→ zepchnięciem do „katolickiego getta”, przypadki instrumentalizacji religii w kampaniach politycznych, spory o miejsce wartości chrześcijańskich w ustawodawstwie, a wreszcie zmiana tonu publicznej debaty, która kazała Gowinowi sięgnąć po sformułowanie „zimna wojna religijna”. Ludzie „przychodzący nieraz z daleka” słyszeli w jej trakcie niesprawiedliwe oskarżenia, że ich wyjście na spotkanie z Kościołem było zabiegiem taktycznym, jeśli nie przejawem koniunkturalizmu.

Przykładów narastającej radykalizacji języka było mnóstwo, nazwiska ks. Henryka Jankowskiego czy o. Tadeusza Rydzika z jednej strony, z drugiej zaś Jerzego Urbana czy Janusza Palikota urastały do rangi symboli, i pewnie nie sposób teraz ocenić, kto zaczął albo która ze stron w psuciu debaty położyła większe „zasługi”. Były też próby ponownego przerzucania mostów: sam uczestniczyłem w powtórnym spotkaniu wierzących z niewierzącymi, zorganizowanym przez „Znak” w siedzibie Episkopatu w 2001 r., a w czasach, gdy jezuitom „Życiem Duchowym” kierował ks. Stanisław Obirek, pismo regularnie zamieszczało teksty o tym, w co wierzy ten, kto nie wierzy. Generalnie jednak nieufność narastała, a niejednego czołowego publicysta uznawał próby poszukiwania porozumienia wierzących z niewierzącymi nie tylko za podejrzaną, ale zwyczajnie niepotrzebną i obłudną. „To ja już wołę ajatollaha Terlikowskiego niż tych załganych pseudoliberalnych pseudodoktrynalnych, dwie pierśi ssących liberalnych katolików” – pisał np. Tomasz Lis.

Doszliśmy w każdym razie do punktu, w którym po śmierci prezydenta Adamowicza wypowiedzi biskupów przyjmowane są z równym brakiem uwagi, jak wypowiedzi wszelkich innych aktorów życia publicznego, co zresztą nie oznacza, że Kościół jest nieobecny albo nie słuchany. Wyjątkowo donośnie w tych dniach wybrzmiewały np. słowa s. Małgorzaty Chmielewskiej albo Szymona Hołowni.

Można by powiedzieć: zrobiło się normalnie, tyle że równocześnie doszliśmy do punktu, w którym nawet Jerzy Sosnowski daje świadectwo tkwienia w obłąkanej twierdzy. „Jeśli nie jestem ateistą, jestem przegłupem – takim przesłaniem częstują mnie moi przyjaciele ateści” – uskarża się publicysta „Więzi”, dodając, że podobnego natężenia nienawiści do chrześci-

Mówimy coraz głośniej,
słyszemy coraz mniej.
Naturalnym żywiołem
Jerzego Turowicza była cisza.

jaństwa, jakie widzi u wielu znajomych, nie pamięta nawet z „Trybuny Ludu”. Jednak w dzisiejszej Polsce ateistyczne tajne służby nie porywają i nie mordują katolickich księży...

Łączy mnie, oczywiście, z Sosnowskim to, że „kiedy ktoś robi z fenomenu wiary, z kultury, którą ta wiara wyhodowała, zbiór idiotyzmów niegodnych uwagi, a ludzi w sutannach wyklucza z kręgu bliźnich, szanowanych jako ludzie (nie na podstawie tego, kim jest ten czy inny duchowny, tylko dlatego, że jest duchownym!)”, myślę: odbierasz coś zarówno sobie, jak i mnie. Rozumiem jednak tych, którzy czują się potraktowani paternalistycznie deklaracjami typu „będę się za ciebie modlił”. Podobnie jak tych, którzy czytając nekrologi bp. Tadeusza Pieronka nie potrafią zapomnieć jego wypowiedzi o dzieciach poczętych z *in vitro*. I nie chodzi tu o to, czy zmarły hierarcha wygłaszał zdania zgodne z nauką Kościoła, ale o sposób, w jaki to czynił.

Zdaję sobie też sprawę – „Tygodnik” wielokrotnie o tym pisał – jak fatalne wrażenie w ciągu ostatnich lat robiły próby ingerowania przez biskupów w sprawy bieżącej polityki albo ile szkody narobił o. Rydzik natrętnymi apelami do rządu o jeszcze więcej pieniędzy na swoje inwestycje, nie mówiąc o aferach związanych z komisją majątkową. Jeśli o mówie nienawiści mówimy: przykładów, że płynęła z ust ludzi Kościoła, jest sporo i trudno robić zarzut informującym o nich mediom, iż nie wspominają o codziennym dobru, które w tym samym czasie wydarza się za sprawą Kościoła i że w związku z tym wielu kreujących jego publiczny obraz dziennikarzy zwyczajnie nie ma o nim pojęcia. Tak, doszliśmy także do punktu, w którym dla wielu symbolem katolicyzmu jest ks. Henryk Jankowski, a nie np. pochodzący z tego samego miasta ks. Jan Kaczkowski.

Jak uleczyć fanatyka

Czy możemy się w tej sytuacji porozumieć? „Z mojej wizji świata wynika prze-

konanie, że musimy – odpowiadał autor „Chrześcijan bez Boga”. – Bo żyć możemy tylko we wspólnym świetle”. Ale Kuroń był w tym punkcie radykałem. Ja bym wołał pozostać przy możliwości, nie przymusić porozumienia. Nie chodzi o żaden kicz pojednania, a dobrym prawem każdego jest odmowa rozmowy i uznanie, że win drugiej strony jest tyle, iż zwalnia to z wysiłku wchodzenia w jej buty.

Inna postawa – Kuroń mówi o zobaczeniu i przeżyciu w pełni odrębności drugiego człowieka, o odnalezieniu go w sobie, z tym wszystkim, co nas w nim zadziwia i oburza – wydaje się przecież niemal niemożliwą, a na pewno heroiczną („Strasznie wiele od ciebie żądam. Ni mniej ni więcej – tylko żebyś stracił wiarę. Żebyś na jakiś moment był mną – czuł tak jak ja i to, co ja”, dopowiada, bo jego esej jest właśnie o spotkaniu wiary i niewiary). Nie zawsze mam ochotę odnajdywać w sobie kogoś, kto mnie obraża, czy choćby tylko zniekształca moje poglądy w polemikach.

Czytając lekceważące zdania o katolikach otwartych, którzy rzekomo milczeli w sprawie pedofilii w Kościele, irytuję się i mam ochotę podsunąć ich autorom szereg tekstów, które ukazywały się w tej sprawie na łamach „TP” na długo przed tym, jak stała się ona jednym z centralnych tematów polskiej debaty. Z drugiej strony: sam doświadczyłem w rozmowach z najbliższymi mi ludźmi, jak łatwo potrafię ich nie słyszeć – jak słowa, które wypowiadają, w drodze z ich ust do moich uszu ulegają zniekształceniu i nawet nie potrafię ich wiernie powtórzyć.

Może trudno się dziwić: żyję w kraju, w którym wszyscy mówimy coraz głośniej – stajemy się chodzącymi wykrzyknikami – a zarazem słyszymy coraz mniej. Oz w „Jak uleczyć fanatyka” nazywał to „syndromem jerozolimskim”. Opisywał miasto, w którym nawet w kolejce do autobusu wszyscy się spierają o politykę, moralność, historię, tożsamość i o to, jakie są prawdziwe zamysły Boga. Wszyscy krzyczą, nikt nie słucha. „Oprócz mnie – dodawał Oz, nie bez autoironii, o której chciałbym jeszcze napomknąć. – Ja czasami słucham, w ten sposób zarabiam na życie”.

Porozumieć się więc nie musimy, ale chyba możemy – dla wspólnego dobra, którego nie trzeba definiować językiem konfesyjnym. Płaszczyn, na których mogłoby się udać, jest wiele – i nieraz np. słusznie się wzywa biskupów, by wy-

chowowali swoich wiernych do dbałości o przyrodę albo otwartości na uchodźców (robią to zresztą). To Adam Michnik przekonywał kiedyś, że Kościół w Polsce źle definiuje zagrożenia – że nie jest nim np. *gender*, tylko nihilizm (któremu zdarza się występować też pod religijnym przebraniem).

Także w najnowszej historii Polski udało się porozumieć – i raczej wychodziły z tego dobre rzeczy. Kiedy jednym z rozdziałów „zimnej wojny religijnej” był spór o *Invocatio Dei* w konstytucji, Stefan Wilkanowicz wymyślił i opublikował na łamach „TP”, a Tadeusz Mazowiecki przeczytał i przeprowadził w parlamencie takie brzmienie preambuły, że definicją narodu stali się w niej „wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł, równi w prawach i w powinnościach wobec dobra wspólnego – Polski”.

Były to, nawiasem mówiąc, czasy, w których na 60. urodziny Jacka Kuronia Jerzy Turowicz pisał tekst do poświęconej mu księgi pamiątkowej – tekst oparty na jednym z najpiękniejszych utworów definiujących miejsce chrześcijan w życiu publicznym, czyli pochodzącym z II w. „Liście do Diogneta” („Chrześcijanie nie różnią się od innych ludzi ani miejscem zamieszkania, ani językiem, ani strojem...”).

Przyjazny rozdział Turowicza

Jerzy Turowicz, którego 20. rocznicę śmierci właśnie obchodzimy, słowami posługiwał się z wyjątkową precyzją. Kiedy czyta się jego artykuły, także na temat dialogu wierzących z niewierzącymi, stosunków państwo-Kościół czy roli chrześcijaństwa we współczesnym świecie, precyzja ta czasem ociera się o oschłość.

Kościół i polityka? Z natury swojej Kościół nie chce być siłą polityczną, ma inne zadania, nie ma gotowych rozwiązań dla problemów ekonomicznych itp., natomiast pełni funkcję profetyczną: chciałby przestrzegać w życiu publicznym zasad moralnych, broni praw człowieka. Rozdział Kościoła od państwa jest czymś oczywistym, bo państwo jest dobrem wspólnym, w którym nikt nie może się czuć obywatelem drugiej kategorii, ale jest to rozdział przyjazny: taki, który dopuszcza współpracę, nienaruszającą – prosta rzecz – zasady neutralności światopoglądowej.

W ramach takiego rozdziału wyobrażalne jest np. nauczanie religii w szkołach – pod warunkiem, rzecz jasna, że nie będzie to przyczyną nietolerancji, dyskryminacji lub ostracyzmu. W ramach takiego rozdziału możliwe jest przypominanie przez biskupów kościelnego nauczania w sprawie aborcji, choć decyzje na temat ustaw pozostają w rękach parlamentarzystów (dyskusja o przerywaniu ciąży możliwa jest zresztą bez odwoływania się do argumentów religijnych). W ramach takiego rozdziału możliwe jest istnienie Funduszu Kościelnego (pamiętajmy, że powstał w ramach odszkodowania za przejęty przez komunistów w 1950 r. majątek), ale też debata na temat zastąpienia go np. dobrowolnym odpisem podatkowym.

Jednym z najczęściej poruszanych w ostatnim okresie życia przez Jerzego Turowicza tematów był kościelny rachunek sumienia. Pytany o to, co jest właściwie złego w Kościele, chętnie cytował jednak słowa Matki Teresy: „Ty i ja”, zaproszony zaś przez „Więź” do refleksji nad błędami własnego środowiska, mówił nie tylko o jego zaangażowaniu politycznym po 1989 r., ale też o niedostatecznej gotowości do dialogu, poczuciu wyższości i przekonaniu, że tylko my mamy rację, „co prowadzić musiało do pewnego elitaryzmu, do zamykania się we własnym getcie”.

Katalog „wartości chrześcijańskich”, zdaniem Turowicza, zawiera się w błogosławieństwach z Kazania na Górze i w radach ewangelicznych, są to więc w ogromnej mierze wartości ogólnoludzkie (chrześcijanie nie są ich „posiadaczami”), fundujące cywilizację europejską i naznaczające też kulturę polską. Siłą wiążącą wspólnotę winna być miłość bliźniego, z której płynie poszanowanie odmienności i prawa każdego człowieka do własnych przekonań, gotowość do dialogu i kompromisu, a w sytuacji nieuniknionych napięć – dążenie do pojednania, gotowość do przebaczenia, wyrzeczenie się przemocy, dla

chrześcijan także, skądinąd tak trudny do przyjęcia, nakaz miłości nieprzyjaciół.

Racja i śmieszność

To jednak tylko słowa – dla niektórych nasycone treścią, dla niektórych może zbyt ogólne. Słowa nie wystarczą.

„Mogłoby się wydawać, że naturalnym jego żywiołem jest cisza” – pisał o Turowiczu Jan Józef Szczepański i ci, którzy pamiętają Naczelnego z zebrań redakcji, wiedzą, że odzywał się rzadko, a mówili głównie oni. Zarazem i autor „Polskiej jesieni”, który jako ukrywający się partyzant spędził z założycielem „Tygodnika” kilka miesięcy okupacji, będąc świadkiem, jak czytał na głos wiersze, i tylu innych wspominało właśnie melodię jego słów. Zachowały się zresztą – można je znaleźć na YouTube – nagrania, na których Turowicz recytuje wiersze Miłosza.

Janina Kraupe-Świdarska, malarka z Grupy Krakowskiej, która spotykała go podczas prób w teatrze Kantora, wspominała: „Pamiętam, że był niesłychanie delikatny, pełen empatii, otwarty na ludzi, łagodny. Przystojny brunet o aksamitnym tembrze głosu, nawet w ciemnych oczach pojawiał się jakiś miękki wyraz. Sympatyczny, o miłym uśmiechu. Co rzadko się zdarza u mężczyzn, nie było w nim agresji ani szorstkości. Był uważny: skupiony na rozmówcy, czuło się, że przyjmuje go takim, jaki jest”. Joanna Olczak-Ronikier, przyjaciółka nie tylko z Piwnicy pod Baranami, w dniu śmierci Turowicza opisywała z kolei, jak chętnie się śmiał: „Nawet kiedy mówił o sprawach najbardziej poważnych i zatrażających, uśmiechał się. Jakby chciał słuchających uspokoić. Dodać im otuchy”.

Szukając lekarstwa na fanatyzm Amos Oz mówił właśnie o poczuciu humoru: „Ani razu w życiu nie widziałem fanatyka z poczuciem humoru, nie spotkałem również człowieka z poczuciem humoru, który zostałby fanatykiem, jeśli owego

Msza św. w 20. rocznicę śmierci

ś.†P.

Jerzego Turowicza

odbędzie się w niedzielę, 27 stycznia, o godz. 13.30
w kościele oo. Dominikanów (ul. Stolarska 12) w Krakowie.

→ poczucia humoru nie stracił”. Ale uwaga: nie należy mylić poczucia humoru z sarkazmem: chodzi też o zdolność śmiania się z samego siebie. „Humor to relatywizm, to zdolność widzenia siebie tak, jak inni cię widzą, umiejętność uświadomienia sobie, że choćbyś był przekonany o swojej słuszności i choćbyś został okrutnie skrzywdzony, to zawsze jest w tym coś odrobinę śmiesznego. Im więcej masz racji, tym bardziej jesteś śmieszny”.

Po tekst izraelskiego pisarza sięgam nieprzypadkowo. Wśród odrutek na fanatyzm Amos Oz wymieniał literaturę („Szekspir bardzo może pomóc. Każdy ekstremizm, każda bezkompromisowa krucjata, każda forma fanatyzmu kończy się u Szekspira albo tragedią, albo komedią. Na końcu fanatyk nigdy nie jest szczęśliwszy ani bardziej zadowolony, albo umiera, albo zostaje pośmiewiskiem”; jedną z ozdób Gdańska Pawła Adamowicza, nawiasem mówiąc, jest Teatr Szekspirowski), a literatura była również żywiołem Jerzego Turowicza.

Najsilniejszym wspomnieniem ze spotkania „Niewierzący a Kościół” w Episkopacie w 2001 r. pozostaje dla mnie to, jak ks. Tomasz Węclawski czyta „Co mam powiedzieć” – jeden z najpiękniejszych wierszy metafizycznych Stanisława Barańczaka. Było to przeżycie porównywalne z wybrzmiewającym nad milczącymi ulicami Gdańska „Sound of Silence” – i z obrazem Turowicza czytającego „Spotkanie” Miłosa.

Przestrzeń na wspólne milczenie. Umiejętność słuchania innego. Empatia. Uwaga. Uprzejmość. Uśmiech. Wisława Szymborska, pisząc o Jerzym Turowiczu, ujmowała to tak: „On naprawdę lubi ludzi. Bez złudzeń, że będą aniołami kiedykolwiek”.

„Czy pan lubi ludzi?” – to pytanie, które ks. Józef Tischner zadał podczas pewnej lubelskiej debaty młodemu wówczas, ważnemu po latach w kręgach prawicowej publicystyki polemście. Sprawdzić, czy się lubi ludzi, bez złudzeń, że będą aniołami i uwolniwszy się od potrzeby przeanielenia ich – jest to jakiś program minimum polskiego rachunku sumienia 2019.

Następnym krokiem mogłoby być ewentualnie sprawdzenie, czy się ich słyszy.

©© MICHAŁ OKOŃSKI

Bóg jest wielki

PIOTR SIKORA

Dzień Islamu w Kościele katolickim prowokuje rozważania, czy muzułmanie wierzą w tego samego Boga, co chrześcijanie – a jeśli tak, czy jedni i drudzy mogą się do Niego wspólnie modlić.

CORAZ CZĘŚCIEJ SŁYCHAĆ GŁOSY CHRZEŚCIJAN, że muzułmanie nie wierzą w tego samego Boga, co my. Może się to wydać dziwne – zwłaszcza jeśli takie opinie formułują katolicy, gdyż stoją one w sprzeczności z wypowiedziami Magisterium. Niemniej warto mieć świadomość, że wypowiedzi magisterialne w tej kwestii – jakkolwiek ważne – nie są rozstrzygające.

Magisterium o islamie

Sobór Watykański II w Deklaracji o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich „Nostra aetate” stwierdza: „Kościół spogląda z szacunkiem również na mahometan, oddających cześć jednemu Bogu, żywemu i samoistnemu, miłosiernemu i wszechmocnemu, Stwórcy nieba i ziemi, Temu, który przemówił do ludzi; Jego nawet zakrytym postanowieniom całym sercem usiłują się podporządkować, tak jak podporządkował się Bogu Abraham, do którego wiara islamu chętnie nawiązuje. Jezusowi, którego nie uznają wprowadzić za Boga, oddają cześć jako prorokowi i czczą dziewicą Jego Matkę Maryję, a nie raz pobożnie Ją nawet wzywają. Ponadto oczekują dnia sądu, w którym Bóg będzie wymierzał sprawiedliwość wszystkim ludziom wskrzeszonym z martwych. Z tego powodu cenią życie moralne i oddają Bogu cześć głównie przez modlitwę, jałmużny i post” (DRN 3).

Podobnie wypowiedział się w 1985 r. Jan Paweł II podczas spotkania z młodzieżą muzułmańską w Maroku: „My, chrześcijanie i muzułmanie, mamy wiele rzeczy wspólnych, tak jako ludzie wierzący, jak i jako istoty ludzkie. (...) Wierzmy w tego samego Boga, w Boga żywego, w Boga, który stworzył świat i doprowadza swe stworzenia do ich doskonałości”.

Ograniczony autorytet

Cytowane wyżej wypowiedzi soboru czy papieża mają jednak ograniczony autory-

tet. Nie chodzi przy tym tylko o to, że nie są zobowiązujące dla chrześcijan niekatolików, którzy kwestionują przekonanie, że muzułmanie wierzą w Boga, o którym mówi Biblia. Nawet katolicy nie są formalnie zobowiązani uznawać cytowanych wyżej wypowiedzi kościelnego Magisterium.

Żadna z nich nie znajduje się w dokumencie najwyższej, dogmatycznej rangi. Co więcej, można argumentować, że sobór czy papież mogą autorytatywnie wypowiadać się o tym, w co – czy raczej w Kogo – wierzymy my, chrześcijanie-katolicy. Ich autorytet nie sięga jednak tak daleko, by stwierdzać, w co – w k(K)ogo – wierzą wyznawcy innych religii.

A przecież, by w sposób rozstrzygający stwierdzić, że oni i my wierzymy w tego samego Boga, trzeba by znać przedmiot wiary obu wspólnot religijnych. Tak więc kwestia, którą tu rozważamy, musi być analizowana na podstawie argumentów zupełnie innej natury.

Różna treść wiary

Warto przyrzeć się, jakie jest rozumowanie tych, którzy nie uznają tożsamości przedmiotu wiary uczniów Jezusa i Mahometa. Najczęściej odwołują się oni do fundamentalnych różnic w treści wiary obu religii, dowodząc, że różnice te zmuszają do konkluzji, iż Allah, w którego wierzą muzułmanie, nie jest Bogiem chrześcijan.

Chrześcijanie wierzą bowiem, jak brzmi najbardziej rozpowszechniona argumentacja, w Boga w Trójcy Jedynego. Koran zaś, który wyraża wiarę muzułmańską, jednoznacznie zaprzecza, by Bóg był Trójcą, jak choćby w następującym fragmencie: „Nie powiadajcie: »Jest ich troje«. Odstąpcie od tego, tak bowiem będzie dla was lepiej. Zaprawdę, Allah jest Jedynym Bogiem. On jest Święty, daleki od posiadania syna”. Są nawet mocniejsze słowa krytyczne wobec chrześcijan: „I powiadają: »Miłosierny Bóg wziął sobie syna«. (...) Niechybnie wypo-



LUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

Imam gminy muzułmańskiej w Gdańsku Ismail Caylak i gdański biskup pomocniczy Wiesław Szlachetka podczas modlitwy o pokój w Centrum Ekumenicznym św. Brygidy z okazji Dnia Islamu w Kościele katolickim. Gdańsk, 26 stycznia 2018 r.

wiedzieliście rzecz najbardziej ohydną. (...) Albowiem przypisują syna Bogu Miłosier-nemu”. I na innym miejscu: „Zaprawdę, Bóg nie przebacza tym, którzy Jemu dodają współtowarzyszy, podczas gdy On przebacza, komu chce, mniejsze grzechy. A kto dodaje Bogu współtowarzyszy, ten wymy-slił grzech ogromny”.

Nie ma więc wątpliwości, że muzułmań-ska wizja Boga różni się w wielu istotnych punktach od chrześcijańskiej. Czy musi to jednak znaczyć, że chrześcijanie i mu-zulmanie wierzą w różnych Bogów? Sta-jemy tu przed filozoficznym problemem: do czego odnoszą się nasze słowa i jak to można ustalić?

Wiara chrześcijan i muzułmanów wy-raża się bowiem w słowach. Chrześcija-nin mówi: „Wierzę w jednego Boga, Ojca wszechmogącego, stwórcy nieba i ziemi...”. Muzułmanin deklaruje: „Nie ma Boga, jak tylko Allah...”. Warto mieć świadomość, że od strony językowej „Bóg” i „Allah” mają się do siebie tak samo jak „God” i „Deus” – są to cztery wzajemne od-powiedniki w różnych językach (polskim, arabskim, angielskim i łacinie). Wierzą-cym nie chodzi jednak o same słowa, lecz o pozajęzykową rzeczywistość, do której się one odnoszą. Skąd mamy wiedzieć, czy to ta sama rzeczywistość? By znaleźć odpo-

wiedź, musimy wiedzieć, jak nasze słowa „łączą się” ze światem.

Różne obrazy tego samego

Konieczne jest tu rozróżnienie tego, o c z y m mówimy za pomocą danych słów (do czego się one odnoszą) i tego, c o mówimy o tym, do czego się właśnie za pomocą języka odnosimy. Aby lepiej z-rozumieć to rozróżnienie, weźmy na począ-tek bardziej przyziemny przykład – dwa opisy pewnej postaci historycznej.

Oto pierwszy: „Pomimo że nie był wy-sokiego wzrostu, jego postawę cechowało poczucie godności i pewność siebie. Twarz zdradzała silną wolę, oczy patrzyły na świat śmiało, bez lęku”. Drugi brzmi tak: „Nie był wysoki, ale skłonny do agresji. Twarz miał zaciętą i okrutną, oczy bezlitosne”. Które z powyższych sformułowań lepiej opisuje Bohdana Chmielnickiego? Polacy wycho-wani na „Ogniem i mieczem” spirialiby się tu zapewne z pasją z Ukraińcami trak-tującymi XVII-wiecznego kozackiego wo-dza jako narodowego bohatera. Czy znaczy to jednak, że Chmielnickich było dwóch? A więc że strony sporu nie myślą i nie mó-wią tak naprawdę o tej samej osobie?

Jeśli różnice w tym, jaką treść dwóch lu-dzi łączy z danym pojęciem języka, z ko-nieczności prowadziłyby do tego, że po-

jęcie to odnoszą oni do różnych rzeczy w świecie, nie mógłby zaistnieć nigdy au-tentyczny spór co do natury żadnej rzeczy. Zamiast spierać się, co do tego, jaka jest dana rzecz, myślelibyśmy i mówilibyśmy po prostu o różnych rzeczach.

Jeśli zatem przekonani czytelnicy Sien-kiewicza i ci, dla których Chmielnicki jest bohaterem narodowym, mogą za po-mocą imienia „Bohdan Chmielnicki” (i jego ukraińskiej wersji) odnosić się do tej samej osoby historycznej i jednocze-snie różnić się w swoich przekonaniach co do tego, jakim człowiekiem była ta hi-storyczna postać – to dlaczego chrześcija-nie i muzułmanie nie mogliby różnić się w swoich teologicznych przekonaniach na temat Boga, a jednak odnosić się za po-mocą słowa „Bóg” (i jego arabskiej wersji: „Allah”) do tej samej rzeczywistości?

Łańcuch intencji

Ktoś mógłby w tym miejscu powiedzieć, że Polacy i Ukraińcy odnoszą się do tej samej historycznej postaci, ponieważ da się pokazać, że używane przez nich imię „Bohdan Chmielnicki” (i jego ukraińska wersja) ma pewną historię – istnieje łań-cuch kolejnych pokoleń, które uczyły się od poprzedników owego imienia z tą samą intencją: odnosić się za jego pomocą →

→ do osoby, która została tak właśnie nazwana przez ludzi, którzy bezpośrednio tę historyczną postać znali. Pomimo różnic w poglądach, łańcuchy polski i ukraiński sięgają do tej samej osoby.

Czy istnieją jednak podobne łańcuchy pokoleń chrześcijan i muzułmanów, które sięgałyby do tej samej, bezpośrednio poznanej osoby Boga (Al-laha)? Przecież przedmiotu religijnej wiary nie da się tak namacalnie rozpoznać, wskazać i nazwać, jak można to zrobić w przypadku człowieka.

Boga nie da się pokazać palcem, jak można było kiedyś pokazać Chmielnickiego. Istnieją jednak chrześcijańskie i muzułmańskie „łańcuchy pokoleń”, które łączą słowa „Bóg” i „Allah” z tym samym człowiekiem i jego religijnym doświadczeniem. Obie wspólnoty bowiem powołują się na Abrahama jako na ojca swojej wiary. Różnią się w poglądach na temat tej postaci, ale świadomie włączają się w historyczną tradycję, która do Abrahama sięga przez lud Izraela, z wyraźną intencją: w swojej wierze odnosimy się do Tego, którego doświadczył Abraham, jako swojego Boga (niezależnie od wszystkich różnic w rozumieniu charakteru owego doświadczenia). Można więc uznać, że chrześcijanie i muzułmanie wierzą w tego samego Boga, choć spierają się o jego naturę, gdyż jedni i drudzy wierzą w Boga Abrahama.

Istnieje też druga „wspólnota intencji”, która uzasadnia tożsamość przedmiotu chrześcijańskiej i muzułmańskiej wiary. Obie wspólnoty bowiem chcą się w swej wierze odnosić do ostatecznego Źródła i Podstawy całej doświadczonej rzeczywistości. Choć więc szczególnie metafizycznych koncepcji mogą się bardzo różnić, intencja, by w wierze kierować się tylko ku ostatecznemu Źródłu – tj. Stwórcy – świata, a nie ku cemukolwiek innemu, jest wspólna dla wyznawców obu religii.

Łącząc powyższe fakty, można powiedzieć, że choć chrześcijanie i muzułmanie wierzą inaczej, wierzą w tego samego Boga, jak powiedział Jan Paweł II. I choć w nieco inny sposób czczą Tego, w którego wierzą, czczą Tego samego. Chrześcijanin może więc razem z każdym muzułmaninem wykrzyknąć: „Allahu akbar!” – „Bóg jest wielki!”.

©© PIOTR SIKORA

Kochany inny

PATRYCJA I RAFAŁ PROSTAK, MAŁŻEŃSTWO PROTESTANCKO-KATOLICKIE:

W kwestiach fundamentalnych zachowujemy jedność, a w kwestiach drugorzędnych kierujemy się miłością: i powinno to dotyczyć tak rodziny, jak i relacji między Kościołami.

MACIEJ MÜLLER: Kogo jest u Państwa więcej?

RAFAŁ PROSTAK: Jeżeli pyta pan o ilość cukru w cukrze, to chyba mniej jest katolickiego, bo dzieci chodzą na katechezę ewangelicką. Ale jeśli idzie o tożsamość, to naszą rodzinę nazwałbym raczej chrześcijańską niż katolicko-luterańską. Punktem odniesienia jest dla nas chrześcijaństwo, a nie konkretny sposób jego wyznawania. Inaczej łatwo o pokusę, by obecność katolicyzmu i luteranizmu równoważyć, a to nie służyłoby stabilności.

Jak to jest, kiedy najbliższa na świecie osoba nie dzieli naszych fundamentalnych przekonań?

PATRYCJA PROSTAK: Fundamentalnych? W *Credo* wyznajemy dokładnie to samo. Różnią nas pewne akcenty w liturgii, pobożności i teologii. Dla mnie te różnice nie mają jednak charakteru fundamentalnego.

RP: Jeśli za rzecz kluczową przyjmujemy autorytet papieża – to rzeczywiście nasze drogi się rozjadą. Z tym że dla nas podstawą jest Ewangelia. Oczywiście jeśli napięcie się poszukuje, to się je znajdzie. Z doświadczeń innych rodzin wiem, że problemy pojawiają się wtedy, kiedy w relacje między małżonkami różnych wyznań miesza się starsze pokolenie.

PP: Budowanie własnej tożsamości nie powinno polegać na wskazywaniu tego, co różni. Wtedy nie ma mowy o żadnej formie bycia razem. Na obręczkach wygrawerowaliśmy sobie cytat z Psalmu 122: „Będę ci życzył pokoju, ze względu na Pana, Boga naszego, będę szukał dobra twego”.

Tematów spornych trzeba unikać?

RP: Nie chodzi o udawanie, że różnic nie ma, ale o stawianie ich w drugim szeregu. I to nam się zasadniczo udaje. Kult świętych czy pozycja matki Chrystusa nie są

dla mnie najistotniejsze w przeżywaniu wiary: fundamentem jest natomiast sam Chrystus. Takie ustawienie priorytetów umożliwia dialog.

Zaczęli się Państwo spotykać, poznawać, i dowiedzieli się, że są z różnych Kościołów. Co wtedy się przeżywa: zainteresowanie, lęk?

PP: To było jeszcze przed pierwszą randką. Powiedzieliśmy sobie, że to, co nas cechuje, to wiara – i od razu powstała przestrzeń do budowania czegoś razem. Lęku nie było.

RP: Jako politolog miałem sporą wiedzę o Kościołach protestanckich, więc gdy Patrycja powiedziała, że jest protestantką, wzbudziło to moje zainteresowanie: to jest inność, która przyciąga, zagadka. Gdzieś czaiła się wątpliwość, czy się dogadamy, bo przecież wychowaliśmy się w różnych środowiskach, ale przeważała ciekawość. Tym bardziej że dzięki Patrycji otwarł się przede mną świat różnych wspólnot chrześcijańskich w Krakowie. Dopiero wtedy poczułem, że jako katolik jestem członkiem większej rodziny Kościołów.

Nie myśleli Państwo nigdy, żeby „przeskoczyć” do wyznania wspólnoty małżonka?

PP: Ustaliliśmy na samym początku: żadnego prozelityzmu, żadnych ukrytych nadziei, że druga osoba stanie się taka jak ja. To Bóg powołuje do obecności w danym Kościele. Nie mówię innym, że się myślą w swoim powołaniu albo że ich obecność w innym Kościele być może jest błędem. Nie śmiem dyskutować z Bożym powołaniem.

RP: Moim zdaniem tożsamość duchowa przypomina nieco tożsamość seksualną: tego się nie wybiera. Nie ma możliwości, żebyśmy za czyjąś namową zrezygnowali z przekonań, które są mi bliskie. Ich treść



JACEK TARAN DLA „TP”

Od lewej: Jonasz, Tymoteusz, Jana, mama Patrycja, Milena, tata Rafał, Tobiasz. Kraków, styczeń 2019 r.

jest dla mnie przekonująca bez względu na sugestie innych.

A co Panu dał katolicyzm?

RP: To, co procentuje w życiu: chrzest, katechizę... Moi rodzice są katolikami i dzięki nim kiedyś, w obliczu kryzysu duchowego, będę miał do czego wrócić – np. do obrazu ojca, który się modli. To wszystko mogło się oczywiście zdarzyć w innym Kościele – ale moja tożsamość zdefiniowała się akurat tu. Kocham w swoim Kościele długą historię i tradycję, choć ona bywa też obciążeniem, bo czasem przesłania Pismo Święte.

Przekonuje Pan żonę do tradycji?

RP: Nie muszę, ona ją widzi i docenia.

Czyli nie ma u Państwa podziału, że tutaj tradycja, a tutaj sola scriptura?

PP: Nie, to bardzo schematyczne myślenie. Przecież u nas też jest swego rodzaju tradycja – ustalenia doktrynalne, zwyczaje, utrwalone praktyki...

RP: A u nas nigdy nie stawiano tradycji na równi z objawieniem.

A co z katolickim nauczaniem, że to tutaj jest pełnia środków zbawienia?

RP: Ono nie oznacza, że członkowie innych Kościołów mają mniejsze szanse zbliżenia się do Chrystusa. Bo to On ich pociągnął, by byli właśnie tam. Przyglądam się, jak funkcjonuje Kościół ewangelicki, inne zresztą też, i pewne rzeczy są mi bliskie, a inne nie. Staram się jednak powstrzymać od ocen. Wystarczy, gdy przywołam tu zasadę „święty Kościół grzesznych ludzi”, którą z powodzeniem można odnieść nie tylko do katolicyzmu. Zdarza mi się słyszeć kąśliwą uwagę pod adresem mojego Kościoła i jest to łatwiejsze do przyjęcia, jeśli wiem, że moja wspólnota jest niedoskonała – ale ta, z której jest krytykujący, też. W Patrycji kocham to, że ona w takich sytuacjach staje w obronie katolicyzmu.

A Pani nie odbiera tego nauczania jako dyskryminującego?

PP: Nie. Różne wspólnoty mówią różne rzeczy... i nie ma się czym przejmować.

To pewnie niełatwo Pani się czyta taki tekst, jak deklaracja „Dominus Iesus”, która tylko Kościołowi katolickiemu przyznaje nazwę Kościoła: reszta to Wspólnoty. Autor tekstu, kard. Joseph Ratzinger, w wywiadzie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung” poszedł jeszcze dalej mówiąc, że Wspólnoty

RAFAŁ I PATRYCJA PROSTAKOWIE

są małżeństwem dwuwyznaniowym z piętnastoletnim stażem, rodzicami pięciorga dzieci, w oczekiwaniu na narodziny szóstego. Mieszkają pod Krakowem.

protestanckie są „przypadkowymi twórcami historycznymi”.

PP: Takie stwierdzenia nie pomagają dialogowi ekumenicznemu. Ale szczerze mówiąc, nasze życie codzienne nijak ma się do teologicznych sporów. Dla nas najważniejsza jest przestrzeń jedności, o której mówiliśmy, wspólne fundamenty. Jeśli kard. Ratzinger czy ktokolwiek inny powie, że jest inaczej, to nie zmienia to naszej rzeczywistości domowej. Żyjemy miłością do siebie nawzajem i do Boga – a nie dialogiem teologicznym. Wolimy sobie posłuchać np. ojca Szustaka, niż rozważać przykre dla nas, niezrozumiałe albo niebudujące wypowiedzi.

RP: W kwestiach fundamentalnych zachowujemy jedność, a w kwestiach drugorzędnych kierujemy się miłością: i, jak myślę, powinno dotyczyć to tak rodziny, jak i relacji między Kościołami. Gdyby miłość między chrześcijanami była →

→ autentyczna, wychodziła poza słowne deklaracje, wtedy żadne wspólne stanowiska albo specjalne inicjatywy, łącznie z Tygodniem Modlitw o Jedność Chrześcijan, nie byłyby potrzebne. W Chrystusowym wezwaniu „Aby stanowili jedno” chodzi przecież o miłość mimo różnic. Słowa kard. Ratzingera są krzywdzące, nie wiem zresztą, czy jako Benedykt XVI by je powtórzył. Nie umniejszając jego autorytetu, trzeba jednak zauważyć, że w Kościele znajdziemy zarówno osoby zamknięte we własnym świecie, jak i prawdziwych ekumenistów.

Jest taki element dialogu teologicznego, który jednak wchodzi, i to boleśnie, w Państwa życie: komunია święta. Teologowie się nie dogadali, więc nie mogą Państwo przystępować do komunii w jednym Kościele.

PP: W katolickim, bo ewangelicki pozostawia to sumieniu.

RP: Nauczanie mojego Kościoła jest jednoznaczne, szanuję je i czekam, kiedy się zmieni. Bo jak można nie zakończyć Tygodnia Modlitw o Jedność wspólną eucharystią? Najpierw przywołujemy słowa Chrystusa, a potem nie potrafimy podzielić się chlebem.

Brak wspólnej komunii jest bolesny również ze względu na dzieci. Dawniej praktykowano, a czasami można to spotkać i dzisiaj, że rodzice dzielą się potomstwem – chłopcy chodzą do kościoła ojca, a córki – matki. Odrzuciliśmy takie rozwiązanie: po co podział między rodzicami przenosić na dzieci? To na pewno nie służy jedności rodziny. Jednak świadomość, że nie mogą przystąpić do komunii z własnymi dziećmi, jest dla mnie bardzo bolesna.

Ale w związku z tym musieli Państwo dokonać wyboru...

PP: Wyboru miejsca, gdzie dzieci mają katechazę – w ewangelickiej parafii św. Marcina w Krakowie. Nie przystąpiły do pierwszej komunii, a najstarsze przygotowują się do konfirmacji (publicznego wyznania wiary i ślubowania wierności Bogu i Kościołowi, niemającego charakteru sakramentu).

Przed ślubem, zgodnie z zasadami przyjętymi przez Kościół katolicki, musiał Pan podpisać deklarację, że „uczyni wszystko, co w jego mocy, aby wszystkie dzieci zostały ochrzczone i wychowane w Ko-

PATRYCJA PROSTAK:

Najważniejsza
jest przestrzeń jedności.
Jeśli kard. Ratzinger
czy ktokolwiek inny powie,
że jest inaczej,
nie zmienia to naszej
rzeczywistości domowej.

ście katolickim”. Jak to pogodzić w sumieniu z decyzją o katechezie ewangelickiej?

RP: Ten temat długo rozważaliśmy, przemyśleliśmy, w przekonaniu, że działa w nas Duch Święty – więc chyba nie można powiedzieć, że nie dołożyłem wszelkich starań. Działanie Ducha Świętego jest istotniejsze niż moje pragnienia. Dzieci formalnie należą do Kościoła luterńskiego, ale to nie zmienia faktu, że z pełnym oddaniem pomagam im rozwijać się jako chrześcijanom. One zresztą uczestniczą w liturgiach katolickich, a najstarszy syn lubi ze mną słuchać w internecie o. Szustaka. Więc ja to zobowiązanie realizuję. Poza tym regularnie jeździmy całą rodziną na rekolekcje organizowane przez katolicką wspólnotę Charisma z Krakowa.

PP: W wychowaniu religijnym najważniejsze jest to, żeby dzieci same kiedyś usłyszały głos Boga i odpowiedziały na niego. To, w którym Kościele będą się do Niego zbliżać i realizować Jego wolę, jest dla nas rzeczą wtórną. Kiedyś żona pastora spytała nas, co by się stało, gdyby dzieci odeszły od wiary. To chyba najgorsze doświadczenie, jakie może mieć wierzący rodzic, pewnie by to bolało, ale z drugiej strony – Duch wieje tam, gdzie chce i kiedy chce. A jeśli wybiorą inny Kościół niż nasze, to nie będziemy dyskutować z powołaniem.

RP: Nasze dzieci, gdyby je spytać, kim są, odpowiedziałyby pewnie, że chrześcijanami. Potem może, że protestantami, a gdyby dopytywać, to że ewangelikami. Z uwagi na to, że w krakowskiej ekumenicznej szkole „Uczeń”, do której uczęszczają, mają kolegów w większości katolików, ale również baptystów i zielonoświątkowców – najłatwiej im identyfikować się po prostu z chrześcijaństwem. Takie szkoły jak „Uczeń” albo wielowyznaniowe chóry gospel, jak krakowski Joyful

Voice albo szerzej znane TGD, to prawdziwie ekumeniczne środowiska, w których chrześcijanie z różnych Kościołów chcą wspólnie być ze sobą, również wielbiąc Boga. Nie pytają nikogo o pozwolenie na robienie czegoś razem lub o to, jak mają to robić. Po prostu to robią. Tak zwyczajnie, na co dzień, a nie od święta, jak w przypadku Tygodnia Modlitw o Jedność. To jest autentyczny ekumenizm, żywy, a jednocześnie bardzo zwyczajny, taki – nazwałbym go – „praktyczny”, w duchu wzajemnego szacunku.

Czy Kościoły zniechęcały Państwa do zawarcia małżeństwa?

PP: Nie. Mieliśmy takie szczęście, że przez całe życie spotykaliśmy ludzi, którzy w tym względzie byli nam przychylni.

RP: Pomagali nam, odsyłali do takich ekumenistów jak o. Zdzisław Kijas czy ks. prof. Łukasz Kamykowski. Bardzo pomocny jest również ks. Roman Pracki, pastor Patrycji, szczerze otwarty na kwestie ekumenizmu. To ludzie, którzy wiedzą, jakie ryzyko wiąże się z mieszanym małżeństwem, że łatwo o wojnę religijną w rodzinie, jeżeli się nieodpowiednio poukłada priorytety.

Nasz Episkopat w 1987 r. wydał dokument, w którym napisano:

„ze względu na niebezpieczeństwa i trudności związane z małżeństwami o różnej przynależności kościelnej, Kościół katolicki odradza ich zawierania”.

RP: Zgadza się: różnica wyznania może stanowić istotną przeszkodę w budowie zgodnego małżeństwa. Jesteśmy „rodziną pogranicza”. Podobne ryzyko towarzyszy małżonkom, którzy pochodzą z różnych kręgów etnokułturowych. Z drugiej strony: przynależność do tego samego Kościoła nie jest żadną gwarancją udanego związku. My w ciągu 15 lat stażu ani przez chwilę nie pomyśleliśmy, że nasza rodzina jest zbudowana na złym fundamencie. Różnice wyznaniowe nie doprowadzą do rozpadu małżeństwa, o ile sami nie uczynimy z nich przyczyny podziału nie do przezwyciężenia.

W którym Kościele wzięli Państwo ślub?

PP: Katolickim. To była uroczystość ekumeniczna, w drzwiach witali nas o. Kijas i pastor, śpiewali członkowie Joyful Voice. Ceremonia odbyła się według rytu katolic-

kiego, ale z elementami mojej tradycji: np. ślubowaliśmy sobie również wersetami z Księgi Rut: „dokąd ty pójdziesz i ja pójde; gdzie ty zamieszkaś i ja zamieszkać (...) Niech mi uczyni Pan, cokolwiek zechce, a jednak tylko śmierć odłączy mnie od ciebie” (Rt 1, 16-17). Wybraliśmy też czytanie z Listu do Efezjan (4, 4): „Jedno jest Ciało i jeden Duch, bo też zostaliście wezwani do jednej nadziei, jaką daje wasze powołanie. Jeden jest Pan, jedna wiara, jeden chrzest. Jeden jest Bóg i Ojciec wszystkich, który jest i działa ponad wszystkimi, przez wszystkich i we wszystkich”.

Wszystko odbyło się z dużym szacunkiem wobec mnie. Natomiast formalności przed ślubem były długie i nieprzyjemne.

RP: A podczas rozmowy w kancelarii czułaś się atakowana pytaniami o tożsamość duchową. Ksiądz pewnie musiał je zadać, ale to jest kwestia tego, jak się to robi.

Jakie to były pytania?

PP: Wyczuwalna była presja, żebym zmieniła wyznanie. Potem mąż musiał podpisać wspomnianą deklarację o wychowaniu dzieci, a ja – że to przyjmuję do wiadomości.

Czy jako małżeństwo mieszane są Państwo obiektem specjalnego zainteresowania duszpasterskiego?

PP: Nie. W 2016 r., jeszcze kiedy krakowskim biskupem pomocniczym był Grzegorz Ryś, po nabożeństwie kończącym obchody Tygodnia Modlitw o Jedność zaproszono na środek małżeństwa mieszane i kard. Dziwisz udzielił specjalnego błogosławieństwa. Jeśli mi czegoś zabrakło, to tego, że duchowni innych wyznań stali z tyłu; to nie było wspólne błogosławieństwo.

RP: Wydaje mi się, że wszyscy błogosławili, ale tylko kardynał do nas podszedł.

PP: Bardziej ekumenicznie by było, gdyby podszedł z przedstawicielem danego Kościoła.

Słyszałem o małżeństwach, w których jedna ze stron w ogóle przestaje praktykować.

RP: Tak faktycznie się dzieje: to ucieczka w indyferentyzm, duchową neutralność. A druga strona medalu to ostre definiowanie siebie poprzez członkostwo w konkretnym Kościele. Wtedy dzieci mogą popaść w zniechęcenie wobec jakiegokolwiek wyznania: bo mogą pomyśleć, że to wszystko jest fałsz, po jednej i po drugiej

RAFAŁ PROSTAK:

Tożsamość duchowa
przypomina nieco
tożsamość seksualną:
tego się nie wybiera.
Nie ma możliwości,
żebym za czyjąś namową
zrezygnował z przekonania.

stronie. Akcentowanie różnic mogłoby się skończyć rozpadem małżeństwa.

Na czym się potknęli ci, którym się nie udało?

RP: Na chęci ugrania czegoś dla siebie: dzieci idą do komunii katolickiej, do konfirmacji ewangelickiej, potem do katolickiego bierzmowania – są naraz w obu Kościołach, ale tak naprawdę nie wiedzą, kim są.

PP: I odpadają od wiary w ogóle. Nasze dzieci czerpią z obu Kościołów, ale mają określoną drogę, jeśli chodzi o edukację religijną i o przygotowanie do wydarzeń związanych z dojrzałością chrześcijańską.

A jeśli chodzi o samo małżeństwo?

W Kościele katolickim jest sakramentem, w luterańskim nie.

PP: Małżeństwo ma kilka przymiotników: sakramentalne, do śmierci, nierozdzielne itd. Nie pamiętam wszystkich, bo trochę lat minęło od nauk przedślubnych,

ale w istocie różni nas tylko to, o czym pan wspominał.

RP: Ja to nazwę sakramentem, moja żona nie, ale jesteśmy przekonani, że to szczególna relacja, w której jest obecny Chrystus. Można skupiać się na definicjach teologicznych, a ja znowu odwołam się do podstawowej sprawy, czyli do kwestii miłości.

Modlą się Państwo wspólnie?

RP: Jeśli pan pyta, czy odmawiamy razem różaniec, to nie. Modlimy się wszyscy, razem z dziećmi, w sposób otwarty, to trochę przypomina rozmowę. Chwalimy Boga, dziękujemy i prosimy. Nie ma ustalonych formuł, tylko na końcu odmawiamy „Ojcze nasz”.

PP: W Adwencie czy Wielkim Poście przygotowuję czytania biblijne na każdy dzień, takie małe studium. Siadamy z dziećmi, czytamy fragment, rozmawiamy o nim.

A w niedzielę chodzą Państwo do kościoła wspólnie?

RP: Oddzielnie: nabożeństwo u św. Marcina zaczyna się o 10.00, a msza u dominikanów o 10.30. Musimy zaakceptować fakt, że tutaj akurat nie jesteśmy razem.

PP: Na początku, gdy nie było jeszcze dzieci, najpierw szliśmy do jednego kościoła, potem do drugiego. Spędzaliśmy na tym pół niedzieli.

RP: To było jednak szczególne doświadczenie – dwukrotnie, tego samego dnia, w dwóch różnych kościołach wypowiadać *Credo* w czasie dwóch różnych liturgii.

©© Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

POŻEGNANIE

ś.†p.

Helena Styrna-Mamoń

ukochana Mama, Babcia i Siostra

Przeżywszy lat 80, po krótkiej i ciężkiej chorobie, opatrzona Świętymi Sakramentami, odeszła od nas na zawsze do Pana 11 stycznia 2019 r.

Msza św. żałobna przy Zmarłej odprawiona została w czwartek 17 stycznia 2019 r. w opactwie oo. Benedyktynów w Tyńcu, po czym nastąpiło odprowadzenie Zmarłej na miejsce wiecznego spoczynku,

o czym zawiadamia pogrążona w głębokim smutku

RODZINA

Młodzież świata w tropikach

DOMINIKA MATEJKO

Mieszkańcy Panamy chcą, aby dzięki Światowym Dniom Młodzieży każdy umiał zlokalizować ich kraj na mapie świata.

NA KOŃCU OCEANU ATLANTYCKIEGO leży mały kraj. Jest sto trzysta razy mniejszy od Brazylii i cztery razy od Polski. Panama – państwo, które dla wielu jest trudne do zlokalizowania na mapie bez pomocy GPS-a, stało się centrum zainteresowania światowych mediów. Odbývają się tam właśnie 34. Światowe Dni Młodzieży. To największe wydarzenie Kościoła katolickiego z udziałem papieża potrwa do niedzieli 27 stycznia. Imprezy z takim rozmachem jeszcze w Panamie nie było.

To, co w przypadku Brazylii czy Polski (które kolejno w latach 2013 i 2016 były organizatorami ŚDM) nie stanowiło problemu, dla Panamy jest wyzwaniem. Wątpliwości było sporo. Gdzie i jak pomieścić pielgrzymów ze 155 krajów świata w państwie, w którym na co dzień mieszka zaledwie 4 miliony osób? Jak przekonać biedną część społeczeństwa, żeby przyjęła pod swój skromny dach pielgrzymów? Jak udowodnić, że kraj globalnego Południa może i powinien stać się przykładem dla wszystkich wiernych Kościoła katolickiego? Panamczycy, choć z dużą treścią, zdecydowali się na to, aby cały świat patrzył właśnie na nich.

Swoj Obcy

– Bóg lubi drobiazgi. Zabawne, że wybrał taką małą Panamę. Widocznie ma powód – mówi Joan Marissa Berrío, generalna koordynatorka ŚDM w diecezji Colón-Kuna Yala.

Przygotowanie Światowych Dni Młodzieży wymagało od niej niebywałych pokładów energii i jeszcze więcej cierpliwości. Było trudno. Panama zmagą się z kryzysem ekonomicznym. Ludzie masowo tracą pracę. Wielkie firmy upadają. Atmosfera pesymizmu kontrastowała z entuzjazmem, jakim chcieli podzielić

się organizatorzy ŚDM. W kraju pojawiło się grono sceptyków i aktywnych przeciwników imprezy. Były apele o zaprzestanie manifestacji przeciwko ŚDM i zapewnienia o korzyściach finansowych, które ma przynieść to wydarzenie. Joan twierdzi jednak, że najtrudniej było przekonać panamskie rodziny, aby przyjęły pielgrzymów. Strach przed obcym skutecznie hamował postępy w organizacji na poziomie diecezjalnym. Wiele osób bało się, że bariera językowa okaże się nie do przeskokowania. W Panamie mało kto włada płynnie angielskim. Różnice kulturowe również budziły niepokój.

Joan opowiada, że wszystko zaczęło się zmieniać, kiedy w telewizji pojawiły się pierwsze wywiady z przyszłymi pielgrzymami. Panamczycy uświadomili sobie, że dużo osób odczuwa ekscytację na myśl o przyjeździe do ich kraju. Poczuli się dumni i byli coraz bardziej pozytywnie nastawieni do tego przedsięwzięcia. Z całej diecezji zaczęły napływać maile i telefony z prośbą o przysłanie pielgrzyma do ich domu. Niektórzy zgodzili się na ugoszczenie dziesięciu osób. Inni byli zasmuceni, że przydzielono im tylko jedną. Ci, którym nie stać na podjęcie pielgrzymów, też chcieli pomóc. Zobowiązali się do zakupu wody pitnej i przyrządzania świeżych soków z pomarańczy. Organizatorzy odetchnęli z ulgą. Panamczycy oswoili się z wizją obcego w domu.

Zorganizowanie noclegu dla pielgrzymów to tylko połowa sukcesu. Trzeba było znacznie więcej. ŚDM wymagały dużych zasobów ludzkich i nakładów finansowych. Oblicza się, że organizacja imprezy kosztowała państwo około 54 milionów dolarów. Konieczne było wybudowanie nowych hoteli i zaopatrzenie 1500 restauracji. Zaledwie 30 firm z całej Panamy zgodziło się na wsparcie finansowe wyda-



rzenia. To i tak więcej, niż można by przypuszczać biorąc pod uwagę kryzys, jaki panuje w gospodarce panamskiej.

Koszty udało się zredukować dzięki licz-nym wolontariuszom. Komitet organizacyjny stworzył akcję pod hasłem „Założ kosztulkę” (wolontariusza), aby zachęcić młodych ludzi do włączenia się w przygotowania. Akcja odniosła ogromny sukces. W ramach wolontariatu zgłosiło się około 20 tysięcy osób, którzy pracują nad tym, żeby wszystko funkcjonowało bez zarzutu.

Liliana Morán, która przygotowywała ŚDM w diecezji Penonomé, przyznaje, że bez ich pomocy by się nie udało: – Wolontariusze nie śpią, są zmęczeni i zapominają zjeść. Niektórzy już wykorzystali cały urlop w pracy – opowiada.

Praca zespołowa stała się gwarantem sukcesu w Penonomé. Do diecezji Liliany przyjechała m.in. Polka, rezydentka w Panamie, która pomaga w komunikacji. Nauczyła innych prostych zwrotów w języku polskim.



Młodzi wolontariusze z flagami Panamy i Meksyku podczas prezentacji papamobilu, którym Franciszek będzie się poruszał podczas Światowych Dni Młodzieży w dniach 23-27 stycznia. Miasto Panama, 6 stycznia 2019 r.

Rowerem do Panamy

Panama jest mostem pomiędzy Ameryką Południową a północną częścią Ameryki Łacińskiej. Aż 62 proc. uczestników tegorocznych ŚDM to Latynosi. Najwięcej przybędzie ich z Kolumbii, Meksyku, Argentyny i Kostaryki. Papież Franciszek to *porteño*, czyli urodzony w Buenos Aires Argentyńczyk.

– Możemy bez popadania w przesadny egoizm stwierdzić, że tegoroczne Dni Młodzieży w stu procentach należą do Latynosów. Niemniej jednak zachęcamy pozostałych, żeby się dołączyli – żartuje Jesús Jiménez z katolickiego radia Claret Digital.

Dla wielu młodych ludzi z Ameryki Łacińskiej ŚDM w Panamie to jedyna okazja, aby uczestniczyć w takim wydarzeniu. Kontynent zmagają się z biedą i jedynie nielicznych było stać na przyjazd do Polski w 2016 r. Do Panamy było bliżej i taniej. Gwatemalczyki organizowali się w większe grupy i razem wynajmowali autobusy. Niektórzy jechali komunikacją miejską,

lokalnymi „pekaesami”, a granice przekroczyli pieszo. Co bardziej wysportowani Kostarykanie przyjechali do Panamy na rowerach.

Święci w drodze

Latynosami są również niektórzy święci patronowie tegorocznych Dni Młodzieży. Obok tak popularnej postaci jak Jan Bosko, w katolickiej alei gwiazd znalazło się dwóch Meksykanów: Juan Diego, Indianin, któremu objawiła się Matka Boża z Guadalupe, oraz nastoletni męczennik José Sánchez del Río. Jest też Róża z Limy – pierwsza święta wśród Latynosów. Panama nadal czeka na swojego świętego, ale Panamczycy cieszą się, że do grona patronów dołączył Peruwianczyk Martín de Porrès, którego matka była Panamką. Jest i akcent polski. W każdym katolickim domu Ameryki Łacińskiej wisi zdjęcie Karola Wojtyły. Latynosi, od Meksyku aż po Patagonię, zgodnie twierdzą, że Jan Paweł II był pierwszym papieżem, który

zwrócił uwagę na ich kontynent. Nie mogło więc go zabraknąć wśród tych, którzy czuwają nad Panamą w czasie ŚDM.

Wśród błogosławionych wyróżniono Marię Romero Meneses z Nikaragui. Jednak najważniejszym błogosławionym tego tygodnia jest pochodzący z Salwadoru arcybiskup Óscar Romero: – Bardzo się z nim utożsamiamy. Romero reprezentuje odwagę i walkę o najbardziej potrzebujących – twierdzi Jesús Jiménez.

Romero stanął w obronie prześladowanych przez pravicową dyktaturę w Salwadorze w latach 70. i 80. XX w. Za swoje poglądy zapłacił życiem. Został zamordowany przez juntę w 1980 r. podczas sprawowania eucharystii.

Dzisiaj, 40 lat po tym wydarzeniu, męczeństwo abp. Romero jest bardziej aktualne, niż można by się spodziewać. Morderstwa na księżach i prześladowania wiernych zdarzają się również dzisiaj, w nieodległej od Panamy Nikaragui. Od kwietnia zeszłego roku w tym kraju zginęło ponad pięciuset przeciwników reżimu prezydenta Daniela Ortegi. Liczba więźniów politycznych przekracza 750 osób. Wśród nich są księża i seminarzyści.

– Kościół sprzeciwia się działaniom władz i nawołuje do respektowania godności i życia ludzkiego – mówi Nikaraguańczyk, który ze względów bezpieczeństwa nie ujawnia swojej tożsamości. W kraju zakazane są procesje i zebrania o charakterze religijnym. Ze względu na prześladowania i sytuację polityczną w kraju biskupi zrezygnowali z zaplanowanych w Nikaragui międzynarodowych rekolekcji, które miały poprzedzać spotkanie młodych w Panamie.

– Dla nas ŚDM jest nadzieją. Czekamy na słowa papieża. Na pewno powie coś szczególnego do Nikaraguańczyków. Franciszek przez cały czas popiera stanowisko Kościoła Nikaragui i jego sprzeciw wobec działań władz – kontynuuje pielgrzym z tego kraju.

Również obecnie obywateli Kuby jest prawdziwym cudem tegorocznych ŚDM. Dla młodych Kubańczyków Dni Młodzieży →

→ w Panamie to pierwsza szansa na zobaczenie świata poza ich wyspą. W tym roku Kubę reprezentuje największa liczba pielgrzymów w historii ŚDM. Do Panamy przybędzie ich pięćuset. Z perspektywy Kubańczyków to ogromny sukces.

Wstańcie, tańczmy!

Mimo że codzienna rzeczywistość Ameryki Łacińskiej traktuje tamtejszych młodych niezwykle surowo, Panamczycy chcą dzielić się tym, co najlepsze i najpiękniejsze w ich kulturze. Rekolekcje w diecezjach były okazją do zaprezentowania świata lokalnych tradycji. Dzisiaj nikt już nie ma wątpliwości, że Panama jest synonimem tańca. Wielu spodziewałoby się popularnej salsy, jednak diecezja Colón-Kuna Yala zaprezentowała congo, czyli tańiec ludności pochodzenia afrykańskiego. Liliana Morán z uśmiechem wspomina pierwszy dzień przyjazdu pielgrzymów do diecezji Penonomé: – Przywitaliśmy ich muzyką i tańcem. Graliśmy na tamburytach. Tańczyliśmy *chogorro* i wołaliśmy „wstańcie, tańczmy!”.

Liliana chce, aby świat właśnie tak zapamiętał Panamę – roztańczoną i pełną radości.

Laudato si? Sí!

Franciszek od początku pontyfikatu alarmuje, że nasze pokolenie jest ostatnim,

które może zapobiec globalnej katastrofie ekologicznej. Nawołuje do natychmiastowego zaprzestania dewastacji środowiska naturalnego. W encyklice „Laudato si” przypominał, że każdy człowiek ma w życiu trzy podstawowe relacje: z Bogiem, z drugim człowiekiem oraz z ziemią. Bycie człowiekiem to nie tylko prawa wobec ziemi, ale przede wszystkim obowiązek dbania o nią.

Panama należy do państw o największej bioróżnorodności na świecie. Dlatego ziemia i ekologia są jednym z centralnych tematów ŚDM. Organizatorzy podpisali umowę z Asociación Nacional para la Conservación de la Naturaleza (Narodowym Stowarzyszeniem na Rzecz Ochrony Natury), w ramach którego zostały podjęte wspólne działania w celu stworzenia z ŚDM tzw. *zero waste event*, czyli imprezy bez odpadów. Misja ŚDM i ANCON zawiera się w trzech R: *reducir, reutilizar, reciclar* (ograniczać, ponownie wykorzystywać, segregować). W ramach misji został utworzony sztab zielonej policji, która monitoruje stan zaśmiecenia i właściwą segregację odpadów. Co więcej, ANCON przeznaczyło pieniądze na wyszkolenie liderów ekologii w 250 parafiach w całej Panamie. Cel jest jednak dużo większy. Organizatorzy i papież chcą, żeby każdy pielgrzym wrócił do swojego kraju z pełną świadomością potrzeby walki o ekologię.

Jezus w 3D

Organizatorzy ŚDM dobrze wiedzą, że aby zyskać szacunek wśród młodzieży, muszą perfekcyjnie posługiwać się najnowszą technologią. Współpracując z młodymi informatykami, stworzyli park Cristonauta, w którym pielgrzymi mają okazję zobaczyć m.in. archanioła Gabriela na własne oczy. Warto wyjaśnić, że nie chodzi tu o oczy wyobraźni. Pielgrzymi mają bowiem do dyspozycji 40 okularów VR, dzięki którym zobaczą sceny biblijne, w tym scenę zwiastowania, w technologii 3D. Zapisy na podróż w czasie zaczęły się już na kilka tygodni przed ŚDM, a chętnych na spotkanie z wirtualnym Jezusem nadal przybywa.

Ci, którym nie uda się dostać na listę oczekujących, mogą podążać za Jezusem dzięki grze „Follow Jesus Christ Go”. Gra jest odpowiednikiem popularnej gry polegającej na łapaniu Pokemonów i jest dostępna w formie aplikacji na telefony i tablety. W „Follow JC Go” Pokemony zastąpiono świętymi, których gracze muszą odnaleźć w czasie spaceru po mieście. Za znalezienie świętego i odpowiedź na pytanie przysługują punkty.

Pojawia się i tacy, którzy będą (a może nawet już są) zniesmaczeni sprawozdaniem Boga do poziomu technologicznych rozrywek. Jednak taka forma ekspresji wiary jest bliska młodym ludziom. Co więcej, gra zachwyciła samego Franciszka, który był jej pierwszym użytkownikiem. Papież i organizatorzy ŚDM zdają sobie sprawę z tego, że groźbą wiecznego potępienia nikogo do Kościoła nie zachęcą. Lepiej skorzystać ze smartfonów.

Episkopat Panamy liczy na to, że ŚDM przyczynią się do wzrostu powołań. Obecnie w kraju jest tylko 33 seminarzystów. Panamczycy chcą, aby od teraz każdy umiał zlokalizować Panamę na mapie świata. Młodzi pragną doświadczyć jedności i wsparcia w wierze: – ŚDM to czas, kiedy masz szansę przekonać się, że nie tylko ty masz świra na punkcie Boga. Moment, w którym wszyscy odmawiamy modlitwę „Ojcze nasz”, każdy w swoim języku, to chwila, kiedy wiesz, że nie jesteś w tej miłości sam – mówi Abdiel Russell, jeden z organizatorów spotkania.

Światowe Dni Młodzieży odmieniają oblicza państw, łamią stereotypy i przemieniają życie. Tak twierdzą ci, którzy w nich uczestniczą.

© DOMINIKA MATEJKO

13 stycznia 2019 roku odszedł od nas, przeżywszy 92 lata,

ś.†P.

Władysław Heydel z Beremian

urodzony 21 maja 1926 roku we Lwowie.

Nasz najukochańszy Tata, Brat, Szwagier, Teść i Dziadzio,
Człowiek wielkiej wiary, mądrości i skromności.

Kochał świat i ludzi.

Msza święta żałobna za Jego duszę odprawiona została 22 stycznia 2019 roku
w kościele pw. Matki Bożej Królowej Polski w Warszawie.

Spoczął na cmentarzu na Starych Powązkach
w kwaterze nr 26, rząd 4, miejsce 26/27,

o czym zawiadamiają

SYN I SIOSTRY WRAZ Z CAŁĄ NAJBLIŻSZĄ RODZINĄ

SZYMON

Hołownia:

A teraz najtrudniejsze



W CIĄGU OSTATNIEGO TYGODNIA, PRAKTYCZNIE nie odchodząc od komputera, zwerbalizowałem już chyba wszystkie myśli i emocje, których lawina ruszyła po koszmarnym wieczorze, gdy zabity został Paweł Adamowicz. Napisałem trzy teksty, przeczytałem

tysiące komentarzy, odpowiedziałem na setki. Mam wrażenie, że tak, jak bywało przy poprzednich wielkich narodowych wstrząsach: po śmierci Jana Pawła II i po katastrofie smoleńskiej – tak i teraz wraz z moimi rodakami pokazujemy sobie nawzajem lepsze oblicze. Na co dzień schowane w naftalinie, czekające w szafach na moment totalnej bezzadności. Na okazje tak trudne, że nie jesteśmy już w stanie obsłużyć ich narzędziami do prowadzenia naszych rytualnych, powszednich wojen.

Ten stan oczywiście minie. Niezręcznie mi tutaj powtarzać to, co już napisałem w internecie: co – w mojej ocenie – można by było zrobić, by tragiczna śmierć prezydenta Adamowicza była zakretem, za którym pojedziemy w nieco inną stronę, a nie emocjonalnym rondem, na którym pokręcimy się chwilę, by wrócić w stare koleiny. Mam nadzieję, że – z szacunku dla Niego – będziemy umieli zrezygnować z narzucającej się pokusy rozkręcenia teraz wojny na pomniki. Że odkleimy na chwilę wzrok od klasy politycznej testującej coraz to nowe poziomy żenady (patrz: spóźnienie na minutę ciszy) i dostrzeżemy olbrzymi potencjał, który mamy w polskich samorządowcach. Że skoro wyrażnie nie wychodzi nam państwo, może uda nam się uzdrowić je przez myślenie o nim jak o mieście. W którym przeciwnik nie jest na Wiejskiej, ale na tym samym osiedlu, i trzeba z nim razem budować drogę, sprzątać park, walczyć z hałasem, spotykać się w sklepie. A gdy wysmaruje mu się szajsem drzwi, to samemu trzeba będzie żyć później ze smrodem na klatce.

Gdańsk to miasto pełną gębą nadmorskie, od wieków przyjmujące szukających portu przybyszów z różnych stron, kultur, wrażliwości. Miasto, które w herbowej dewizie ma frazę (którą, gdybym – na nieszczęście Kościoła – był biskupem, zaraz umieściłbym w swojej tarczy) „*Nec temere, nec timide*” – „Bez zuchwałości, ale i bez lęku”. To miasto znakomicie nadaje się na wzór, do którego mogłaby teraz równać Polska (i nie można by chyba było wyobrazić sobie większego hołdu dla Pawła Adamowicza). Żeby jednak w ogóle można było zacząć mówić o jakościowej zmianie, trzeba by wprzód porwać się na akt sprzątnięcia. Ważna nowość: nie w sposobach myślenia innych, ale najpierw w swoich. Jak słusznie zauważył ostatnio w katowickiej „Gazecie Wyborczej” o. Tomasz Golonka: choć nadal żyjemy w warunkach wspólnoty języka, kompletnie rozjechała nam się sfera znaczeń. Litera wciąż wygląda tak samo, ale tkwiący za nimi sens objaśnia trzydzieści parę milionów słowników.

Czy da się wcielić u nas w życie piękny *bon mot* de Saint-Exupéry’ego, chętnie umieszczany w memach dla młodzieży

w wieku gimnazjalnym: „Kochać to patrzeć w tym samym kierunku”? Nie sądzę. Myślę, że warto jednak zacząć od tego, byśmy – patrząc w różnych kierunkach – się nie pozabijali. Warunkiem biologicznego przetrwania przeciwnika jest to, żebym umiał okazać mu szacunek. Żebym (takie kryterium sformułowalem sobie po śmierci Pawła Adamowicza i lekturze wyrzgu pomówień, które lano mu przed ostatnimi wyborami na głowę) tak pisał i tak mówił o czyichś poglądach, by mogło przeczytać to bez płaczu jego dziecko. „Szmato, aferzysto, ściervo, raku na polskiej demokracji” – proszę wyobrazić sobie własną reakcję, gdyby podobne frazy ktoś sformułował pod adresem naszej matki lub ojca. „Nie zgadzam się z panem, uważam, że powinien pan wytłumaczyć się z tego i tamtego” – to komunikat, po którym możliwa jest dalsza rozmowa.

To zresztą dowód na skalę naszej paranoi, skoro ludziom nadal trzeba tłumaczyć, że wolno negować poglądy, ale nie wygłaszać je osoby. Ale pacjenta leczy się w stanie, w jakim jest. Biadolenie, że się do niego doprowadził, nie ma sensu.

Stan zaś pacjenta jest taki oto, że w ramach demonstrowania światu własnej mocy sprawczej najpierw wziął i zbił nocnik. A to, co dziś nazywamy debatą publiczną, to zawartość owego naczynia rozlana na podłogę. Założmy, że posprzątam: na Facebooku czy Twitterze sami zastosujemy się do powyższego kryterium oraz – to bardzo ważne – zaczniemy gremialnie odcinać tlen hejterom (nawet tym ze statusem redaktorów, profesorów czy posłów), bezlitośnie blokując możliwość komentowania każdemu, kto atakuje *ad personam*, albo trollom wypisującym wciąż te same (i zawsze zaskakująco zgodne z partyjnym „przekazem dnia” mądrości).

Teraz najtrudniejsze. A gdyby tak rozważyć wprowadzenie dziś swoistej polityki grubej kreski, żeby wyswobodzić się z krępującego jakiegokolwiek ruch betonowego uścisku historycznego symetryzmu? Czytam to teraz przecież praktycznie non stop. „Placzesz po Adamowiczu? A gdzie byłeś, jak zabili Rosiaka?”. „Krytykujesz odstrzał dzików za PiS? A gdzie byłeś, gdy strzelać kazała PO?”. „Obchodzisz teraz żałobę narodową? A gdzie byłeś, jak była żałoba po górnikach?”. „Ci są źli? A tamci byli lepsi?”. Nie da się zrobić nawet kroku w przód, gdy wzrok utkwiony jest za plecami.

A gdyby tak uczciwie stwierdzić: zachowujemy się jak nieudane małżeństwo z kilkudziesięcioletnim stażem, z żadnej naszej rozmowy nie wyniknie nic poza redystrybucją jadu. Przyznajmy więc po prostu: każdy z nas ma jakieś winy, każdy powiedział kiedyś o słowo za dużo, był nieuważny. Nie ulegamy chorej pokusie sterylności (iluż to moich internetowych adwersarzy pomstuje na mój brak bezstronności, czyniąc to w komentarzach tak stronniczych i politycznie zaangażowanych, że aż cierpną zęby), każdy z nas ma jakieś poglądy (to nie grzech), ale odtąd energię zużywamy wyłącznie na zastanawianie się, jak – nie niwelując tych różnic – zrobić coś razem.

A jeśli się okaże, że zamiast planowanego zbudowania za lat kilka czy kilkanaście pięknego narodowego zamku, co do którego każdy ma inną wizję, zgodzimy się tylko co do tego, że można by w sumie teraz pójść na wino? Wtedy, na wszystkie narodowe świętości, idźmy na nie czym prędzej! Oddam wszystkie inwestycje, nowe instytucje, wniosłem rocznice, a także nadwyżkę VAT-owską za nadejście końca czasów celebracji wielkich różnic i świt ery kontemplacji nawet najbardziej mikrych części wspólnych. Podobieństw. ©

LOS DRZEW, LAS LUDZI

Wangari Maathai, kenijska ekolożka i feministka, uratowała kiedyś miejski las Karura przed chciwymi politykami. Lasu – symbolu wolności od władzy – strzeże się do dziś.

AGATA KASPROLEWICZ Z NAIROBI

TAMTEGO DNIA ZAŁOŻYŁA GUMIAKI I DŁUGĄ sukienkę z kitenge, tradycyjnego kolorowego materiału. Szła przecież sadzić drzewa, a nie walczyć. Kiedy kamień trafił ją w głowę, nie straciła przytomności. Ból dodał jej zaciętości. „Jeśli musimy przelać naszą krew, by ocalić tę ziemię, nie zawahamy się. Nauczyli nas tego przodkowie. Dziś jest to moja krew” – wykrzykiwała przed kamerami.

Wtedy, 8 stycznia 1999 r., Wangari Maathai nie wyglądała jak wojowniczka. Sądziła, że sadzenie drzew w lesie Karura to najlepszy sposób, by pokonać nieuczciwych polityków, których uważała za spadkobierców kolonizatorów. W ten sposób sadzonka stała się w Kenii symbolem walki o demokrację.

W oazie

Była to walka o drzewa i wolność. Po jednej stronie stanęli deweloperzy, ich ciężarówki, buldożery, i strzegące ich bandy mężczyzn uzbrojonych w maczety i kamienie. Chronił ich najsilniejszy człowiek w kraju: prezydent Kenii Daniel arap Moi (piastował urząd niemal ćwierć wieku, aż od 2002 r.). Po drugiej – studenci Uniwersytetu w Nairobi, mieszkańcy wsi Huruma i kilku polityków opozycji. Na czele ich wszystkich stała Wangari Maathai.

– Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę, że walka o drzewa uczyni z niej najwięk-

szą obrończynię demokracji w Kenii – zastanawia się profesor Karanja Njoroge, przyjaciel i współpracownik Wangari Maathai. Siedzimy na zatopionym w zieleni tarasie The River Café, stylowej restauracji w sercu leśnego krajobrazu. Z głosników sączy się łagodny jazz. Z kuchni – aromat finezyjnych potraw, mieszający się z zapachem żywicy, kory i mchu. Kelnerzy podają wodę w wysokich szklanych butelkach.

Profesor mówi, że w Karura obowiązuje zakaz wnoszenia plastikowych butelek. Wielu gości to obcokrajowcy, niektórzy są zapewne pracownikami pobliskich ambasad. Pięknie tu i błogo – trudno w Nairobi o lepsze miejsce na lunch. Jeszcze trudniej wyobrazić sobie, że kilka kilometrów stąd, w nerwowym rytmie klaksonów, pulsuje miasto, rozdarte hukami i biedą, połatane slumsami z blachy falistej. Zdumiewające jest też i to, że ta roześmiana kobieta, spoglądająca na gości z czarno-białych zdjęć, zaledwie dwie dekady temu była tu upokorzona, bita i o mało nie straciła życia.

Dla lasu i kobiet

Profesor Karanja uważa, że Maathai miała dar, który pozwalał jej patrzeć na świat inaczej niż wszyscy. Rozumiała, że los drzew i ludzi jest ze sobą nierozdzielnie spleciony, że nie da się oddzielić polityki

od ekologii. Wiedziała, że wylesianie i erozja gleby są procesami ściśle powiązanymi ze złą władzą, korupcją i tyranią. Walcząc o drzewa broniła praw człowieka, a szczególnie kobiet. Twierdziła bowiem, że to właśnie kobiety są największymi ofiarami degradacji środowiska. To one zajmują się domem i gotują dla całej rodziny. Z powodu pustynnienia coraz trudniej było im zdobyć gałęzie na opał, poszukiwanie wody trwało godzinami.

Właśnie z troski o kobiety Maathai powołała do istnienia Ruch Zielonego Pasa (Green Belt Movement). Za wysiłek, który zaowocował posadzeniem 30 mln drzew, wiele lat później dostała pokojowego Nobla. Ale przypadek lasu Karura był szczególnie – ziemia jest bowiem bardzo cenna.

EVELYN HOCKSTEIN / POLARIS / EAST NEWS





Wangari Maathai w lesie, który istnieje do dziś tylko dzięki jej uporowi. Karura, Nairobi, 2008 r.

– Jeden akr ziemi wart jest 100 mln kenijskich szylingów [równowartość ok. 3,7 mln zł – red.]. Nic dziwnego, że deweloperzy za wszelką cenę chcieli przejąć to miejsce – opowiada prof. Karanja, tłumacząc, jak ziemię rozdano tajemniczym osobom, które ukrywając swoją tożsamość pod nazwami fikcyjnych firm, dostawały w prezencie od prezydenta Moia akty własności na leśne działki. Do dziś te akty nie zostały anulowane.

Skradziona wolność

Za wysokim murem, który teraz chroni las Karura przed chciwymi ludźmi, kiedyś rozciągały się plantacje kawy. Potem przekształcono je w działki, na których stanęły luksusowe domy z basenami.

Las znajduje się w najbogatszej dzielnicy Nairobi, zwanej Muthaiga – miejscu, które, jak tłumaczy prof. Karanja, skupia „najbogatszych z najbogatszych”. Zarówno obcokrajowców, jak i rdzennych mieszkańców kraju, zwanych „nową klasą milionerów”, a więc czarnych Kenijczyków, którzy po niepodległości przejęli ziemie należące wcześniej do białych.

Tak, zdaniem wielu Kenijczyków, u samego zarania niepodległej Kenii skradziono wolność. Marzenie o demokratycznym kraju szybko zostało sprzedane za wpływy, władzę i ziemię.

Muthaiga to kolonialna nazwa, przywołująca wspomnienie splendoru i przepychu, w których żyli tu niegdyś Euro-

pejczycy. Pamiątką po tamtym świecie jest Muthaiga Country Club, zwany afrykańskim Moulin Rouge, którego goście na śniadanie pili szampana i różowy gin, a potem budzili się w łóżku należącym do cudzego małżonka. Z tamtych czasów pochodzi pogardliwy termin *happy valley* – opisujący rozpustne życie europejskich osadników i ironiczne powiedzenie „*Are you married or do you live in Kenya?*” (Jesteś żonaty czy mieszkasz w Kenii?). To w Muthaiga Country Club Karen Blixen poznała swojego kochanka Denysa Fincha Hattona, którego w filmowej adaptacji jej „Pożegnania z Afryką” zagrał potem Robert Redford. Klub istnieje do dziś i nadal przyjmuje gości pragnących napić się dobrego szampana i zagrać w golfa.

⇒

„Ziemi nie oddamy nikomu”

→ John Chege jest głównym leśniczym Karura. Przedstawia mi się jako człowiek, który dba o to, by las był bezpieczny. – Dziś nic złego się nie dzieje, poza tym że paru chciwych polityków nadal twierdzi, iż ta ziemia należy do nich. W sądzie toczy się jeszcze kilka spraw. Ale my tej ziemi już nie oddamy nikomu. Powtórzę to, co mówiła nam Wangari Maathai: „po naszym trupie” – opowiada ten 42-letni mężczyzna o twarzy radosnego chłopca, który mundur leśniczego nosi z dumą.

Pierwszy raz spotkał Maathai jako 16-latek. Zobaczył ją w parku Uhuru, w centrum Nairobi, kiedy walczyła o zwolnienie więźniów politycznych. Wspomina: – Usłyszeliśmy o kobietach, które prowadzą strajk głodowy, domagając się wypuszczenia z więzienia swoich synów. Byliśmy ciekawi, więc wybraliśmy się do parku. Widok Wangari Maathai zrobił na mnie ogromne wrażenie. Pamiętam, jak stałem tam i patrzyłem na kobietę, od której biła wielka siła.

Protest matek więźniów politycznych, na czele którego w 1992 r. stanęła Maathai, wywarł też wpływ na życie profesora Karanji. W połowie lat 80. trafił do więzienia za studencką działalność polityczną. Kilka miesięcy leżał nagi na betonowej podłodze, cęła była pomalowana na biało, łącznie z drzwiami i sufitem. Zatracił poczucie czasu i przestrzeni. Zmysły płatały figle.

Pierwsze zwycięstwo

Wielu pobyt w więzieniu prezydenta Moia doprowadził do szaleństwa. Po zwolnieniu prof. Karanja uciekł do Kanady i być może zostałby tam już na zawsze, gdyby nie to, że jedna z jego krótkich wizyt w Kenii zbiegła się w czasie z protestami w parku Uhuru. Wtedy zrozumiał, że batalia o wolność w jego kraju nie jest skończona.

– Wcześniej wydawało mi się, że walka wyzwolenicza to zadanie dla elit. Dla

Ktoś krzyknął: „Za kogo ty się uważasz, kobieto?”.

Maathai najbardziej przeraziła wtedy myśl, iż **napastnicy mogliby być jej synami. Byli tak młodzi.**

studentów, intelektualistów. Wangari Maathai i jej kobiety, matki więźniów politycznych, pokazały mi, że naszą największą siłą jest zwyczajny człowiek, który zna swoje prawa i podejmuje walkę – wspomina profesor. – Jeśli kobieta z prowincji może prowadzić protest, dzień i noc patrząc rządzącym prosto w oczy, żądając wypuszczenia jej syna z więzienia, to znaczy, że każdy z nas powinien coś zrobić. To dało nam dużo energii.

Karanja wkrótce potem zrezygnował z posady wykładowcy w Kanadzie i wrócił na dobre do Kenii. Ale Maathai starcie z prezydentem w parku Uhuru przypłaciła pobiciem przez policję i miesiącami ukrywania się w krypcie pobliskiej angikańskiej katedry. Wygrała jednak walkę: synowie protestujących matek odzyskali wolność.

Bitwa o Karure

Kiedy w lesie Karura szykowałą się kolejna batalia przeciw dyktaturze Moia, Wangari Maathai ponownie zwróciła się do ludzi. Wtedy John Chege spotkał ją po raz drugi, a jego życie zmieniło się na zawsze. Deweloperzy wprowadzili już sprzęt na teren lasu. Zaczęli karczować drzewa i budować drogę. Zniecierpliwieni obecnością kobiety, która uporczywie przychodziła z sadzonkami do miejsca, gdzie miała rozpocząć się budowa apartamentowców i hoteli, postanowili użyć siły. Przy wsparciu wynajętych ochroniarzy zamknęli jej drogę do lasu.

– Władzom wydawało się, że to wystarczy, żeby powstrzymać Maathai. Mylili się. Nie znali determinacji tej kobiety – mówi Chege i wspomina, iż kiedy zorientowała się, że drogę do lasu obstawili uzbrojeni bandy, poprosiła o pomoc mieszkańców Hurumy. – Wskazaliśmy jej inną drogę, wzdłuż rzeki, która przecina naszą wieś, i poszliśmy z nią przez bagna – dodaje Chege. Tak w lesie Karura znaleźli się Wangari Maathai, mieszkańcy

Hurumy, studenci i politycy opozycji. I wszyscy zaczęli sadzić drzewa.

W miejscu, gdzie doszło do decydującego starcia, stoi dziś błękitna tablica z napisem: „Tutaj 8 stycznia 1999 roku profesor Wangari Maathai poprowadziła grupę zdeterminowanych obywateli, którzy pokonali nielegalnych deweloperów. Własną krwią i niezłomną postawą uratowała las Karura”.

Podpis krwią

Tego dnia w lesie czekało dwustu mężczyzn uzbrojonych w maczety, kije, bicz, łuki i strzały. Niektórzy mieli nawet miecze. Otoczyli Wangari Maathai i jej towarzyszy. Ktoś krzyknął: „Za kogo ty się uważasz, kobieto?”. W swoich wspomnieniach opublikowanych w 2006 r. pod tytułem „Unbowed” („Niepokonana”) pisała, że najbardziej zabolęła i przeraziła ją wówczas myśl, iż napastnicy mogliby być jej synami. Byli tak młodzi. Chwilę potem została uderzona kamieniem w głowę i zaczęła się krwawić. Zanim poszła do szpitala, trafiła na posterunek policji. Funkcjonariusze nie byli jednak zainteresowani jej historią i kazali tylko podpisać formularz. Wściekła i bezsilna, zamiast podpisu własną krwią narysowała na dokumencie znak „X”. Lekarz powiedział, że miała dużo szczęścia. Rana była poważna; gdyby trafił ją drugi kamień, mogłaby zginąć.

Prezydent Moi ponownie przegrał. Plany budowy nie zostały zrealizowane. Las Karura stał się wspólnym dobrem Kenijczyków. Przychodzą pospacerować, pobiegać, pojeździć rowerem, nacieszyć się błogą ciszą i zielenią. W weekendy rodziny przyjeżdżają na piknik z koszami wypełnionymi jedzeniem i piciem.

– Wangari Maathai była uosobieniem woli narodu kenijskiego, który domagał się więcej demokracji, a także gwarancji, że na rozwoju naszego kraju skorzystają wszyscy, a nie tylko wąskie grupy uprzywilejowanych polityków – mówi prof. Karanja. Wolny dostęp do lasu dla wszystkich, bez względu na status i pochodzenie, bez względu na to, czy jest się mieszkańcem Muthigi, czy Hurumy, jest symbolem tego marzenia.

Kto krzywdzi las, krzywdzi dzieci

Pytam Chege, dlaczego jako 22-letni chłopak z ubogiej wsi Huruma postanowił iść w ogień za Wangari Maathai. Odpowiada, że w tamtym czasie w ogóle się



AGATA KASPROLEWICZ

będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 23 stycznia

o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

nie bał, bo nie miał też nic do stracenia. W świecie, który go otaczał, nie widział nic dobrego. Las, u stóp którego się wychował, był wówczas miejscem przerażającym. Wspomina, jak chodzili z kolegami nad rzekę łowić ryby i słyszeli krzyki. Potem znajdowali porzucone zwłoki. W lesie grasowali przestępcy, przychodzili także siepacze prezydenta Moia, torturując i dokonując egzekucji. Władzom zależało, żeby zohydzić ludziom las Karura, by Kenijczycy uwierzyli, że tylko deweloperzy są w stanie wypłenić z lasu bandytów. Kiedy pojawiła się Wangari Maathai, Chege od razu stanął za nią murem.

– Dziś to ja jestem ich liderem. Podlega mi 34 leśniczych. Może nie mam wybitnych kwalifikacji, ale czuję w sobie taką samą pasję jak 20 lat temu, i mam przy sobie Boga. Kiedy widzę człowieka, który chce ściąć drzewo, czuję ból, jakby odcinał mi rękę – mówi Chege, patrząc z zadumą na swoją wieś i wspominając czasy, kiedy nie było w niej elektryczności, domy budowano z błota i przykrywano folią zamiast dachu. Dziś prawie wszyscy mieszkańcy Hurumy pracują w lesie Karura.

Wangari Maathai była pierwszą kobietą z tytułem profesorskim w Afryce Środkowej i Wschodniej oraz pierwszą Afrykanką uhonorowaną Pokojową Nagrodą Nobla. Po odejściu prezydenta Moia została wiceministrem środowiska w rządzie prezydenta Mwai Kibakiego. Zmarła w 2011 r. wskutek choroby nowotworowej.

W rzece, którą Wangari Maathai przedzierała się, by walczyć z deweloperami, kobiety robią dziś pranie. Tuż obok bawią się chłopcy, skaczą do wody, śmiejąc się, krzycząc wniebogłosy. Chege przedstawia mnie pastrowi Samuelowi. – Ktokolwiek chce skrzywdzić ten las, krzywdzi też nas i nasze dzieci. Wangari Maathai jest dla nas ikoną. Nie tylko w naszej wsi, ale i w całej Kenii. To jedyna kobieta, która przyszła na świat po to, żeby stać się mężczyzną. Bo zrobiła coś, czego nie potrafił żaden mężczyzna w tym kraju – mówi pastor.

I wybucha śmiechem, kiedy odpowiadam mu, że może właśnie dlatego urodziła się kobieta.

© AGATA KASPROLEWICZ

Miejsce przyjemne

ROMAN HUSARSKI Z AUROVILLE (INDIE)

Wyrosto z marzenia o powszechnej równości, niechęci do religii i kapitalizmu. Po pół wieku w najśłynniejszym utopijnym mieście świata nie brakuje tylko jednego: komercji.

JEST PIĘKNY, SŁONECZNY DZIEŃ W LUTYM 1968 r. Na archiwalnych zdjęciach widać, jak ludzie usypują postument z ziemi przywiezionej z rodzinnych stron. Wkrótce ich pochodzenie czy wyznanie stracą znaczenie. Przedstawiciele 124 krajów oraz 23 indyjskich stanów zebrali się, aby rozpocząć kolejny etap rozwoju ludzkości, tym razem bez wojen, przymusu czy ograniczeń – oparty na samorozwoju i jedności z boską siłą. Na pustkowiu, oprócz zgromadzonych i skąpej roślinności, widać samotne drzewo. To ono, zgodnie z wolą Matki, będzie wyznaczać początek Auroville.

W objęciach Matki

Dziś, ponad pół wieku po powstaniu Auroville, trudno rozpoznać miejsce tamtych wydarzeń. Ziemia подарowana przez indyjski rząd była uboga, a upalny klimat utrudniał pracę pierwszym osadnikom. Liczyła się jednak idea powszechnej równości i nadzieja na lepszą przyszłość.

Auroville powstało z inicjatywy la Mère, Matki, która zanim obrała swoją duchową drogę, nazywała się Mirra Alfassa i pochodziła z Francji. W młodości fascynowała się filozofią Wschodu i okultyzmem. Dopiero jednak podczas podróży do Indii spotkała swojego mistrza – Śri Aurobindo. Wychowany w Wielkiej Brytanii, po powrocie do kraju stał się jednym z czołowych działaczy na rzecz odzyskania niepodległości przez Indie, a jego nauki były doskonale znane Gandhienemu. Podczas pobytu w więzieniu Aurobindo przeżył duchową przemianę. Przed prześladowaniami ze strony władz brytyjskich schronił się w Pondichéry, ówczesnej kolonii francuskiej. Tam w pełni poświęcił się dźdze, poezji i filozofii. I spotkał Mirrę.

Po latach Matka wyznała, że Aurobindo nawiedzał ją już wcześniej w snach. Fascynacja była obustronna. Mistrz rozpoznał w niej inkarnację Shakti, czyli boskiej kobiecej energii. Wspólnie stworzyli nową

ścieżkę praktyki duchowej, nazywaną integralną jogą, i zbudowali aśram. Sława Mirry dotarła do Europy, skąd, na długo przed Beatlesami, zaczęli napływać duchowi „turyści” szukający oświecenia.

Sama idea Auroville zrodziła się we wczesnych latach 60., już po śmierci Aurobinda, ale ponoć na jego wyraźne życzenie. Nowo powstałe miasto miało być kolejnym krokiem w ewolucji ludzkości. „Zmiana ludzkiej świadomości sprawi, że na Ziemi zmanifestować się będzie mogła wyższa prawda” – mówiła Mirra. Podczas uroczystego początku Matka miała już ponad 90 lat, a swoje przemówienie wygłosiła z aśramu w Pondichéry. Tajemnicą poliszynela jest, że nigdy nie dotarła do samego Auroville.

Jej sen o nowej przyszłości zainspirował jednak wielu, a obecność Matki w Auroville jest wciąż wyczuwalna. Poświęcono jej wystawy, w każdym budynku znajduje się „ołtarzyk” z jej zdjęciem, można kupić biografie różnych autorów, a nawet 13 tomów jej myśli, owoc lat nagrań i notatek, pod nazwą „The Agenda”. Większość tych materiałów daje mglisty obraz jej osoby. Jednak Mirra z pewnością ma niezwykle życiorys.

Niedzielny guru

– Spędziłem tam prawie całe dorosłe życie – wzdycha Wasim, którego poznałem na Andamanach. Z długimi dreadami i szerokim uśmiechem mężczyzna nie wygląda na swoje 35 lat. Jest synem indyjskiego oficera. Do Auroville dotarł w wieku 16 lat. Szukał ucieczki od sztywnych ram i społecznych obowiązków. Dlaczego opuścił raj na ziemi? – Może kiedyś było inaczej, ale mam wrażenie, że wszystko toczy się tam wokół pieniędzy – tłumaczy.

To zaskakujące wyznanie, biorąc pod uwagę, jak ważnym fundamentem ideologicznym miasta jest antykapitalizm. Życie bez pieniędzy okazuje się tylko zręcznym

→ sloganem. W obiektach należących do wspólnoty obywatele Auroville zamiast banknotów używają „kart członkowskich”. Pod koniec miesiąca pieniądze są zabierane z konta. Jednak prawie wszędzie można zapłacić gotówką lub kartą. A jest za co: warsztaty medytacji, jogi, rzemiosło artystyczne i kuchnia we wszelkich możliwych odsłonach. Auroville wygląda jak kapitalizm w wersji mikro. Duchowa rewolucja nie jest darmowa.

Wasim jest przekonany o nieszczerości uczestników projektu. Ironizuje, że wielu Europejczyków staje się aurovilczykami tylko na trzy miesiące w roku, gdy pozwala na to pogoda. Upał potrafi wykończyć nawet Tamilów. – Gdy przyjeżdżają turyści, nagle stają się święci, udają oświeconych guru, a przecież łamią zakazy wspólnoty dotyczące alkoholu, mięsa czy narkotyków. Czy naprawdę myślisz, że Brytyjczycy lub Niemcy wytrzymaliby długo bez piwa? – dodaje ze śmiechem.

Podobnie utyskiwał Steven, którego spotkałem w Solarnej Jadalni. Złosił się, że młodzież nie jest zainteresowana naukami Matki, a jedynie eskapizmem. Już w latach 70. interesował się projektem. Zdążył nawet otrzymać listowną odpowiedź od samej Matki. Do Indii dotarł już po jej śmierci (w 1973 r.) i zasmucił się konfliktami. Zmienił kierunek i zaczął jeździć do Medziugorje. Ostatecznie doszedł do wniosku, że źródło obu objawień jest takie samo – boska kobiecość. Powrócił do Indii. Nie dowiedziałem się, ile miał lat. Wiek nie ma znaczenia, skoro dusza jest nieśmiertelna.

Żadnych złotych cielców

Zanim w Auroville wybudowano pierwsze domy, zasadzono drzewa. Obok niegdyś samotnego drzewa zieleni się trawa i kwitną kwiaty, w tle widać ścianę lasu, a nieopodal wybudowano przedziwny obiekt architektoniczny, przypominający wielką, złotą piłkę golfową – Matrimandir.

Wnętrze Matrimandiru jest w całości białe. Do jego budowy sprowadzono z Włoch biały marmur, a zwiedzający zakładają białe skarpetki, aby nie wnieść brudu do wnętrza, które wygląda jak przeniesione z planu filmowego Stanleya Kubricka. Panuje zakaz odzywiania się. Właściwie jest to świątynia, ale nikt jej tu tak nie nazwie. Auroville z założenia miało być świeckie. Twórcy miasta stawiali się w kontrze do instytucjonalnych religii i krytykowali dogmatyzm. Sami proponowali jednak szereg idei, które należy nazwać wprost religijnymi.

Mistrzowie duchowi nigdy nie mówili, że tworzą religię. Św. Paweł nauczał o „drodze”, Budda o „uniwersalnym prawie”, a Konfucjusz o „cnocie”. Język używany przez mieszkańców próbuje odciąć się od związków z religią. Nawet centralna sala w Matrimandirze, do której dostęp mają jedynie mieszkańcy i w której przebywa się w ciszy, by „odkryć swoją świadomość”, nazywana jest „salą koncentracji”.

Pomimo że formalnie mieszkańcy Auroville podkreślają swój sekularyzm, by dołączyć do wspólnoty, muszą zaakceptować kosmologiczną wizję Matki, która obejmowała projekt zbawienia ludzkości. Według Roberta N. Minora, historyka Auroville, podział na religijnych i uduchowionych miał bardzo praktyczną funkcję. Ci, którzy nie zgadzali się z duchową wizją Matki, otrzymywali łatkę „religijnych” i byli odsuwani od decyzji.

Równi i równiejsi

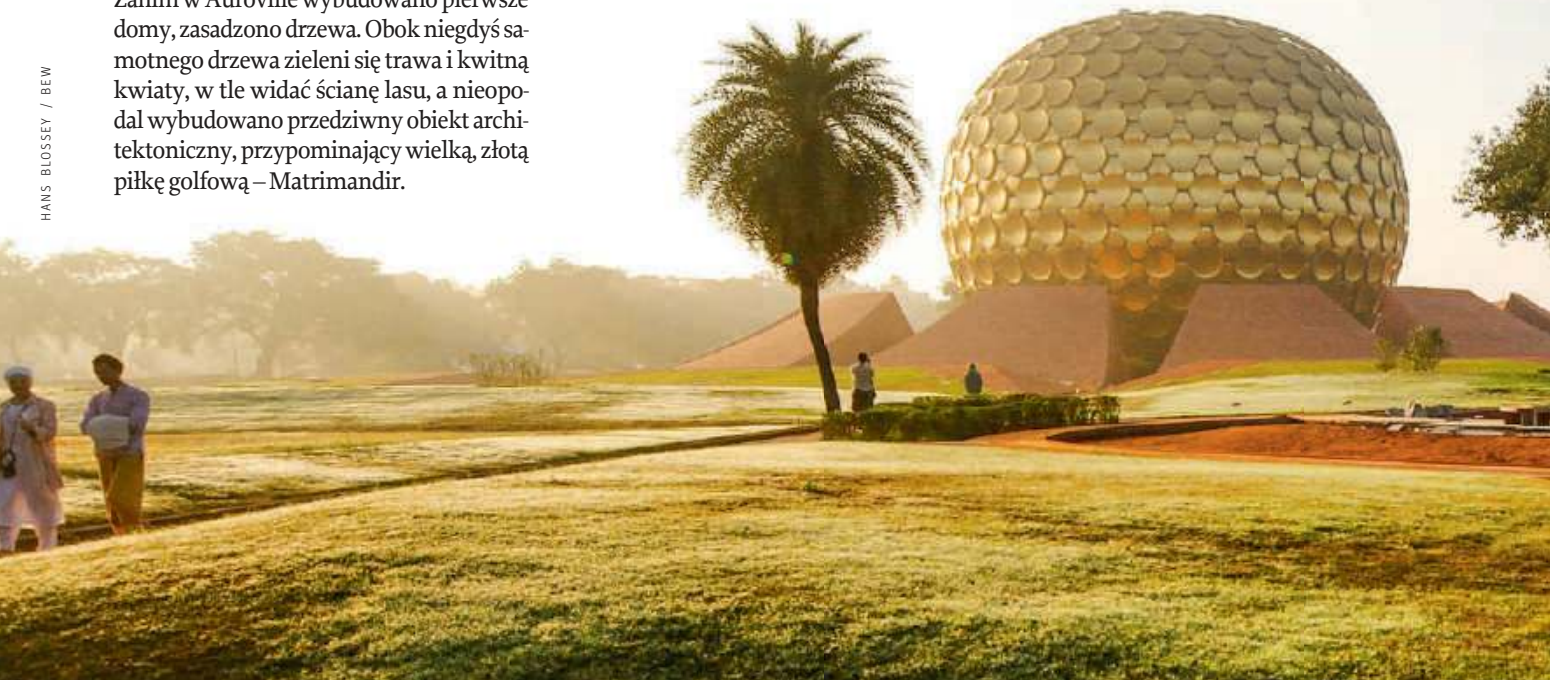
W Auroville jedynym systemem politycznym miała być według Matki „boska anar-

chia”. Każdy obywatel ma tak samo ważny głos. Decyzje podejmowane są wspólnie.

– Teoretycznie w Auroville wszyscy są równi – opowiada jeden z mieszkańców. – Jednak nie jest łatwo zostać obywatelem. Jeżeli zamierzasz wybudować tam dom, poczekasz nie więcej niż rok. W innym wypadku? Nie wiadomo. Niektórzy czekają na zgodę latami, pracując na farmach jako wolontariusze. Wszystko jest tu powiązane. Gdy już jesteś obywatelem, masz liczne przywileje, ale jeśli chcesz założyć biznes, aż jedną trzecią zysku musisz oddawać na rzecz wspólnoty!

Obywatele Indii nie stanowią tu nawet połowy. Ci, którzy decydują się tu mieszkać, zazwyczaj pochodzą z uprzywilejowanych kast. Największą grupę stanowią Włosi, Francuzi i Niemcy. Nie da się ukryć, że część Auroville wygląda jak luksusowy kurort dla emerytów.

Choć Auroville zaplanowano na 50 tys. mieszkańców, to w pierwszych latach ich liczba rzadko kiedy przekraczała 300. Ostatnio jednak wzrasta, teraz mieszka tu ok. 2,9 tys. ludzi. Niektórzy chcą ograniczyć pierwotne plany, by utrzymać, jak tłumaczą, wysokie standardy we wspólnocie. Trzeba przyznać, że Auroville jest doskonale zorganizowane. W porównaniu z innymi częściami Indii jest czysto, łatwo znaleźć toaletę, budynki są w nienagannym stanie. Duży nacisk kładzie się na ekologię. Miasto posiada własne szkoły (uczniom nie wystawia się ocen) i służbę zdrowia. Każdy może zaangażować się w różne projekty. W obrębie Auroville są specjalne wioski, które zajmują się wyłącznie sadzeniem drzew. Każdy może pracować jako wolontariusz na ekologicznych



uprawach czy stołówkach. Część inicjatyw skupia się wokół sztuki czy jogi. Wszystko nastawione jest na samorozwój. Co wieczór odbywa się szereg wydarzeń, w których można uczestniczyć, w większości za dobrowolną składkę.

Lokalni Tamilowie są zdystansowani od rozgrywanego się na ich oczach projektu. Większość z nich nie rozumie duchowości Auroville i nie ma pieniędzy, by wejść w ten świat. Część postrzega wręcz cały projekt jako kontynuację kolonializmu. Dystans pomiędzy ludnością lokalną a „uniwersalnym” miastem jest widoczny gołym okiem. Konflikty potęguje wykupywanie ziemi od miejscowych rolników przez aurovilianów, którzy za cel stawiają sobie zgromadzenie wszystkich terenów w odległości 10 km od Matrimandiru.

Przyjemne miejsce do życia

– Nie wierzę w utopię, ale założenia Auroville są dobre – mówi Janko, obywatel Auroville, sztukmistrz, sanitariusz, z pochodzenia Niemiec, który już w latach 80. zaangażował się w ten eksperyment. – Wtedy nie było ciepłej wody. Problemy z higieną były katastrofalne. Wspólnota była podzielona. Komerccjalizacja? Dzięki temu dziś życie jest tu proste.

Pytam go o współpracę z lokalną ludnością. Próbuje tłumaczyć europejską obecność projektami mającymi na celu poprawić warunki życia w okolicy. Jednak, jak

przyznaje, to beznadziejne. – Przez 20 lat pracowałem próbując podnieść standardy sanitarne. Zmiany są zauważalne, ale w stosunku do potrzeb niewielkie. Weźmy toalety. Choroby, na które się tu zapada, wskazują, że ludzie wypróżniają się, gdzie popadnie – mówi Janko.

Mężczyzna jednak nie kryje swojego przywiązania do Auroville: – Po prostu nie znalazłem lepszego miejsca do życia. Tu mam wszystko, czego mi potrzeba, a niemiecka emerytura pokrywa wszystkie moje wydatki.

Zadowolona z pobytu jest też Polka, Kamal, która pokazuje nam sekrety Auroville. Uważa, że miasto daje możliwości samorozwoju i dobre warunki życia. – Tu mogę być blisko przyrody za niewielkie pieniądze – śmieje się. Kamal i jej syn Lamo znani są czytelnikowi w Polsce z książki Wojciecha Jagielskiego „Na wschód od zachodu”. Do Auroville przenieśli się dwa lata temu, by Lamo mógł pójść do szkoły. Czekają na obywatelstwo. Kamal pracuje w ogrodzie botanicznym, wcześniej sadziła drzewa w jednej z wiosek. Jej 14-letni syn jest bardziej krytyczny wobec Auroville, co matka usprawiedliwia „młodzieńczym buntem”. Lamo mówi, że szkoła bez ocen jest nudna i że zamierza iść do zwykłego liceum. Medytacje mu nie w głowie. Podobnie jak jego

rówieśnicy czas po zajęciach spędza grając w „strzelanki” na telefonie.

Miasto jak banian

Drzewo znajdujące się w centrum Auroville to figus bengalski, czyli banian. Roślina ta najpierw wyrasta jako epifit na innym drzewie. W miarę wzrostu wypuszcza powietrzne korzenie, które tworzą kolejne segmenty. Jedno drzewo potrafi rozrosnąć się do rozmiarów małego lasu.

Auroville zbudowano na ideach indyjskich, przetworzonych przez europejski punkt widzenia. To takie Indie, jakie chcieliby widzieć mieszkańcy Europy. Nie oznacza to jednak, że wspólnota jest jednorodna. Tak jak banian tworzą liczne odnogi, tak i Auroville składa się z wielu niezależnych wspólnot o różnych profilach, od ekologicznych po pustelnicze, włączając w to szkoły, szpitale, ośrodki kultury i centra badawcze.

Miasto będzie się rozwijać. Wspiera je również rząd indyjski, mając nadzieję na ściągnięcie inwestorów, poprawę życia lokalnej ludności, nowe rozwiązania ekologiczne i technologiczne. W ogrodzie indyjskiej różnorodności jest i miejsce na jeszcze jedno drzewo banian.

© ROMAN HUSARSKI

*Wschód słońca nad Matrimandirem,
głównym miejscem medytacji
w Auroville.*



Wywrócili nasze życie

BARTOSZ RUMIŃCZYK Z IRACKIEGO KURDYSTANU

W ich wspomnieniach odbija się historia powstania, tryumfu i upadku tzw. Państwa Islamskiego. A w planach – nadzieja na dobre jutro. Już poza obozami.

NA ZEWNĄTRZ JEST PONAD 50 STOPNI. W cieniu – a cienia o dwunastej prawie nie ma. Pustynna ziemia chrzęści pod stopami. Z kranów leje się wrzątek. Oddychamy żarem. A w klimatyzowanym kontenerze z blachy falistej wybucha rodzinna kłótnia. Bo córki koniecznie chcą iść na medycynę.

Zamen ma 19 lat i tęskni za szkołą. W obozie na zajęcia nie chodzi, bo zachorowała na padaczkę. Jeśli zbyt długo wpatra się w litery w książce, ma ataki.

– A gdybyś mogła znów iść do szkoły i ją skończyć, to kim chciałabyś zostać?

– Lekarką.

– *Lesh?* Dlaczego?

– Bo kiedyś w obozie była taka Nadia, z Lekarzy bez Granic. Psycholożka. Lubiłam ją, pomagała mi. Teraz ja chcę pomagać innym. Moje młodsze siostry też chciałyby się uczyć. Ale ojcu to się nie podoba.

– Abdullah, czemu nie chcesz, by dziewczynki się uczyły? – pytam przez Alego, który tłumaczy naszą rozmowę. Ali zaczyna przekrzykiwać się z Abdullahem.

– Oszalała! – puka się w głowę Ali. – On nie chce, by córki chodziły do szkoły, bo potem pójdą na studia, a jego nie będzie na to stać. No to ja mu mówię, że przecież nie wie, co będzie w przyszłości, że wszystko może się zmienić, może będzie miał pieniądze, i że dziewczynki muszą się uczyć!

Pustynia

Obóz Alwand 1 w Iraku, przy granicy z Iranem. Z miasta As-Sulajmanija jedzie się tu prawie trzy godziny. Przyjazny kurdyjski krajobraz zmienia się w pustynię. Przejedźmy kamiennymi mostami nad wyschniętymi korytami rzek, a ustawiona na maksimum klimatyzacja przestaje wyrabiać. Kierowca co rusz przykładą rękę do nawiewu i kiwa głową z niedowierzaniem. – *It's okay* – zapewnia.

Alwand 1 to obóz na wzgórzu, pośrodku niczego. Zjeżdża się tu z drogi od Chana-kin, jednego miasta w okolicy. Samo-

chodem 15 minut, może więcej, jeśli zadbamy o zawieszenie. Na piechotę pewnie z godzinę. W obozie znaleźli schronienie uchodźcy wewnętrzni – Irakijczycy, którzy uciekli przed władzą tzw. Państwa Islamskiego (IS).

Mieszka tu 800 rodzin. Każda – w niewielkim blaszanym kontenerze lub namiocie z plandeki. Łyse, betonowe słupki na obrzeżach obozu to pozostałości po zlikwidowanych domach i sygnał dla mieszkańców: „wasze dni są policzone”. Bo Alwand 1 może zostać w każdej chwili zlikwidowany. Ludzie albo zdecydują się wrócić do domu, albo zostaną przesiedleni do innych obozów. Obok jest obóz Alwand 2 – a liczba wszystkich uchodźców wewnętrznych w Iraku to ok. 2 mln. Do tego trzeba doliczyć syryjskich Kurdów, którzy uciekli do Iraku z Syrii.

Idąc na obrzeża obozu, spotykamy trójkę nastolatków, którzy znaleźli skrawek cienia. Omar, Ahmed, Abdul. Zwykle bliskowschodnie imiona i zwykła rozmowa z chłopakami: mają boisko, lubią grać w piłkę, kibicują Barcelonie, a Messi jest najlepszy. Pewnie, że chcieliby wrócić do domu, bo po cholerę mieszkać na środku pustyni, skąd wszędzie jest daleko?

Czarna plama

Cały świat widział bojowników Daesh [używana w regionie nazwa IS – red.], czarne flagi i kolumny terenowych białych aut. Oglądaliśmy te obrazki bezpiecznie w naszych fotelach, z czasem się znudziliśmy i zaczęliśmy przełaczać kanały. Abdullah także oglądał Daesh w telewizji. Ale pewnego dnia zobaczył ich pod własnym domem. To było w czerwcu 2014 r.

– Mieli długie włosy, długie brody i krótkie sukmany – opowiada Abdullah. – Wjechali do miasta samochodami. Pick-upy, niektórzy na motocyklach. Krzyczeli, strzelali w powietrze, wymachiwali czarnymi flagami. Byłem przerażony.



Abdullah z rodziną. Iracki Kurdistan, wrzesień 2018 r.

Gdy Daesh weszło do Sadii, miasta Abdullaha, wzięło ją bez żadnego oporu. Jak mówi Baszir, który mieszkał pod Mosulem, a dziś koczuje w obozie Harsham pod Erbillem, z początku nikt nie wiedział, co się dzieje: – Wojsko i policja po prostu opuściły miasto. Potem w mieście pojawiły się czarne flagi. A nasze życie ktoś wywrócił do góry nogami.

W Mosulu Abu Bakr al-Baghdadi ogłosił się władcą Państwa Islamskiego. 4 lipca 2014 r. w meczecie an-Nuri wezwał muzułmanów do posłuszeństwa i udziału w świętej wojnie przeciw niewiernym. Gdy pytam Baszira, czy słyszał *credo* samozwańczego kalifa – macha tylko ręką.

– Prorok był jeden. Urodził się półtora tysiąca lat temu. I nikt teraz nie może ogłaszać się prorokiem, żaden Baghdadi.

Pytam o dżihad. – Słuchaj, miałem sąsiadów Jazydów, a sam jestem muzułmaninem. Oni mają swoją religię, ja mam swoją. Ale Jazydzi to byli moi bracia, a teraz ich nie ma. Nawet nie wiem, co się z nimi stało, czy żyją – odpowiada Baszir.

Dwa miesiące

Wojna, której tak bał się Abdullah, wybuchła już w sierpniu 2014 r., gdy wojsko irackie, wspierane przez Stany Zjednoczone, ruszyło z kontrofensywą. A gdy wybuchła wojna, to się nie myśli wiele, tylko ucieka. Czasu jest mało, więc łapie się dokumenty, bo bez nich ani rusz.



BARTOSZ RUMIŃCZYK

Abdullah wysłał żonę z dziećmi do teściów. Sam przekradł się na tereny kurdyskie. Razem uciekać nie mogli, bo mężczyźni Daesh zabijało na miejscu albo rekrutowało do swoich oddziałów. Kobiety z dziećmi były względnie bezpieczne. Przez dwa miesiące byli rozdzieleni. Ich najstarszy syn Omar mieszkał wtedy u ciotki i właśnie miał robić maturę. Gdy rozmawiamy, wchodzi do kontenera.

– Z kolegami zrzucałyśmy się na paliwo do samochodu i jeździmy do Chanakin szukać pracy. Idziemy na targ i pytamy, czy jest jakaś robota. Dziś akurat nic się nie trafiło – tak Omar opowiada o tym, skąd właśnie wrócił. I wyjaśnia: – Maturę miałem tego samego dnia, gdy Daesh zaatakowało Sadiję. Wiedziałem, co się dzieje w domu, i egzamin po prostu oblałem. Miałem plany, chciałem się uczyć. Nienawidzę Daesh za to, co nam zrobili. Za to, że musimy mieszkać na środku pustyni.

Haram

Daesh zniszczyło życie wielu. Tak jak oglądaliśmy obrazki bojowników z czarnymi flagami na białych pick-upach, tak i czytaliśmy mrożące krew w żyłach opowieści o okrucieństwie żołnierzy kalifatu. Z czasem się znudziliśmy i zaczęliśmy przerzucać strony tygodników.

Najwięcej o rządach Daesh opowiada Mohammed z obozu w Baharce, pod Erbillem. Siedzi na betonowej wylewce, która

jest podłogą w jego namiocie, i pali cienkie papierosy. – Gdy przyszło Daesh, życie stało się ciężkie – mówi, a ja nadstawiam uszu w oczekiwaniu na opowieści o nie-ludzkim barbarzyństwie. Mohammed zaczyna jednak od sprawy prozaicznej.

– Zanim zajęli moją wieś, za taką paczkę papierosów – pokazuje pudełko chesterfieldów – płaciłem 500 irackich dinarów.

To tyle, ile teraz w Iraku kosztują papierosy, równowartość 5 zł.

– A gdy weszło Daesh, za paczkę musiałem płacić 40 tys. dinarów. Bo palenie było *haram*, zakazane, więc papierosy kupowało się na czarnym rynku. Telewizja była *haram*, radio było *haram*, nawet telefony. Mojego krewnego za to zabili. Wszedł do meczetu i zapomniał wyłączyć telefon. Akurat zadzwonił, więc wyprowadzili go z meczetu i oskarżyli, że jest szpiegiem irackiej armii. Następnego dnia spędzili całą wieś na rynek i powiedzieli: „To czeka was, jeśli będziecie używać telefonów”. Strzelili mu w głowę.

Publiczne egzekucje odbywały się często. Mohammed: – Zwolniali ludzi przez megafony, czasem strzelali, czasem ścinali głowy. Kobietom także. Jedną stracili za to, że spacerowała ze swoim narzeczonym. To też było *haram*. Do meczetu kazali nam chodzić trzy razy dziennie. Kara za nieprzestrzeganie – śmierć. A w meczetach namawiali, by dołączyć do dżihadu. Pozamykali też szkoły, zostawili tylko medresy, gdzie o dżihadzie mówili dzieciom.

Wtrąca się kuzyn, Fajis: – Mówili, żeby walczyć razem z nimi. „Traficie do raju, a jeśli nie dołączycie do nas, to nie jesteście muzułmanami i traficie do piekła”. Mówili, by walczyć przeciw irackiej armii i żeby ruszyć na podbój całego świata – opowiada.

Fajis ma na rękach tatuaże, za co został wychłostany: – Chłostali mnie też za palenie. Publicznie. Pierwszy raz, gdy mnie zatrzymali, byłem pewien, że mnie zabiją.

Mohammedowi, który dziś pali jednego za drugim, udało się uniknąć chłosty. – Paliłem w domu, przy zamkniętych oknach. Jednego dziennie – mówi.

Z okolic Mosulu Mohammed uciekł w sierpniu 2017 r., gdy wojsko irackie wspierane przez USA prowadziło ostatnie działania przeciw Daesh. Wcześniej nie mógł, bo nie było go stać na opłacenie się przemytnikom. Kalifat ostatecznie padł tego roku. Ale jak się szacuje, na terenie Iraku i Syrii jest jeszcze 30 tys. bojowników. I nie siedzą cicho. W okolicach Al-

wand w ostatnim czasie było kilka uprowadzeń i egzekucji.

Zemsta

Omar nie umie wybaczyć bojownikom Daesh. Jego ojciec mówi: gdybym dopadł jednego z nich, to żywcem bym go spalił.

Bo przecież każdy chciałby jakoś zaadośćuczynić za krzywdy, choć nie każdy jest mordercą. Ale nie trzeba być mordercą i dopuszczać się okrucieństwa, by mieć tę satysfakcję. O tym dowiaduję się w Harszham, na przedmieściach Erbilu.

To, że przed wojną dzisiejszym uchodźcom żyło się dobrze, to wręcz klisza obywatelskich opowieści. Każdy, kto ucieka przed śmiercią, idealizuje czasy minione. Choćby żył nie wiem pod jakim reżimem, każdy mówi, że przed wojną życie było dobre. Nieważne, czy w Syrii rządził Assad, czy w Iraku Saddam. Nieważne, że było ciężko, że złorzeczyli dyktatorom, że czasem nawet protestowali, a niektórzy z nich po tych protestach znikali. Ważne, że na dach domu nie spadały bomby.

Ale Hiszam naprawdę miał dobre życie. Salon samochodowy w Mosulu, własna restauracja, kawiarnia. Dom z marmurowymi posadzkami. Z dumą pokazuje zdjęcia świeżo po wykończeniu. Plastikowe framugi okien są jeszcze oklejone folią. – Jeździłem jeepem – chwali się. – I tym jeepem uciekałem przed Daesh? – Nie. Musiałem pożyczyć inny. Bałem się, że ktoś mnie rozpozna po aucie.

Hiszam miał plan, jak się wydostać cało z oblężonego Mosulu: – Trzeba było myśleć tak jak oni, mówić tak jak oni, a nawet wyglądać tak jak oni – opowiada. – Ubrałem się w krótką sukmanę, zapakowałem całą rodzinę do auta, a na widoku położyłem Koran. Zakazałem się komukolwiek odzywać. Podczas kontroli powiedziałem, że muszę zabrać rodzinę, bo córka jest chora. Powiedziałem, że ma na imię Aisza, jak żona proroka. To ich zmyliło.

Oglądaliśmy zdjęcia domu, gadamy o interesach, które prowadził Hiszam. O jego rodzinie, gdzie był i wojskowy, i policjant. →



BARTOSZ RUMIŃCZYK będzie gościem

Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie”

Radia TOK FM w środę 23 stycznia o godz. 15.40

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń

89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin

94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

→ Mówię: – W Mosulu byłeś kimś, a teraz mieszkasz w blaszanym kontenerze, w obozie. Wszystko zabrało ci Daesh, a ty nic nie mogłeś im zrobić.

– Nie, nie. Miałem swój mały rewanż na Daesh – patrzy na mnie z błyskiem w oku i zawiesza głos, uśmiechając się przekornie. – Uciekliśmy z Mosulu, najpierw do Kirkuku, a potem do Erbilu. Potem ruszyła kontrofensywa, a ja znałem parę osób, które dalej były w mieście. No i oni mi mówili, gdzie stacjonuje Daesh. Jak już pozbierałem trochę informacji, to przekazałem je wojskowym. I wtedy zrobili im porządną nalot.

Dzieci muszą się uczyć

W Alwand 1 wciąż trwa spór o szkołę i studia. Abdullah narzeka na swoje córki, a one za wiele sobie z tych narzekania nie robią. Pytam, czy chciałby wrócić do domu.

– *Akit*. Oczywiście. Tu da się jakoś żyć, są nawet sklepy, tylko że u siebie to ja miałem sklep i nie musiałem się martwić o pełną lodówkę. Gdybym miał pieniądze, wróciłbym jutro. Wynajął mieszkanie, otworzył interes, znów się dorobił. Dziś musiałbym rozbić namiot i gdzieś koczować. Bo mój dom w Sadii został zrównany z ziemią.

Pytam najmłodszego syna, czy też chciałby zostać lekarzem. Kiwa głową, że tak, i szeroko się uśmiecha.

Abdullah: – Siedzą ciągle z nosem w telefonach i czytają o tym, jak zostać lekarzem. Oszaleć można. A mnie mówią tak: Nie chcesz nas wysłać do szkoły? Dobra. I tak pójdziemy, a jak zostaniemy lekarzami, to nie będziemy ci przyjmować. Będziesz musiał płacić innym lekarzom.

Wtrąca się matka narzekającego Abdullaha, 70-letnia Hawean. – I dobrze ci mówią. Daj im spokój. Dzieci muszą się uczyć.

© BARTOSZ RUMIENIŃCZYK

■ W obozie Alwand 1 Lekarzy bez Granic, o których opowiada Zamen, już nie ma. Jest tylko pierwsza pomoc medyczna. Polska Misja Medyczna prowadzi tam gabinet stomatologiczny. PMM pomaga też w pięciu obozach w irackim Kurdystanie – zapewnia wsparcie dzięki klinikom mobilnym. Działania PMM można wesprzeć, kupując wybrany pakiet pomocowy na stronie <http://www.pmm.org.pl/pl/zestawy-2> lub wpłacając pieniądze na konto: 08 1240 4650 1111 0010 4607 7315

Jak przekonać telewizorów

TADEUSZ IWAŃSKI

Rozpoczynająca się właśnie kampania przed wyborami prezydenckimi może być nie tylko najbardziej intrygująca, ale i najbrudniejsza w historii Ukrainy.

PETRO POROSZENKO, PREZYDENT Ukrainy, lubi powtarzać, że nigdy nie przegrał żadnej kampanii. I choć jego wystąpienia publiczne przypominają już wiecie, wciąż publicznie nie potwierdził, czy będzie ubiegać się o reelekcję w wyborach 31 marca. Przyczyną zwłoki są niełaskawe i wywołujące lęk sondaże. Po czterech latach jego rządów 53-procentowe poparcie dla Poroszenki stopniało do 6-13 proc. (w zależności od sondaży).

Główna przyczyna spadku notowań tkwi w reformach – niektóre były społecznie bolesne, inne nie zdążyły przynieść efektów, jeszcze inne, jak choćby antykorupcyjna, zostały rozwodnione. Nie tylko żaden znany polityk czy oligarcha nie trafił za kraty za korupcję, ale w dodatku bliscy współpracownicy prezydenta przejęli najbardziej „dochodowe” segmenty państwowej gospodarki – energetykę i zbrojeniówkę. Jednak początek sondażowej jazdy w dół rozpoczął się rok temu, gdy Poroszenko – prezydent kraju w kryzysie gospodarczym, w stanie wojny z Rosją i ze zbiedniałym społeczeństwem nieustannie proszonym o zaciskanie pasa – wybrał się na tygodniowy urlop na Malediwy wart, jak podliczyli dziennikarze, pół miliona dolarów.

W każdym kadrze

Teraz Poroszenko nie popełnił tego samego błędu. Czas był zresztą szczególny. Między soborem zjednoczeniowym ukraińskich cerkwi prawosławnych (15 grudnia) a uzyskaniem przez nową Prawosławną Cerkiew Ukrainy tomosu z rąk patriarchy ekumenicznego Bartłomieja w Stambule (6 stycznia) prezydent skutecznie negocjował wybór zwierzchnika i był w kadrze niemal każdego zdjęcia z obu uroczystości. „*Tomos*” (słowo roku 2018 na Ukrainie) i „*bezwiz*” (uzyskanie ruchu bezwizowego z UE), kurs na Zachód, wzmocnienie roli języka ukraińskiego

oraz rozbudowa armii to główny oręż Poroszenki w walce o serca wyborców. Jednak na razie próby przekierowania kampanii na te kwestie nie przynoszą rezultatów. Podobnie jak skrajna antyrosyjskość i godnościowa retoryka o ukraińskiej przeszłości. Poroszenko będzie łatwiej wygrać drugą turę, niż się do niej dostać.

Zagadką pozostaje bowiem nie tylko, kto wygra wyścig prezydencki, ale nawet kto dotrze do drugiej tury. Ukraińcy najczęściej szans dają albo kandydatowi spoza establishmentu, albo w ogóle nie chcą zdradzić, na kogo zagłosują (takich jest ponad 30 proc.). „Perspektywiczni” do niedawna kandydaci albo tracą ostatnio w rankingach (b. minister obrony Anatolij Hrycenko i rockman Sława Wakarczuk), albo zyskują konkurentów we własnych środowiskach. Głosy nacjonalistów rozproszą się między Ruslanem Koshulińskim ze Swobody i Andrijem Bileckim z Korpusu Narodowego, choć i bez tego nie mogliby liczyć na więcej niż 4 proc. Z kolei sympatie elektoratu prorosyjsko-nostalgicznego rozdzieliła się między Jurijem Bojką i Ołeksandrem Wiłkułem, reprezentantami dwóch konkurencyjnych grup oligarchicznych. Obecnie liczy się tylko troje polityków: komik Wołodymyr Zelenski i była premier Julia Tymoszenko, oboje cieszący się wyższym poparciem od trzeciego – Petra Poroszenki.

Zelenski: wybory czy promocja?

Od 2015 r. dla większości Ukraińców Zelenski to Wasyl Hołoborodko – prezydent Ukrainy z serialu „Sługa narodu”. Komik od dwóch sezonów wciela się w rolę skromnego nauczyciela historii, który jako głowa państwa broni słabych i ubogich, a gromi korupcję i oligarchię. Zasięg ma wielki – prawie 90 proc. Ukraińców przyznaje, że wiedzę o świecie czerpie z telewizji.

Zelenski korzysta na tym, że Poroszenko znudził się już obywatelom jako prezy-





STEPAN FRANKO / EPA / PAP

Julia Tymoszenko na spotkaniu z sympatykami. Kijów, październik 2018 r.

dent, a zaufanie do polityków jest niskie. Jest obietnicą spełnienia snu o polityce magicznej, w której – jak w serialu – człowiek z zewnątrz posiadał sprawczość dogłębnej i bezbolesnej sanacji państwa. Jego polityczna i gospodarcza ignorancja wcale nie musi być wadą, bo zbliża go do ludzi i dystansuje od znienawidzonych polityków. To, jakim politykiem jest Zełenski, pokazuje jego kampania: niepolityczna, nienachalna i dowcipna.

Częściowo wynika to z faktu, że jego partia polityczna Sługa Narodu funkcjonuje tylko na papierze. Jednak za żartem chowa się żelazna logika: jako kandydat nietypowy potrzebuje nietypowej kampanii. Tak więc skoro sztab tworzą bracia Szefir, przyjaciele i współpracownicy z firmy produkującej seriale i kabarety Zełenskiego, to i kampania prezydencka wpisuje się w akcję promocyjną nowego filmu z jego udziałem „Ja, ty, on, ona” (rekordowy box office w pierwszym tygodniu wyświetlania) i kolejnego sezonu „Sługi narodu” (na ekrany wejdzie dwa tygodnie przed pierwszą turą wyborów). Zgodnie z tą logiką Zełenski nie przedstawił programu, lecz o jego napisanie poprosił swoich fanów, start w wyborach obiecał zaś w materiale wyemitowa-

nym 31 grudnia tuż przed północą w telewizji 1+1 – w czasie, gdy na innych kanałach prawdziwy prezydent składał tradycyjnie siernie życzzenia noworoczne.

Właścicielem 1+1, który kupuje i emituje całą produkcję telewizyjną Zełenskiego, jest Ihor Kołomojski – jeden z nielicznych oligarchów skonfliktowanych z Poroszenką. Te związki mogą być dla aktora ciężarem, podobnie jak jego występy na zamkniętych imprezach innych oligarchów, a także zażyłe kontakty z otoczeniem oraz samym Wiktorem Janukowyczem. W odróżnieniu od poglądów: choć potępia agresję Rosji i wspiera konwoje z pomocą humanitarną dla Donbasu, jednocześnie krytykuje dekomunizację i zwiększenie zakresu używania języka ukraińskiego, postuluje podejmowanie ważnych decyzji na drodze referendum i dogadanie się z Putinem w cztery oczy o zakończeniu wojny w Donbasie. Te poglądy przysparzają mu zwolenników na południu i wschodzie kraju, choć głównie wśród młodych, którzy niechętnie chodzą na wybory.

Tymoszenko 2.0

Była premier Ukrainy jest niekwestionowaną liderką sondaży. Pierwsza zaczęła

kampanię i zyskała dzięki krytyce bolesnych społecznie reform, przede wszystkim podwyżek opłat komunalnych. Nie wikła się w skandale, skutecznie ukrywa swój majątek i cennie punktuje zarówno przeprowadzone reformy, jak i brak innych.

Choć w polityce jest od ponad 20 lat, Ukraińcy najwyraźniej są w stanie więcej jej wybaczyć. „Lady Ju”, jak kiedyś o niej mówiono, pozostaje uosobieniem populistycznie rozumianej sprawiedliwości społecznej, karzącej ręki prostego ludu.

W odróżnieniu od leninowskiego NEP-u, jej Nowy Kurs Ekonomiczny jest zbiorem haseł ciężko przekładalnych na praktykę. Podobnie jak postulowana nowa umowa społeczna, obiecująca bezpośredni udział społeczeństwa w sprawowaniu władzy, czy „ludowa konstytucja” z systemem kanclerskim. Celem jest wyjście poza elektorat wsi i miasteczek środkowo-zachodniej Ukrainy i trafienie do wielkich miast, do biznesu, do klasy średniej i kreatywnej.

Aby to osiągnąć, Tymoszenko przeszła rebranding: nie jest już „Żelazną Julią” czasów wicepremierostwa za Kuczmy, ani „Księżniczką Pomarańczowej Rewolucji” z 2005 r. Dziś to doświadczona polityk, dwukrotna szefowa rządu, więzien polityczny reżimu Janukowycza, bez warkocza, w okularach w grubych oprawkach – nowoczesna technokratka o szerokich horyzontach. Ewolucja ta, choć spektakularna, wypada jednak mało wiarygodnie. To, co do ludzi przemawia najskuteczniej, to krzyczące z billboardów, jak kraj długi i szeroki, populistyczne obietnice dwukrotnej obniżki cen gazu.

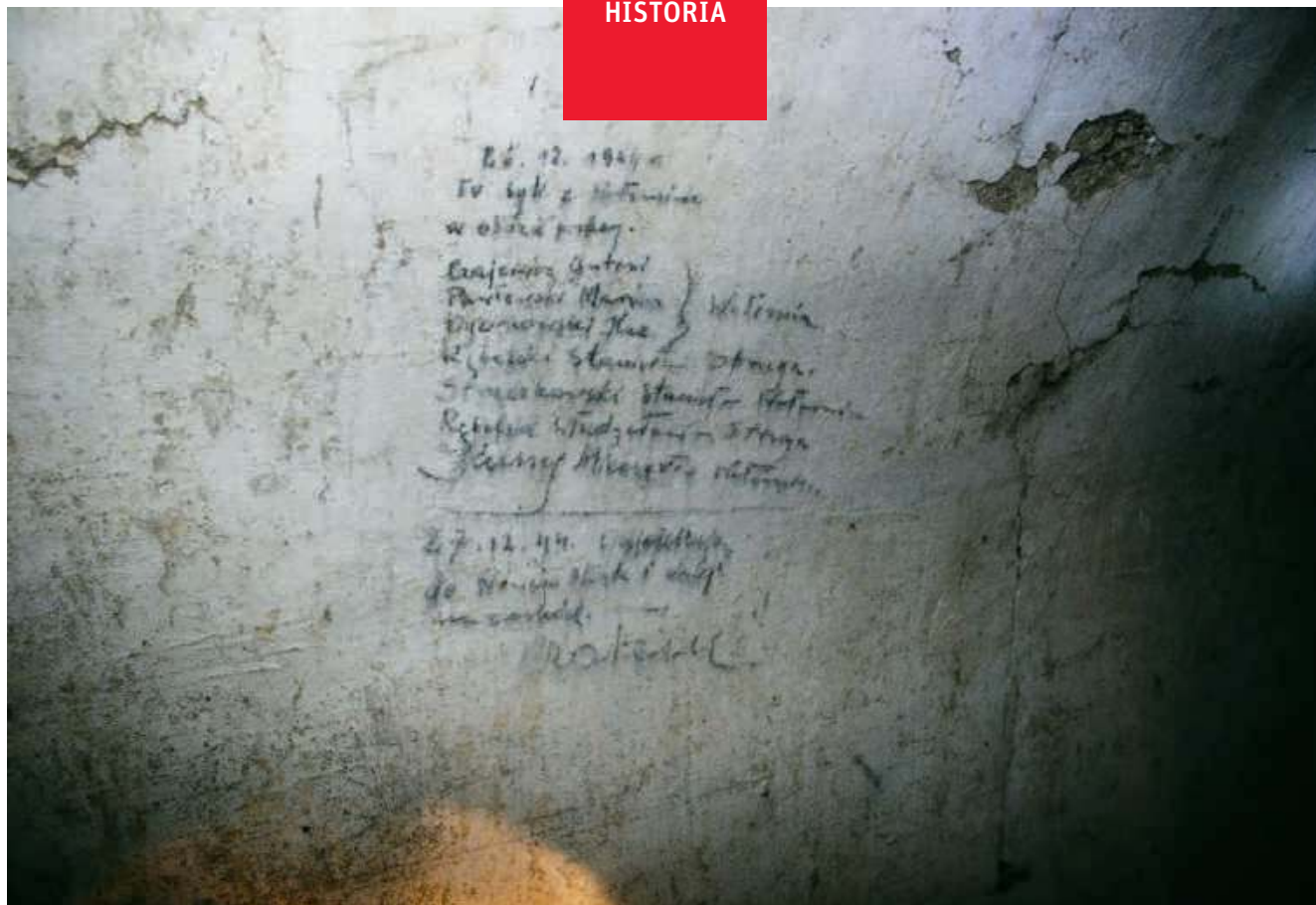
Rozpoczynająca się kampania może być nie tylko najbardziej intrygująca, ale i najbrudniejsza w ukraińskiej historii. Stawka tych wyborów jest bowiem wysoka – ich wygrany ma spore szanse na dobry rezultat w wyborach parlamentarnych w październiku i zdobycie pełni władzy.

Zełenski wniósł ozywcy powiew do ukraińskiej polityki i nie jest bez szans, lecz gdy socjologowie pytają Ukraińców: na kogo zagłosują, a kto wygra wybory, ci odpowiadają pobłażliwie: Julia albo Pietia.

©

Tekst ukończono 16 stycznia.

TADEUSZ IWAŃSKI jest ekspertem ds. ukraińskich w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpi.



„Tu byli z Wołomina w obozie pracy...” – napis na murze w celi Fortu Pomiechówek, wykonany 26/27 grudnia 1944 r.

NAZWISKA W TYNKU

Ten sad nie pamięta wojny. Jabłka są czerwone, dorodne.
Nie zrywam, bo tu wszędzie są ludzie. Ludzkie prochy.

ELŻBIETA STRZAŁKOWSKA

TO TYLKO 40 KILOMETRÓW OD WARSZAWY, kilkaset metrów od trasy na Mazury i Podlasie. Ale trzeba wiedzieć, gdzie skręcić. Drogowskazu nie ma.

Siąpi. Zbieramy się wokół przewodnika. Piotr Oleńczak, historyk, takich grup jak nasza prowadził już kilkadziesiąt. Miejskowy Ośrodek Kultury co pół roku stara się o zgodę Agencji Mienia Wojskowego. To jedyny sposób, żeby Fort III w Pomiechówku zobaczyć od środka.

Ochroniarz otwiera bramę. Jest ich zawsze dwóch. Co kilka godzin obchodzą

pięć hektarów, oddzielonych od świata drutem kolczastym.

Siedemnaście komór

Zbudowali go Rosjanie w końcu XIX w. W rekordowym tempie i według najnowszych trendów ówczesnej sztuki stawiania umocnień fortecznych.

Po 1918 r., w wolnej Polsce, służył jako skład amunicji dla Twierdzy Modlin, która nadal pełniła funkcję militarną. Na mapie z 1936 r. zaznaczono cztery dziedzińce, suchą fosę, przebieg ceglanego

muru ze strzelnicami (zwanego „murem Carnota”) i podwójne zasieki. Budynki Fortu III wiąże linia kolejki wąskotorowej. Gdyby wagony z amunicją ustawić jeden za drugim, zmieściłoby się ich 222.

W kampanii wrześniowej 1939 r. Fortu III bronił 36. Pułk Piechoty Legii Akademickiej. Podobno przed pierwszym szturmem Niemcy kąpali się w pobliskiej Wkrze. Podobno szli jak na wesele, pewni swojej przewagi. Ale Fort poddał się dopiero po dwóch tygodniach walk, po kapitulacji Warszawy.

– Od jesieni 1939 r. Pomiechówek należy do tzw. Rejencji Ciechanowskiej, wcielo-nej do III Rzeszy. Taki obiekt wojskowy, położony przy granicy z Generalnym Gubernatorstwem, to idealne miejsce na więzienie – tłumaczy Piotr Oleńczak. – Dla złapanych na szmuglu. Dla tych, którzy nie wywiązują się z obowiązkowych dostaw. Dla duchowieństwa, inteligencji, rolników. I na obóz przejściowy dla ludzi wysiedlanych z własnych gospodarstw, które przejmują niemieccy osadnicy.

Idziemy gęsiego, inaczej trudno. Ścieżka prowadzi przez chaszczkę i łagodne wzniesienia, pod długi budynek z czerwonej cegły. To koszary szyjowe Fortu. Rząd zasypanych ziemią 17 komór. Każda ma 80 m², wygięte w łuk sklepienie i betonową posadzkę. Żadna nie ma okna.

– To były więzienne cele – mówi przewodnik. – Bez światła, bez ogrzewania. Z garścią zawsoniej słomy za posłanie. Z wiadrem na ekskrementy. Wyobraźmy to sobie: głód, zaduch, krzyk dzieci. I ściany czarne od napisów.

Po wojnie nazwiska, daty, nazwy miejscowości zniknęły pod warstwą wapna. Zostały tylko te wydrapane, wyryte w tynku.

Wyjątkowo ciężka katownia

Wiosną 1941 r. Niemcy zwalniali część kobiet z dziećmi, zaś resztę więźniów Fortu III wywożą na roboty przymusowe. Erich Koch – udziałowy władca Prus Wschodnich (w roli gauleitera, tj. szefa NSDAP, a potem także szefa struktur administracyjnych), do których włączono także Regierungsbezirk Zichenau (Rejencję Ciechanów) – zarządza akcją wyłapania Żydów bez dokumentów meldunkowych. Na sześć tygodni cele Fortu w Pomiechówku zapelniają się tysiącami ludzi z pobliskich gett i miasteczek.

W Żydowskim Instytucie Historycznym spoczywa dziś Archiwum Ringelbluma: dokumentacja gehenny Żydów, zbierana przez konspiracyjną organizację Oneg Szabat w warszawskim getcie. Kilka tysięcy dokumentów, kilkadziesiąt tysięcy stron.

W tomie 13. są relacje z Pomiechówka.

„Niemcy byli pijani, chodzili po celach i wybierali najładniejsze dziewczyny, zabierali je ze sobą i gwałcili”.

„Ludzie stali się zwierzętami, jeden wyrzywał drugiemu z tak wielkim trudem zdobytą wodę”.



Obóz w Fortcie III: więźniowie i niemieccy strażnicy, lata 1943-1944.

„Pierwszego dnia podano trzem położnikom jeden pieczony kartofel”.

„Cztery kobiety, których nazwisk nie pamiętam, zostały rozstrzelane. W tym dwie obłąkane, zwariowały z głodu”.

To świadectwa ludzi, którzy latem 1941 r. zostaną zapakowani na furmanki, dowiezieni do szlabanu w Skierdach i przegnani z III Rzeszy do Generalnego Gubernatorstwa. Którzy dotrą do Warszawy. Którzy zginą trochę później, w warszawskim getcie, a może w obozie zagłady w Treblince. Wcześniej zdążą złożyć swoje relacje dokumentalistom z podziemnego zespołu Ringelbluma.

W 1943 r. Fort III przejmują Gestapo. Tajna policja organizuje obóz karno-śledczy dla północnego Mazowsza. Przede wszystkim dla członków Polskiego Państwa Podziemnego: żołnierzy AK, a także dla konspiratorów z NSZ oraz komunistów z PPR.

– To była wyjątkowo ciężka katownia – mówi Piotr Oleńczak. – Zeznania wymuszano torturami, głodem, szczując psami. Więźniowie, którzy trafili stąd do Auschwitz, Stutthofu czy Mauthausen i przeżyli wojnę, potwierdzają: Fort III był najgorszy. Najgorsze wyżywienie, najgorsze warunki sanitarne, najgorsi oprawcy.

Niemiecką załogę Fortu III stanowiło kilkunastu funkcjonariuszy Gestapo i SS. Do obsługi administracyjnej i na strażników zatrudniali ludzi z okolicy, często volksdeutschów i kolonistów niemieckich. Sąsiadów.

Nazwiska oprawców są znane. Ustalone przez Komisję do Badań Zbrodni

Hitlerowskich, podane w publikacjach Marka T. Frankowskiego. Część uciekła po wojnie do Niemiec Zachodnich, część wyjechała na tzw. ziemie odzyskane, część przejął Urząd Bezpieczeństwa, czyniąc z nich swoją agenturę.

Nikt nigdy nie został ukarany.

Historia pewnej ucieczki

Mój dyktafon zarejestrował strzępki rozmów odbijających się o ściany lochów. I tę wymianę zdań.

– Uciekli przez komin! – starszy pan powtarza to po raz kolejny. – Siedemnastu więźniów skazanych na śmierć. W nocy, z 13 na 14 października czterdziestego trzeciego. Nie udało się dwóm. Ale reszta uciekła przez koronę wału. Matki mojej brat rodzony, Wójcik Teofil, uciekł. Przez Wkrę się przeprawiali.

Piotr Oleńczak nie daje wiary: – A psy? – pyta.

– Psy mordy tylko otworzyły. Siedziały. Siła wyższa, nawet nie szczekały. Może ich poznały? Niemcy gospodarzom z wiosek psy zabierali.

Przewodnik: – Założmy, że psy ich puściły, ale jest mur. A dalej fosa. I kraty forteczna, i drut kolczasty. A nawet jeśli uciekli, to wyszli na odkrytą przestrzeń. Gdzie się mogli schować?

Starszy mężczyzna upiera się przy swojej historii: – On był w AK. Załatwili mu papiery, przez Narew przeprowadzili. Do brata. Jeszcze łańcuchy na rękach miał. Jak babcia się dowiedziała, że syn przeżył, to ubrania przyniosła.



*Prowizoryczny krzyż
na grobach pomordowa-
nych. Fort III,
prawy dziedziniec,
1945 r.*



*Uroczysty ponowny
pochówek szczątków
ofiar niemieckich zbrodni
na terenie Fortu III
w Pomiechówku,
odnalezionych przez IPN
podczas prac
ekshumacyjnych,
15 grudnia 2018 r.*

→ – Nigdzie nie ma relacji o tej ucieczce...
– oponuje historyk.

– Każdy poszedł w swoją stronę. Ale Niemcy jednego Żyda pod Płońskiem złałali. Wyśpiewał, gdzie się ukrywali. Że jakaś kobieta pod Lelewem w lesie dała mleka, że ubrania przynieśli. Gestapo przyjechało. Moja babcia wtedy zginęła i ta kobieta niewinna.

Ruszymy dalej ciemnym tunelem.

Dużo później dowiem się, że w naszej grupie jest Dorota Grzechocińska z IPN, która zbada sprawę i potwierdzi tę ucieczkę w dokumentach źródłowych z ciechanowskiego Gestapo.

Warstwa ludzi, warstwa drewna

Nie pamiętam kolejności, jest bez znaczenia. Ale Piotr Oleńczak pokaże nam załom muru posiekany kulami („Tu pewnie wykonywali wyroki”). I żelazne kółka wmurowane w narożnikach cel („Do tortury na stojkę. Wiązali w przegubach ręce złożone na plecach. Podciągali człowieka tak, że stopy nie dotykały ziemi. Ludzie z bólu tracili przytomność, zrywały się ścięgnię ramion”).

Pójdziemy na „górkę”, na której stała długa na 19 metrów szubienica („Jednocześnie wieszali po dwudziestu”). Przejdziemy przez cmentarzysko, polanę z masowymi grobami. I sad pełen jeszcze czerwonych jabłek. Zobaczmy dół, w którym znaleziono kości psów zabitych podczas ostatniej egzekucji.

– Jest 30 lipca 1944 r. – opowiada Piotr Oleńczak. – Niemcy wiedzą, że w Warszawie łada chwila wybuchnie powstanie. Robią w Forcie III miejsce. Każą więźniom wykopać doły, a potem ich mordują. 284 osoby. Na końcu zabijają psy. Dzień jest upalny, więc chłodzą ręce w wiadrze z wodą.

Jesienią w Forcie III pracuje brygada do palenia zwłok. Wydobyte z dołów ciała układane są na specjalnym ruszcie. Warstwa ludzi. Warstwa drewna. Warstwa ludzi. Warstwa drewna. Polewane benzyną. Popioły wywożone są do fosy.

Przewodnik prowadzi nas na wał. Gdyby nie drzewa i krzaki, zobaczylibyśmy dolinę Wkry, kościół i cmentarz w Pomiechowie. I Pomiechówek, jak na dłoni.

Potem, a może przedtem, w podziemnym lochu, świecąc telefonami, czytamy wiadomość zostawioną na ścianie 73 lata temu. Nazwiska siedmiu więźniów z Wołomina i napis: „Idziemy do Nowego Miasta i dalej. Grudzień. Styczeń. Czołem”.

– Jest przełom 1944 i 1945 roku, zbliża się front. Niemcy likwidują Fort III przed wkroczeniem Rosjan – wyjaśnia Piotr Oleńczak. – Ci mężczyźni to ostatnie komando, przeznaczone do zatarcia śladów.

Poznałam kurtkę w kratę

Ilu więźniów przeszło przez Fort III?

W stenogramie z procesu Ericha Kocha (w 1959 r. został skazany na karę śmierci, ale wyroku nigdy nie wykonano; Koch umarł w 1986 r. ze starości w więzieniu w Barczewie) pada liczba stu tysięcy. Ale dalej Koch prostuje, że to liczba więźniów w całej Rejencji Ciechanowskiej.

– Raczej trzydzieści tysięcy – uważa Piotr Oleńczak. – Pomiechówek to był obóz przejściowy, rotacyjny. Tu prowadzono śledztwo, tu ludzie czekali na wyrok, tu ich mordowano albo wywożono do innych obozów. Niemcy byli skrupulatni, na pewno prowadzili inwentaryzację. Jednak wszelkie papiery zniszczyli. A może zabrali ze sobą.

Ale nawet bez dokumentów z samego Fortu III wiadomo o nim sporo. Poza Archiwum Ringelbluma zachowały się też wykazy egzekucji tzw. specjalnego traktowania, czyli bez wyroku sądowego. Szef Gestapo zalecał, żeby przeprowadzać je w „ustronnym miejscu”.

Dla północnego Mazowsza ustronnym miejscem był Fort III w Pomiechówku. Takich zbiorowych egzekucji przeprowadzono tu kilkadziesiąt, w niektórych ginęło ponad sto osób jednocześnie. W aktach Gestapo Rejencji Ciechanowskiej zachowały się też dokumenty ze śledztw prowadzonych przez niemiecki sąd w Ciechanowie. Wyroki i protokoły wykonania wyroków na terenie Fortu III.

No i mamy też relacje z powojennych ekshumacji.

„Jak nastali Rosjanie, otworzyli groby w Pomiechówku. Miałam tylko 16 lat, ale byłam mocna, a mama słabego zdrowia. Dlatego to ja poszłam ojca odnaleźć w tych grobach. Mama dała mi pół chleba i poszłam na piechotę. Ludzie się litowali nade mną, że taka młoda dziewczyna w takim strasznym miejscu. Ksiądz dał mi bułkę, ludzie nocleg. Widać mnie na tym starym zdjęciu z Pomiechówka.

W fortach rzędami leżeli zabici. Na końcu niemieckie psy. Zapach był niemożliwy, trzeba było mieć chustki na twarzy, taki smród. Nie mogłam odnaleźć ojca. Chodziłam co tydzień na kilka dni. Wreszcie znalazłam. Poznałam kurtkę w kratę, przytłuczony w fabryce palec i portki szyte z worka. Twarzy nie można już było rozpoznać”.

To wspomnienie Wandy Pankiewicz z Wilkowa Polskiego. Na zdjęciu widać jej długie warkoczki. To jedna z 15 fotografii, spiętych w album, z pieczętką „Foto-Tol Modlin”. Na kolejnych tłumy obserwujące ekshumacje. Głowa przy głowie, jak na stadionie. I trumny z surowego drewna, z którymi ludzie przyjeżdżali po swoich bliskich. I Niemcy zapędzeni do wykopywania zwłok.

Ekshumacje w 1945 r. przerwano z obawy przed zarazą. Kolejne – w 1946 i 1948 r. – prowadził Polski Czerwony Krzyż. Na 192 arkuszach papieru w kratkę, długopisem przy linijce wykreślono rubryki. W ostatniej notowano to, co mogło się przydać do rozpoznania zwłok.

„Czaszka rozbita”, „Czaszka strzaskana”, „Brak głowy”...

Te wpisy powtarzają się często. Są też bardziej szczegółowe: „Pulower ciemny. Ścieg: 2 prawe, dwa lewe”. Albo: „J. blondynka. Górna całkowita. W dolnej brak z prawej 2-3 trzonowego. Swetr niebieski angorowy. Korki wiśniowe”.

To Janina Karłowicz z Pułtuska. Łączniczka Armii Krajowej, pseudonim „Amicis”. Zginęła w zbiorowej egzekucji. Przedtem jej śledztwo trwało trzy tygodnie.

Zapomniane, przypomniane

W 1948 r. Fort przejmuje komunistyczne Ludowe Wojsko Polskie. Teren otacza potrójnym płotem z drutu kolczastego. W ekipie zakładającej te tzw. walcie Bruna jest elektryk Zbigniew Gerwatowski. Wiele lat później, w rozmowie z Piotrem Oleńczakiem, powie: „Pracowaliśmy przez całe lato czterdziestego dziewiątego. Widziałem ten karcer. Widziałem obroź, kajdany, haki”. Zasięki, które wtedy zakładał, do dziś otaczają Fort.

Teraz ochroniarz zamyka już bramę. Trudno się uspokoić. Trudno wsiąść w samochód, jechać do domu na obiad. Jeszcze chcemy zostać. Jeszcze rozmawiamy. Mieszają się głosy:

– Agencja [Mienia Wojskowego] chciała to sprzedać. Ale nie mogą.

Położony na terenie wcielonym do III Rzeszy – tzw. Rejencji Ciechanowskiej – i zaraz przy granicy Generalnego Gubernatorstwa, **Fort III Pomiechówek idealnie nadawał się na niemieckie więzienie rotacyjne.**

– Gmina nie chce tego brać. To miejscowość letniskowa. Rozumiecie: Wkra, turyści, kajaki. A tu obóz koncentracyjny... Wizerunkowo nie pasuje. Burzy wizję. A poza tym: jak to zaksiegować?

– Może na muzeum przekazać? Za zło-tówkę?

– Kto to utrzyma? Jak to utrzymać?

– A z Tel Awiwem jakby pogadać?

– To miejsce pamięci narodowej, niemożliwe, żeby na tym zarabiać. To musi być państwowe.

– Chyba niepamięci narodowej!

– Ale jakby prywatny to przejął...

– Podobno chcieli tu postawić schronisko młodzieżowe.

– Na cmentarzu?!

– Był ciekawy pomysł komercyjny: linia kolejowa. Zarabiałoby się na Forcie i całym Modlinie. Ale tory rozkradziono po drodze. Człowiek, który ma pieniądze, nadal jest zainteresowany. Nawet lokomotywę ma i wagony...

– Koncepcja druga gminy: cmentarz parafialny.

– Ale to się zmarłych miesza!

– Ziemia chociaż byłaby poświęcona...

– To miejsce jest celowo zapomniane.

Wyparte. Chociaż dobrze opisane.

– Lepiej prawdy do końca nie pisać, lepiej bez nazwisk. Przecież nadal mieszkają tu te rodziny.

– Ale prawda taka była...

Postscriptum (chwilowe)

Prawdy od lat szukają pasjonaci, rodziny więźniów, historycy. Od ponad roku istnieje Fundacja Fort III Pomiechówek (www.forttrzcipomiechowek.org).

Po 70 latach bierności od kilku miesięcy angażuje się także państwo polskie. Prace w Forcie III prowadzi IPN. W zbiorowych mogiłach archeolodzy znaleźli jak dotąd szczątki kilkudziesięciu osób. W tym ludzi zabitych „metodą katyńską”: ręce skrupowane drutem, strzał w tył głowy.

Z komunikatu IPN: „15 grudnia 2018 r. na terenie Fortu III w Pomiechówku odbył się uroczysty pochówek szczątków ofiar niemieckich zbrodni, ekshumowanych na terenie fortu w czasie pierwszego etapu prac archeologicznych prowadzonych w tym roku przez Biuro Upamiętnienia Walk i Męczeństwa IPN. W dniu dzisiejszym pochowano szczątki szesnastu mężczyzn, dziesięciu kobiet oraz szczątki poekshumacyjne należące do co najmniej kolejnych 31 osób”.

Dalsze poszukiwania ofiar IPN planuje na lata 2019-20. Jak zaznacza w swoim komunikacie: „co najmniej”.

© ELŻBIETA STRZAŁKOWSKA

ś.†P.

Anna Schoen

z domu von Taube

żołnierz AK pseudonim „Hanka”,
uczestniczka Powstania Warszawskiego,
odznaczona Krzyżem Polonia Restituta.

Zmarła przeżywszy 92 lata w dniu 26 czerwca 2018 roku.

Msza Święta za jej duszę będzie odprawiona 26 stycznia 2019 roku, o godz. 19.00,
w kościele oo. Karmelitów w Krakowie przy ul. Karmelickiej 19.

O czym zawiadamiają

MAŁŻ, CÓRKA I SYNOWIE Z RODZINAMI



W Indonezji: modliszka, siedząca na gałązce winorośli, zaczyna właśnie lunch.

WOJNY GENÓW

Cząsteczka DNA odpowiada nie tylko za informację genetyczną organizmu. Lepka i śmiertelna, bywa wykorzystywana jako broń podczas starcia z patogenami.

MARIUSZ GOGÓŁ

KTÓŻ NIE SŁYSZAŁ O DNA. TA HELIKALNA cząsteczka, która niesie informację genetyczną, jest jak biochemiczna książka kucharska. Obecna w większości komórek organizmów żywych, zawiera przepisy, które mówią o tym, jak mają wyglądać białka – cząsteczki budujące wszystko, co żywe, i regulujące wiele życiowych procesów.

Niewiele osób zdaje sobie sprawę, że DNA może znaleźć się poza komórką i również tam pełnić specjalne funkcje. Tak dzieje się podczas infekcji naszego organizmu przez bakterie. Wówczas materiał genetyczny staje się bronią, która wytaczana jest na fronty walki przez obie strony konfliktu – zarówno nasze ciało, jak i patogenne mikroorganizmy.

Na polu bitwy

Przyzwyczailiśmy się do tego, że materiał genetyczny znajduje się w jądrze komórkowym. Może być ono okrągłe, owalne albo wyglądać jak krótki sznurek koralików. Ostatni kształt obserwujemy u komórek odpornościowych zwanych neutrofilami. Te niewielkie, około 10-mikrometrowe komórki (to jedna setna mili-

metra) należą do pierwszej linii obrony w walce z bakteriami i mikroskopijnymi grzybami, którym udało się przedrzeć przez bariery chroniące nasz organizm. Czyli np. skórę, która, jak wiadomo, czasem może zostać zraniona.

DNA, kryjące się w jądrze komórkowym neutrofilu, jest nawinięte na rdzeń zbudowany z białek – histonów. Tak samo jest w przypadku każdej innej komórki naszego organizmu. Dzięki temu komplet cząsteczek DNA, które mają w sumie ok. 2 m długości, można upakować w niewielkiej przestrzeni jądra komórkowego. U bakterii wygląda to nieco inaczej. Główna część materiału genetycznego leży w przestrzeni nieosłoniętej jądrem, zwanej nukleoidem. Ich cząsteczka DNA jest również zwinięta, ale nieco luźniej, bo w kilkadziesiąt pętli.

Gdybyśmy dodali do wyizolowanych z krwi neutrofilu bakterię i spojrzeli przez mikroskop, moglibyśmy zobaczyć, że kontaktujące się z patogenem komórki odpornościowe zachowują się inaczej niż wtedy, gdy pływają w próbówce same. Po pewnym czasie otacza je coś na kształt chmury złożonej z cząsteczek DNA, która przy poruszeniu szkiełkiem mikroskopowym rozciąga się w długie pasma. Z kolei hoduując bakterię z ludzką tkanką, np. nabłonkiem, zobaczylibyśmy, że mikroorganizmy kładą się na jej powierzchni. W przestrzeniach pomiędzy ich warstwami także rozpoznalibyśmy rozsiane cząsteczki materiału genetycznego.

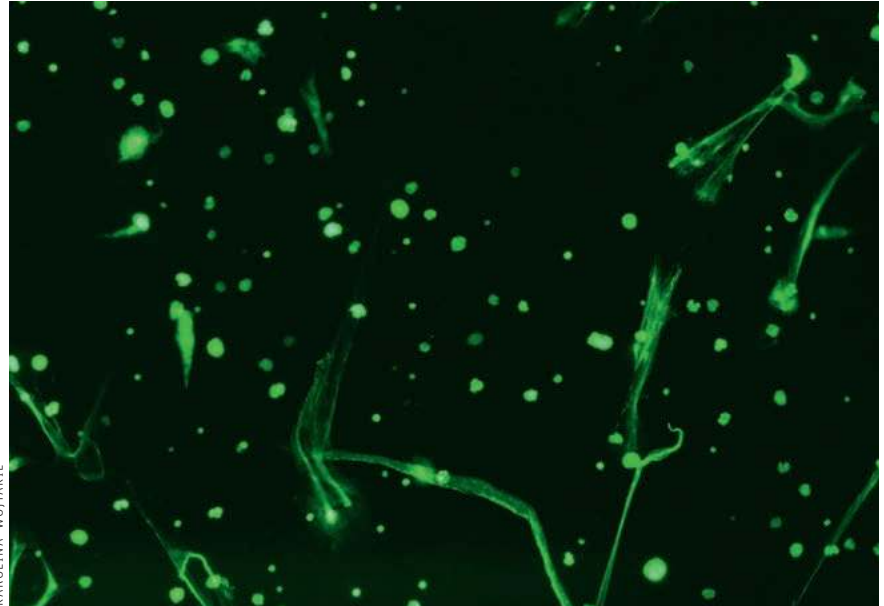
W obu przypadkach można pomyśleć, że to nic dziwnego. Przecież neutrofile mogą ginąć na froncie walki, więc to, co znajduje się wewnątrz tych komórek – np. DNA – musi wyciec na zewnątrz. W przypadku bakterii najprawdopodobniej rozumowalibyśmy podobnie, tłumacząc, że nasz nabłonek produkuje jakieś substancje zabijające bakterie, które zbliżyły się do niego na niebezpieczną odległość. W zasadzie to prawda, ale istnieje także inny mechanizm tłumaczący pojawienie się DNA na zewnątrz neutrofilu i bakterii.

Bratobójczy ogień

Rozpatrzmy pierwszą sytuację. Komórki odpornościowe w kontakcie z bakteriami mogą ginąć także celowo. Ta śmierć nie idzie na marne, ponieważ dzięki niej neutrofile chronią życie organizmu jako całości. Istotną rolę w walce o nasze zdrowie odgrywa właśnie DNA, które w momencie zagrożenia pojawia się na ze-

wnątrz komórki. Gdy neutrofil zwęszy bakterie, otoczka jego jądra komórkowego rozpada się, a cały materiał genetyczny miesza się z różnymi cząsteczkami, które mają zdolność do zabijania intruzów. Cząsteczka DNA staje się dla nich rusztowaniem. Następnie całość zostaje wyrzucona

tkanki jako obce. Przez tę nieumyślną pomyłkę rozpoczynają wymierzony w nas atak. Jednym z winowajców są opisywane wcześniej neutrofile. Komórki te reagują wówczas tak, jakby cały czas zagrażało nam niebezpieczeństwo – wyrzucają sieci, chcąc powstrzymać domniemanego



KAROLINA WOJTKIL

Neutrofile wyrzucają sieci z DNA, które się rozciągają po poruszeniu preparatem.

na zewnątrz w postaci sieci. W takiej pułapce udekorowanej biochemicznymi bombami, łapanie i zabijanie są mikroorganizmami.

Również samo DNA ma zdolność do zabijania patogenów. Jego długie cząsteczki mogą oddziaływać z powierzchnią mikroba i prowadzić do jej zniszczenia. Ponadto DNA także koordynuje działanie zabójczych cząsteczek. Np. wiąże się z mikrobójczą molekułą znaną jako LL-37, transportowaną do wnętrza komórek odpornościowych, którym udało się połączyć bakterię. Tam DNA odłącza się od śmiercionośnej cząsteczki, która pomaga w zabijaniu zjedzonego mikroba.

Jak każda, nawet precyzyjna broń, DNA może zawieść. Dzieje się tak w przypadku chorób autoimmunologicznych, takich jak toczeń rumieniowaty układowy. Jest to jedno ze schorzeń tkanki łącznej, podczas którego dochodzi do niszczenia wielu tkanek i narządów. W przypadku uszkodzenia najważniejszych może nawet zagrażać życiu. U chorych komórki odpornościowe, które czatują na pojawiające się zagrożenia, błędnie rozpoznają nasze

intruza. Ponieważ nasz organizm nie jest w stanie ich szybko posprzątać, obecność takich „śmieci” zaczyna bardzo przeszkadzać. Porozrzucane DNA rozpoznawane jest jako cząsteczka obca, co powoduje nadciąganie kolejnych posiłków komórek odpornościowych i dalszy rozwój zapalenia.

Altruizm bakterii

Przyjrzyjmy się, jak sprawa wygląda u mikroorganizmów. Ich komórki zazwyczaj nie żyją jako pojedyncze, pływające indywidua. Najczęściej akumulują się na różnych powierzchniach, tworząc tzw. biofilm. Takie struktury mogą być tworzone na powierzchni tkanek, jak w przypadku bakterii *Mycobacterium tuberculosis*, która powoduje gruźlicę, czy też *Streptococcus mutans*, odpowiedzialnej za tworzenie płytki nazębnej. Biofilm jest skomplikowaną architektonicznie strukturą, w której budujące ją komórki mikroba pozlepiane są przez cząsteczki, które same produkują. Bakterie zadają sobie trud wznoszenia takiej budowli z prostego powodu. Dzięki niej mają większe szanse na przetrwanie. Biofilm daje dobrą



→ ochronę przed różnymi stresami trapiącymi mikroorganizmy. Całkiem dobrze chroni bakterie przed atakiem komórek odpornościowych albo stosowanymi w terapii antybiotykami. Jedną z cząsteczek, dzięki której mikroorganizmy osiągają taki sukces obronny, jest również DNA.

Skąd on bierze się na zewnątrz bakterii? Jego obecność, podobnie jak w przypadku neutrofilii, również jest wynikiem celowej śmierci. Część z mikroorganizmów jest w stanie poświęcić swoje życie dla dobra „stada”. Umierające bakterie zostawiają swoje DNA, dzięki czemu pozostała część komórek może go wykorzystać. Staje się fundamentem, na którym budowane są biofilmy. Taki „altruizm” u bakterii nie jest czymś nadzwyczajnym z ewolucyjnego punktu widzenia, ponieważ poszczególne komórki bakteryjne to w dużej mierze swoje własne klony. Na śmierci altruistów korzystają ich bardzo bliscy krewni albo wręcz bliźniacy.

Wiązanie mikroorganizmów do tkanki (np. nabłonka układu pokarmowego) jest wypadkową wielu zdarzeń leżących na pograniczu biochemii i fizyki. Istotną rolę odgrywają w nim zarówno ładunki oddziałujących partnerów, jak i znajdujące się na nich pasujące do siebie cząsteczki. Zewnątrzkomórkowe DNA sprawia, że takie spotkanie zachodzi sprawniej. Z praw fizyki wynika, że mniejsze komórki łatwiej przyczepiają się do powierzchni niż większe. Dlatego też te duże mogą wymagać pomocy, jeśli chcą wydajnie zainfekować tkanki. Ze wsparciem przychodzi właśnie DNA. Materiał genetyczny jest w stanie oblepić mikroba w taki sposób, że rozciąga swoje nici nawet na długość ok. 300 nanometrów od jego powierzchni. To wystarczy, aby pokonać odpychające oddziaływanie między mikroorganizmem a tkanką, które pojawiają się na początku całej operacji.

Mikroorganizmy mogą poświęcić życie dla dobra „stada”.

Umierające bakterie zostawiają swoje DNA, które staje się fundamentem, na jakim budowane są biofilmy.

DNA jest również odpowiedzialne za zlepianie mikrobów między sobą. W ten sposób pomaga w utrzymaniu nienaruszonej struktury biofilmów. Kiedy sztucznie usuniemy cząsteczkę DNA z otoczenia komórek, możliwość tworzenia tych skomplikowanych struktur będzie zahamowana. Gdy dodamy go do próbówki zawierającej bakterie, zobaczymy, że bakterie agregują sprawniej. Co ciekawe: może to być nawet DNA pochodzenia innego niż bakteryjne. Dla mikroorganizmów nie ma to większego znaczenia.

Tarcza z jonów

Komórki żyjące w społeczności biofilmu są także bardziej odporne na działanie antybiotyków niż te, które pływają swobodnie. Można by pomyśleć, że wynika to tylko z nabywania przez bakterie oporności na skutek przekazywania sobie odpowiednich genów między sąsiadującymi komórkami (bakterie potrafią to robić – to tzw. horyzontalny transfer genów). Jednak DNA chroni przed antybiotykami także w sposób inny niż ściśle genetyczny. Ponieważ cząsteczka DNA posiada zdolność do wiązania dodatnio naładowanych jonów, może bezpośrednio chronić biofilm poprzez wiązanie antybiotyków o takim właśnie ładunku. Wykorzystuje to m. in.

Pseudomonas aeruginosa, który jest jedną z najgroźniejszych bakterii powodujących zakażenia wewnątrzszpitalne. Zewnątrzkomórkowe DNA sprawnie wyłapuje antybiotyki z grupy aminoglikozydów, które są w stanie uszkodzić mikroorganizm w taki sposób, że wyciekają z niego cenne składniki odżywcze. To jednak nie wszystko. DNA może chronić komórki bakteryjne w jeszcze bardziej wymyślny sposób. W tym przypadku cząsteczka wiąże nie antybiotyki, ale naładowane dodatnio jony magnezu. Ich niedobór zmusza komórki bakterii do uruchomienia mechanizmów, które maskują pewne, ujemnie naładowane cząsteczki na swojej powierzchni. Dzięki temu lek o ładunku dodatnim z trudem je atakuje.

Jednak w tym przypadku DNA również może zawieść. Kiedy w biofilmie jest go za dużo, może dojść do nadmiernego usuwania jonów magnezu oraz wapnia z powierzchni bakterii, co powoduje rozerwanie i w rezultacie śmierć mikroba.

Mikroskopowy świat skrywa wiele tajemnic, które odkrywane stopniowo zmieniają dawne spojrzenie na znane molekuly. W przypadku DNA okazało się, że ta warunkująca życie cząsteczka może stać się śmiertelnością bronią w walce o przetrwanie. Jak każdy środek obronny, może jednak zawodzić. Niekiedy przez pomyłkę obraca się przeciwko temu, kto go używa. Im więcej dowiemy się na temat tych mechanizmów, tym łatwiej będzie nam wpłynąć na wynik walk toczonych w naszym organizmie. Może nawet ustrzeżemy się błędów.

© MARIUSZ GOGÓL

Autor jest doktorem nauk biologicznych. Pracuje w Instytucie Zootechniki Państwowego Instytutu Badawczego w Balicach. Zajmuje się także popularyzacją nauki. Członek Stowarzyszenia Rzecznicy Nauki.

TP

Kluby „TP” zapraszają

■ GLIWICE

środa, 30 stycznia, godz. 18.00

Spotkanie „Ścieżki rozwojowe miast śląskich w Stuleciu”. Gościem będzie dr hab. Krzysztof Gwosdz. Miejsce: Klub Pracowników Politechniki Śląskiej (ul. Banacha 3).

■ GRUDZIĄDZ

poniedziałek, 28 stycznia, godz. 17.30

Spotkanie „Kościoł szeroko zamknięty”.

Miejsce: Niepubliczna Szkoła Podstawowa nr 1 (ul. Chełmińska 121).

■ LIPSK

środa, 30 stycznia, godz. 16.30

Zwiedzanie wystawy w Zeitgeschichtliches Forum (Grimmaische Straße 6).

WOJCIECH

Bonowicz: Co zrobić?



NIE MOŻNA NIE ZROBIĆ NIC. NIE MOŻNA PO prostu zamilknąć. Zakryć usta dłonią, pochylić głowę, zapalić świeczkę w oknie. Wszystkie te gesty są dobre. Ale niewystarczające.

W sytuacjach, kiedy jakiejś wspólnoty dotyka przemoc, budzi się instynkt samoobrony. To właśnie on podpowiada nam, że „coś zrobić trzeba”. Tak dalej być nie powinno. Tak dalej być nie musi. Ale wspólnota często nie wie, co właściwie trzeba zrobić. Jedni płaczą, inni wskazują winnych, jeszcze inni robią rachunek sumienia. W takich sytuacjach szczególnie przydatne wydaje się słowo „nawrócenie”. Jest to słowo z języka religii; w codziennych kontaktach raczej się nim nie posługujemy. Jeśli widzimy, że ktoś błędzi, mówimy: opamiętaj się, przestań, zawróć póki czas z obranej drogi. Słowo „nawrócenie” obejmuje te wszystkie znaczenia, a jednocześnie coś do nich dodaje. Nawrócenie to zmiana poglądu – to jakby spojrzenie na rzeczywistość nowymi oczami. Ewangelia mówi: umiera stary człowiek, rodzi się nowy. Mówiąc w ten sposób, ma na myśli coś, co dokonuje się we wnętrzu osoby. Stary człowiek patrzył na świat słabnącymi oczami, wiele spraw umykało jego uwadze. Nowy człowiek ma nowe oczy, powinien widzieć wyraźniej, ostrzej. Nowy człowiek to nowy ogląd siebie i świata, i nowy pogląd na to, czego świat – i sam człowiek – potrzebuje.

Napisałem: nie można po prostu zamilknąć. Ale prawdą jest, że na pewnym etapie zamilknięcie jest bardzo potrzebne. To jakby pierwszy krok w stronę nawrócenia. Kiedy człowiek milczy, robi miejsce dla myśli, i o tym właśnie pisał tydzień

temu „Tygodnik”. W milczeniu porządkuje to wszystko, co płynie do niego z zewnątrz. W milczeniu stawia pytania. W milczeniu nasłuchuje, czy w jego wnętrzu nie odezwie się głos, który mu coś podpowie... Myśli łatwiej torują sobie drogę w ciszy, hałas komentarzy raczej sprzyja zagubieniu. Niemniej mnożenie komentarzy także jest czymś naturalnym. Przemoc, zwłaszcza kiedy jest gwałtowna i absurda, uderza – powtórzmy – w całą wspólnotę. Wspólnota cierpi i musi to cierpienie wypowiedzieć (nawet ze złością), a jednocześnie próbuje jakoś uratować nadzieję, bez której się rozpadnie. Dopiero potem robi ewentualnie miejsce na inne myśli i inne uczucia.

Odkrywamy w tych dniach po raz kolejny wagę słowa. „Słowo jest ważniejsze od krwi”, pisał Franz Rosenzweig. Po doświadczeniach XX wieku nauczyliśmy się, że konflikty powinno się rozwiązywać słowem, nie krwią. Niech ludzie mówią, co chcą, byle się nie zabijali. Niemniej wiemy także, że to słowo przygotowywało i usprawiedliwiała najcięższe zbrodnie. Konieczna jest więc korekta: niech mówią, co chcą, byle nie kłamali i nie grozili. Czujemy, że słowu trzeba zakreślić jakieś granice. Jednak granice te są nieostre. Wolność słowa jest przecież wielką wartością. Czy jesteśmy w stanie pozbyć się z przestrzeni publicznej „złych” słów i „złych” gestów?

Zawodzą, niestety, wszelkie „miękkie” próby kontroli. W chwilach, kiedy dotyka nas przemoc, mamy ochotę poprzeć „twardsze” rozwiązania. Nawrócenie pozwala zobaczyć, że między tym, co „miękkie”, i tym, co „twarde”, rozciąga się cała sfera możliwości, z których możemy korzystać. Może trzeba powołać fundację, która będzie występować w obronie języka debaty publicznej? Która będzie potrafiła skutecznie występować w sądach przeciwko słownej agresji? Musiałaby to być fundacja społeczna, nieuwikłana politycznie. Czy to możliwe?

Kiedy słyszę, że nic się nie da zrobić i że wszystko będzie po staremu, myślę o tych, którzy nie bali się „nawrócić” najpierw siebie, a potem innych. Gdyby nie tacy „nawróceni”, historia byłaby jeszcze gorsza. Być może nawet nie miałby jej kto napisać. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PREMIERA

NAUKA W KUCHNI

czyli książka dla głodnych... wiedzy – już w sprzedaży!

Kiedy ludzie zaczęli gotować?

Jak wygląda gluten?

Czy da się wyhodować sałatę w kosmosie?

Skąd się biorą aromaty w winie?

Michał Kuźmiński, zastępca redaktora naczelnego „TP” i wieloletni szef działu Nauka, szuka odpowiedzi na te i inne nurtujące Was pytania w pierwszej swojej popularnonaukowej książce.

Szukajcie w dobrych księgarniach i na powszech.net/naukawkuchni



Poleca

TYGODNIK
POWSZECHNY

NIEDOBRZE, PANIE BOBRZE

Żaden inny pisarz na świecie nie wywołuje dziś wydawniczej synergii.

Najnowsza powieść Michela Houellebecqa

wyszła w kilku językach naraz.

We Francji sprzedano 400 tys. egzemplarzy w dwa tygodnie.

MAREK BIEŃCZYK

WYDANIE „SEROTONINY” ZBIEGŁO SIĘ Z NIEDAWNYM i na tyle dyskretnym, by stał się w mediach głośny, ślubem pisarza oraz weselem, na którym Paweł Pawlikowski odśpiewał po mistrzowsku piosenkę Joe Dassina „Et si tu n'existais pas”.

„Wiedziałeś o tym?” – spytała moja hiszpańska przyjaciółka, która jeszcze przed ukazaniem się książki zdążyła napisać do madryckiego dziennika recenzję. Nie, nic nie wiedziałem o gościach weselnych i ich występach, natomiast wiedziałem, o czym może być „Serotonina”. To żadna sztuka; wiedzieli też liczni i wierni czytelnicy: o tym, że tkwimy po uszy w czarnej dziurze i wyjścia nie widać. Tego chcieli i do tego byli przyzwyczajeni. Od pierwszej książki Houellebecq snuje opowieść o zachodniej degrengoladzie, o upadku Europy. Jedyną otwartą kwestią – bo tego, że w obfitych scenach erotycznych seks oralny i analny jak zawsze zdecydowanie przeważa nad pozycją „klasyczną” lub nawet całkowicie ją wyprze, trzeba było się spodziewać – pozostawał podstawowy cel ataku: która strona upadku zostanie mocniej oświetlona? Co teraz w beznadziejnym trwaniu konającego społeczeństwa liberalnego pójdzie pierwsze pod nóż, to znaczy pod pióró?

Tym razem ostrze wbija się najmocniej w samo zjawisko globalizacji i w bankowo-korporacyjno-biurokratyczny konglomerat, kojarzony najczęściej z jednym słowem: „Bruksela”. Największą uwagę ze społecznego punktu widzenia poświęca autor w „Serotoninie” problemom rolnictwa dotkniętego z jednej strony reglamentacjami UE, a z drugiej niepowstrzymanym napływem produktów rolnych z całego

świata, w wyniku czego rodzima produkcja, w tym przypadku mleka – akcja powieści dzieje się w dużej części w zielonej Normandii – przestaje być opłacalna i doprowadza do bankructwa małe, rodzinne gospodarstwa. Padają słowa o protekcjonizmie, ochronie cen.

Polski czytelnik dosłucha się w „Serotoninie” nieco znajomych ech powieści chłopskiej, takiej „Placówki” Prusa, albo produkcyjniaka. Normandzki rolnik mógł pracować w koncernie Danone’a, dostał propozycję, lecz – wzdycha i wraz z nim wzdycha Florent-Claude Labrouste, urzędnik ds. rolnictwa, główny bohater i narrator – wybrał obronę ziemi, tej ziemi dziedziczonej z dziada pradziada.

Ma rację. Ale u Houellebecqa nikt tak jeszcze elegijnie i miękko nie wzdychał. Dochodzi do starć z policją, są ofiary. Krytycy łączą w recenzjach te sceny z manifestacjami „żółtych kamizelek” i mówią o profetycznym darze Houellebecqa. Chyba za szybko; rolniczych, nieraz gwałtownych manifestacji Francja przeżyła już sporo i już je opisywano; ruch kamizelek opiera się przede wszystkim na mało- i średniomiatczkowej klasie średniej i jest, by tak rzec, buntem uogólnionym i kompletnie niesprecyzowanym. Wykrzykuje w nos władzy raczej Melville’owskie „Wolałbym nie”, niż wypowiada konkretne postulaty; symbolizuje swoje nieokreślone rewolucyjne nastroje hasłem „Macron dymisja”, za którym stoi pragnienie dymisji całego systemu, i przez to – choć poczucie doznawanej przez lata pogardy jest podobne do opisanej w książce – wytwarza zupełnie nową sytuację polityczną.



Misja zawodowej płaczki

Problem – przynajmniej mój problem – z ostatnią książką Houellebecqa polega na tym, że świadomość społeczna prześcignęła już jego literaturę. O ile we wcześniejszych powieściach, zwłaszcza w debiutanskim „Poszerzeniu pola walki”, czy też bardzo dobrej „Mapie i terytorium”, jego rozpoznania i diagnozy podawane były świeżym, odkrywczym językiem, o tyle „Serotonina” w warstwie analitycznej może tylko powtarzać to, co socjologowie, ekonomiści i filozofowie zdążyli dokładnie wypowiedzieć (a Guy Debord i sytuacjoniści pół wieku temu przewidzieć) od chwili kryzysu w roku 2008, a już zwłaszcza od chwili wyboru Trumpa i rosnących w Europie sukcesów prawicy i (rzadziej) lewicy zwanych populistycznymi.

Podobnie jak w polityce, tak w interpretacjach światowej sytuacji nastąpiło nowe przyspieszenie czy też gwałtowny zwrot, w wyniku którego podstawowe stwierdzenia na temat zapaści modelu europejskiego i społecznej niewydolności liberalizmu, wybuchowego doznania poniżenia i reaktywnej nienawiści, należą już do wiedzy masowej, uproszczonej. A poczucie nadchodzącego kresu, wzmożone o radykalne doznanie zagrożenia z powodu przemian klimatycznych, wznieca nastroje coraz bardziej apokaliptyczne. *Collapsionnistes*, jak z angielska określa się we Francji teoretyków nadchodzącej totalnej zapaści klimatycznej, społecznej i ekonomicznej, piszą książkę za książką, apel za apelem, i w tym kontekście diagnoza Houellebecqa, że nie jest dobrze, wybrzmiewa bardziej w powszechnym chórze niż jako indywidualny głos artysty.

Co nie znaczy, że pisarz rezygnuje ze swej własnej podstawowej, w obliczu nowych wypadków już nieco ogramnej i postarzałej diagnozy, stanowiącej jego *spécialité de la maison*. To znaczy z przekonania, że społeczeństwo zachodnie cierpi na uwiad pożądania, „zanik okcydentalnego libido”. Co musi prowadzić do ostatecznego wycieńczenia, nie tylko z powodu słabnącej prokreacji, lecz przede wszystkim z powodu wyczerpania się sił witalnych. Bez seksualnego wigoru wszystko w społeczeństwie gaśnie; życie zachodnie to już tylko życie po życiu; Bruksela i stojące za nią procesy biurokratyczne i globalizacyjne odgrywają w istocie rolę kastrującą.

→ Nowy bohater Houellebecq, jak tyłu poprzednich, w wieku lat 40 wpada w stan ciężkiej depresji, zrywa ze wszystkim, przeprowadza się do hotelu, ucieka od świata, pije ostro i kończy z seksem, a wkrótce ma skończyć ze sobą. Nie wynika to z przemyślanego postanowienia, tak chce narzucająca się oczywistość ciała, które na nic ekscytującego nie ma już ochoty. Na szczęście dla czytelnika Florent-Claude ma dużo erotycznych wspomnień i skwapliwie się nimi dzieli.

Bohater Houellebecq ma być *pars pro toto* całej Francji, a Francja *pars pro toto* całego Zachodu; wraz z odejściem prawdziwego libido kończą się relacje międzyludzkie, wszystko jest pozamiatane. Wyniki badań hormonalnych czterdziestolatka okazują się zatrważające. Dlatego uważa on za niemal świętego swego psychiatrę, który pojął przenikliwie, że najlepszym rozwiązaniem dla Florenta-Claude'a (i za nim dla całego społeczeństwa) byłyby szybka śmierć lub samobójstwo. Ale że jest lekarzem, daje mu listę zaufanych prostytutek, z którymi obcowanie mogłoby przedłużyć jeszcze wegetację. Wydaje się zresztą, że i w tej powieści – podobnie jak w innych powieściach Houellebecq – wegetują wszyscy; każde istnienie okazuje się klęską. Tylko młode, wyzywające dziewczyny, które wysiadują w „Serotoninie” po paryskich kawiarniach w oczekiwaniu na podryw, uczciwie wykonują obowiązek erotyzacji życia.

Znamy już tę pieśń, od samego Houellebecq przede wszystkim, ale też innych, od Jeana Baudrillarda choćby, opisującego niegdyś „świat po orgii”. A jest to w istocie świat przedstawiony Houellebecq, w którym wyzwolenie seksualne doprowadziło do zniszczenia tego, co zostało wyzwolone, do zaniku pragnienia, do uczuciowej i genitalnej bierności, i do egoizmu, który zniszczył tkankę społeczną.

To, że pisarz od pierwszej powieści ciosa ten sam kołek, wypełnia misję zawodowej płaczki, nie może być samo w sobie zarzutem; pisarze jednego tematu w niczym nie są gorsi od pisarzy wielotematycznych, a piszący pesymiści zawsze wydają się inteligentniejsi od optymistów. Houellebecqowi udało się zawrzeć trwałą umowę z czytelnikiem: wkładał palec w centrum świata, w sam środek najważniejszego, mam na to autorytet. Mówię wam, jak jest, a jest niedobrze, jest źle, bardzo źle, a wkrótce będzie jeszcze gorzej, chyba się zgodzicie.

Tyle że pesymizm Houellebecq traci już intelektualną przebojowość, staje się socpesymizmem, realizmem pesymistycznym, a zatem powinnością pisarską, której nie wolno pod karą niespełnienia wygłosu zaniedbać.

Tajemnice foksteriera

Słuchać to już w warstwie językowej. W „Serotoninie” głos pisarza zastyga we własnej manierze. Pozostaje ona oczywiście bardzo atrakcyjna, łatwa w lekturze i wysoko jakościowa; człowiek przykleja się do jego zdań jak mucha do lepu; trudno się od tej powieści oderwać. Cała Francja literacka od lat toczy dyskusję, czy Houellebecq stworzył szczególny, osobliwy styl, czy też pisze całkowicie płasko.

Oczywiście, Houellebecq stworzył styl; to jedna z mocniejszych stron tego pisarstwa. Wykorzystując francuską nowomowę korporacyjną i komunikacyjną (o wiele silniejszą niż w polszczyźnie), wykreował jej język-kopię. Dzięki lekkimu ironicznemu przesunięciu, narratorzy wypowiadają lub przytaczają gotowe, zastane i zastygłe frazy, w tym najgorsze nawet banały, w sposób, który śmieszy, ale też nas dotyka: rzeczywistość zostaje nam ponownie wyjaśniona, jakbyśmy byli dziećmi albo Marsjanami; wszystko jest oczywiste i zarazem zadziwiające. Zadziwiać oczywiście należy do sztuki powieści; to już na samym początku Houellebecqowi się udało.

Jak wiadomo, styl jest dobrodziejstwem i przekleństwem zarazem, tym bardziej że przyzwyczajają się do niego nie tylko pisarze, lecz także jego czytelnicy wymagający kolejnego sezonu dla ich ulubionego serialu. Ten sam manewr, który niegdyś unaoczniał to, co dzieje się z naszym najpierw językiem, a następnie życiem poddanym nowomowie korporacyjnej, biurokratycznej i lifestyle'owej, i który polegał m.in. na cytowaniu autentycznych tekstów zapisanych kursywą lub ujętych w cudzysłowy, zaczyna się wyczerpywać. Przepisanie po raz kolejny, podobnie jak w „Poszerzeniu pola walki” sprzed ćwierćwiecza, menu restauracyjnego z jego idiotycznymi ornamentami i fioriturami ciągle wywołuje uśmiech czy nawet chichot, podobnie jak mowa korporacyjnego urzędnika czy recepcjonistki sieci hotelowej cytujących gotowe formuły opracowane przez menadżerów podczas zebrań firmowych, lecz te sprawy mamy już, by tak rzec, za sobą.

O tej nowomowie, redukującej wszystko do nieznosnej, ale też nieodzownej dla kapitału sztampy, już dobrze wiemy.

Okraszenie opowieści dziesiątkami od Apart'hotelu po Zadiga & Voltaire'a nazw firm i marek przedmiotów używanych przez bohaterów książki również nie rajuje, jak mogło rajcować niegdyś. W języku demistyfikowanym od lat przez Houellebecq coś się przecież gwałtownie zmieniło; rzeczywistość sztucznej inteligencji przetworzyła go dalej, ingerując w mentalność.

Okazuje się, że literatura demistyfikacji z czasem osiada w niemocy, analogicznej do bezwładnego świata, którego bezradność i bezsens odsłania. Pozostaje jej bierne powtórzenie, będące tyleż efektowne, co – jak każda mania – nieco rytualne. Krytycy piszą o dziele, które pozostanie w historii; należałoby raczej sądzić, że „Serotonina” zestarzeje się szybciej niż społeczeństwo zachodnie.

Houellebecq, co widać po tej cokolwiek żmudnej powieści, sam staje się niejako marką, doskonale rozpoznawalną i spełniającą wymagania, jakie stawia się marce: żeby była nadal, czym była. W przypadku „Serotoniny” miało być jak zawsze niedobrze i jak zawsze prowokacyjnie, dowcipnie, obrazoburczo i pornograficznie. Prowokacyjność i obrazoburczość podane są w tradycyjnie mocnej dawce. Z ust agnoma, wyposażonego w wysoką inteligencję i znajomość literatury oraz kultury francuskiej samego Houellebecq, spływają co chwila sądy, które wypowiadane, dajmy na to, przez posła czy ministra, a nawet aktora czy sportowca, wywołałyby skandale, gniewne komentarze i długie połajanki.

Zostawmy z boku wycieczki antyfeministyczne przemieszane z romantyczno-konserwatywnym uwielbieniem kobiety; przyjemność autora płynąca z dżgania poprawności wydaje się tak duża, że najrozsądniej reagować jak sadysta ze znanego dowcipu o spotkaniu z masochistą: odmową bicia. Herosów prowokacji nie da się postponować, bo nigdy nie ma pewności, że wygłaszają własne sądy, na tym polega ich cwana kondycja. Powraca też znana z pierwszych powieści kpina z paryskości i paryskich intelektualistów; nieudana aktorka, jedna z kobiet głównego protagonisty, wolałaby kupczyć ciałem na ulicy, niż czytać w radiu France Culture teksty Bataille'a czy Blanchota, idolów literackich salonów.

Do tego mamy sentencje o narodach, o znanych ludziach, o autorytetach kultury (Goethe to ponury nudziarz, Mann pisał durnoty) itd. Dla każdego coś miłego. Przypiszmy to wymogom satyry; w końcu mamy do czynienia z pisarzem w dużej mierze satyrycznym. Tyle że uporczywe i namiętne walenie w worek poprawności politycznej przestaje w tej akurat książce służyć literaturze; powieściowość z niej wycieka, prześwitują nagie kości. Czyli mądrościowe, raz lepsze, raz gorsze sentencje *à la* Rochefoucauld i inni klasyczni francuscy moralisci. No tak, lubimy Leca, ale także za to, że nie napisał powieści. Ale żeby choć Lec.

Bez pornografii oczywiście ani rusz, bo to ważny składnik marki. Jednak uzależnionemu czytelnikowi znana mu z poprzednich książek wena pisarza mogła nie starczyć, więc trzeba było wzmocnić bodźce. I tak pojawia się kompletnie gratisowa dla całej powieści, ewidentnie napisana po to, aby szokować, epizodyczna scena pedofilską; a chwilowa żona bohatera zdradza go – rejestrując tę rozkoszną chwilę na wideo – z piętnastoma mężczyznami naraz. Ze wszystkich stron rzecz jasna, lecz na wszelki wypadek, gdyby tego było za mało, pojawiają się też w roli kochanków psy, z dobermanem na czele. Foksterier, okazuje się, woli *fellatio*.

Składnia, Michel, składnia!

Pornografia, ale przecież. Ale przecież – czytamy w recenzjach – przecież też miłość. Bohater Houellebecqua gotów byłby w niej szukać zbawienia. Nie jest już ono możliwe, lecz wspomnienia z dawnego, szczęśliwego związku z Camille wypełniają resztki jego życia i drugą, lepszą normandzką połowę powieści. Gdyby jej nie zdradził, gdyby nie chciał być aż taki nowoczesny i jako konserwatysta zaproponował jej, by została przy nim kurą domową, wszystko mogło potoczyć się inaczej. Próba niemożliwej idylli, powrotu do kochanki musi wszak skończyć się fiaskiem i stać źródłem niepokromionej nostalgii.

Florent-Claude zostanie sam, smutny dezerter, jak wszyscy główni protagoniści Houellebecqua. Jak choćby bohater wspomnianej pierwszej powieści, również leczący się psychiatrycznie. Nic ich właściwie nie różni, odgrywają ten sam scenariusz. Wszyscy są instancjami zacheańskimi ostatnimi ludźmi, inscenizującymi kres świata, takiego świata; wszystko się skoń-

**Bez pornografii
oczywiście ani rusz,
bo to ważny składnik marki.**
Jednak uzależnionemu
czytelnikowi, znana mu
z poprzednich książek
autora, wena pisarza
mogła nie starczyć,
więc trzeba było
wzmocnić bodźce.

czyło. Tak jakby Houellebecq chciał, by kultura francuska, czy szerzej zachodnia, odgrywała wciąż ten sam rytualny spenglerowski spektakl, rodzaj zachodnich „Dziadów”, w którym między żywymi i martwymi nie ma istotnej różnicy. Spektakl, gdzie cywilizacja podaje się za trupa, zafiksowana, a może nawet zakochana we własnym rozpoznaniu.

Może ciekawsza od samej powieści jest jej recepcja we Francji. 400 tys. egzemplarzy sprzedanych w dwa tygodnie, krytyki w każdej gazecie. Niewątpliwie w tym oczekiwaniu na Houellebecqua kryje się odwieczny, podstawowy postulat wobec literatury, żeby stała się dokumentem na pół socjologicznym, czyli zapotrzebowanie na realizm, na to, „żeby nam wreszcie powiedziano, jak jest”, żeby zostało potwierdzone, co wiemy, a czego ująć nie umiemy. Doszło do zawarcia paktu redukcyjnego: obie strony, pisarz i czytelnicy, godzą się, by sprowadzić świat do jednej, podstawowej sytuacji. Ale może jeszcze coś.

Niemal wszystkie recenzje w liczącej się prasie są entuzjastyczne; głosów polemicznych, najczęściej kobiecych, słychać niezbyt wiele. Komentator najważniejszego centrowego „Le Monde”, nachwaliwszy się „istnej fenomenologią fellacji” (czy, jak kto woli, „zrozumienia łoda”), ogłasza „powrót Houellebecqua do literatury”: oto pisarz w coś uwierzył, mianowicie w miłość. Houellebecq uwierzył, wreszcie! Wiemy za nim. Tak jakby wiara w cokolwiek była warunkiem literatury, zapytajcie o to Céline’a.

W lewicowym, opiniotwórczym „Nouvel Observateur” piszą o prawdopodobnie najlepszej książce Houellebecqua; bardzo chwalą go w prawicowym „Le Figaro” i w ważnym lewicowo-anarchistycznym piśmie „Les Inrockuptibles”; skrajnie prawicowe pismo „Valeurs Actuelles” jeszcze przed publikacją powieści okadziło pisarza odpowiednim *dossier* i fotosem na okładce. Można wręcz odnieść wrażenie, że otwarte krytykowanie pisarza należałoby dziś, odwrotnie niż kiedyś, do nowej niepoprawności.

Trzeba ewentualnie podziwiać siłę francuskiej kultury (i jej zazdrości), która umie przejść nad politycznym utożsamieniem i składać hołdy sztuce, jakiegokolwiek wybory światopoglądowe za nią stoją. Prawicy nie przeszkadza ani obyczajowe rozpasanie, ani ludowy bunt. Lewicy nie przeszkadza w zachwycie nad powieścią diatryba na cześć Trumpa, nie tak dawno temu wygłoszona przez Houellebecqua, ani też kumpłowanie się z Sarkozym i Carłą Bruni, ani tym bardziej Legia Honorowa nadana mu przez Macrona, na którego zresztą głosował („jestem zbyt bogaty, by głosować na Le Pen i Melenchona”), ani laudacja Érica Zemmoura, autora „Samo-bójstwa francuskiego”, publicysty niezwykle popularnego na prawicy nacjonalistycznej, zwłaszcza lepenowskiej. Ani też opowiedzenie się za *frexitem*.

Ale ostatecznie dlaczego miałyby przeszkadzać? Może nie chodzi tylko o zwykłą burzę w szklance wody, wywołaną na chwilę istotnym „wydarzeniem kulturalnym”. Być może ta dość ujednolicona recepcja więcej mówi o przyszłości, o przyszłej Europie, niż się wydaje. Coś się ruszyło, zaczęły się ideowe osmozy, osvajanie z myślami wcześniej bardzo nieuczyszczanymi.

Wśród różnych krytyk jedna, poważna, ale ukryta w internecie, bardzo mnie rozbawiła. Autor wytyka autorowi „Serotoniny” („powieść słaba, jednak słuszną”) kilka błędów w składni, parę źle użytych przyimków, niepoprawne zastosowanie wykwintnego trybu *subjonctif passé*. Zupenie tak, jak pisano o książkach w dawnej, od Woltera po Prousta, Francji: najpierw patrzymy na gramatykę, a potem ewentualnie na całą resztę. Śmieszne, trochę głupie. A jednak w dziwny sposób pocieszające.

© MAREK BIENIŹYK

Michel Houellebecq **SEROTONINA**, premiera polska jest przewidziana na maj 2019.



*Autoportret niesygnowany,
na zamówienie „TP”, 2019 r.*

*„Rysunkowe odpowiedzi
musicie odgadnąć i dopasować”
– pisze do nas Bolesław Chromy.
Dopasowaliśmy, ale czy zgadliśmy?*

W drodze do Mordoru

BOLESŁAW CHROMY, RYSOWNIK:

Parę osób sugerowało, że jeszcze wrócę do Krakowa na kolanach i w worku pokutnym. Inni twierdzili, że uciekłem do Warszawy, bo jestem przegrywem i knurem. Standardowa relacja miłosna między dawną i obecną stolicą Polski.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Lubisz rozmawiać o Polsce?

BOLESŁAW CHROMY: Nie mam wyboru, w końcu wydałem niedawno „Elementarz Polski dla Polaka i Polki z Polski”. Ale nie jest to dla mnie szczególnie trudne, w końcu jestem Polakiem, a rozmawianie o Polsce to nasz narodowy sport. Problem polega na tym, że masowo bierzemy

się za niego dopiero, gdy jesteśmy pijani albo pod wpływem innych środków. Nie może się zatem obejść bez złości i agresji. Do tego ringiem jest zazwyczaj rodzinny stół.

Czyli że nie warto?

Absolutnie warto. Choć smutne jest to, że te długie, całonocne dyskusje naj-

częściej odbywają się w myśl zasady „nie znam się, to się wypowiem”. Ja mam wrodzony lęk przed zbłaźnieniem się, dlatego niestety zazwyczaj siedzę cicho.

Nie wierzę, że nigdy nie dyskutujesz o Polsce.

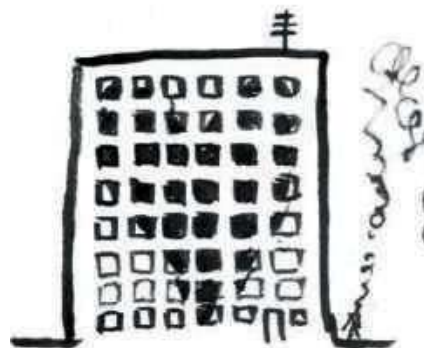
Owszem, ale na trzeźwo. Choć uważam, że dyskutowanie z osobą o odmiennych poglądach nie ma większego sensu. Wszyscy się tylko czerwienią i tracą hamulce, więc z definicji nie może z tego wyjść nic dobrego.

Jako artysta, który dużo wypowiada się o Polsce, musisz się jakoś z tej polskości doszkalać.

Próbuję, ale możliwości są ograniczone. Jak się raz w rodzinnym gronie pokłóć o kwestie światopoglądowe, to naprawdę trzeba być masochistą, żeby próbować do tego wrócić. Okazja do doszkalania pojawia się za to codziennie w komunikacji miejskiej. Niedawno zmieniłem pracę i teraz co rano dojeżdżam dwoma tramwajami i metrem. Pracuję na przedpolach warszawskiego Mordoru, więc jestem częścią ludu pracującego stołecznych korporacji. Przystanek przed moim jest duży szpital, więc jadę często z osobami starszymi – ubogimi i bezbronnymi. Zdarza mi się często usłyszeć small-talki na ich temat, od których serce pęka.

Korporacyjna klasa średnia jest częstym tematem Twoich prac.

Oczywiście, to jest przecież mój target. Nie mam za wiele wspólnego z dzisiejszymi studentami czy innymi ekspertami od mrocznych memów. Na co dzień żyję w dwóch światach – z racji wykonywanej pracy jedną nogą jestem w bańce marketingu i reklamy, a drugą w środowisku sztuki i artystów. Tylko stojąc w takim



rozkroku mam prawo i możliwość wypowiedzenia się o jednych albo drugich.

Inaczej się nie da?

Jeśli jesteś cały czas beneficjentem programów stypendialnych czy innych rezydencji twórczych, to twoje życie zamienia się w jedną wielką imprezę, z której tylko na chwilę wyskakujesz, żeby coś stworzyć. Trudno się wtedy komentuje rzeczywistość, bo ma się z nią mocno ograniczone związki.



Żerujesz więc na pracownikach korporacji?

To nie tak! W jednym i drugim świecie ofiarowuję całego siebie, dlatego czuję się uprawniony zabrać coś w zamian. Jestem przy tym szczery, nie kryję się z tym, co robię. Byłoby nieuczciwe, gdybym pracując w korporacji rysował przygody wędkarzy albo górników. Nic o nich nie wiem, więc mogę co najwyżej powielać stereotypy. Z drugiej strony nie jestem reporterem, więc nie czuję się w obowiązku nikogo dogłębnie badać i wypytywać. Współczesnicze w życiu innych – to podstawa mojej pracy.

Co słychać w tramwaju jadącym do Mordoru?

Niewiele. Wszyscy patrzą w smartfony. Wiem, zabrzmie teraz jak stary dziad, ale muszę to powiedzieć: strasznie mnie to smuci. 90 proc. ludzi, z którymi podróżuję rano i popołudniu, spędza osiem albo dziesięć godzin dziennie przed monitorem. A mimo to po wyjściu z biurowca dalej przez kilkanaście przystanków patrzą w sztuczne światło. Pomijając wszystko inne – co z minimalną higieną oczu? Mnie się robi zwyczajnie niedobrze, jak po pracy widzę Facebooka, Messengera albo Instagrama. Masowo daliśmy się uwieść złudzeniu o permanentnej bliskości i dostępności, które tak naprawdę prowadzą do zamkniętych, hermetycznych wręcz ba-

niek społecznych. Ludzie są w szoku, gdy ktoś próbuje przełamać te komunikacyjne kordony.

Z Twoich rysunków wynika, że w bańkach panuje smutek i depresja.

Bo tak jest, mało kto ma jeszcze zadowoloną minę. Do tego zima: siedzimy w grubych kurtkach w nagrzanym tramwaju, potem wychodzimy na deszcz i wiatr – żeby to na śnieg... Ciężko żyje się w Polsce. Chyba się starzeję, bo coraz bardziej obwiniam za to geografie, a nie politykę.

Gdyby było więcej słońca, żyłoby się lepiej?



I gdybyśmy wreszcie porzucili ten chory etos wiecznego zapieprzania. Wiem, że wcześniej nie było sprzyjających okazji, ale może już pora nauczyć się kapitalizmu? OK, zapieprzajmy, ale w pewnych granicach. No jakoś korzystajmy z tego. Tymczasem utrzymujemy fikcję 40-godzinnego tygodnia pracy – przecież tego się nawet fizycznie nie da wyrobić! Z drugiej strony może ja akurat nie powinienem tak bardzo narzekać, bo jakby tu w końcu nastało skandynawskie szczęście i dobrobyt, to nie miałbym tematów.

Portrecista Mordoru straciłby pracę?

Jeśli jestem portrecistą czegokolwiek, to wyłącznie swojego życia. Nie żeby było ono szczególnie ciekawe – jestem w sumie zwykłym wyrobnikiem, podobnie moja żona i większość naszych znajomych.

Ostateczny krach idei artysty?

Krew mnie zalewa, gdy ktoś ze zdziwieniem, a wręcz z wyrzutem, pyta, jak to możliwe, że Bolesław Chromy pracuje w agencji reklamowej. Ludzie myślą, że oglądam cały dzień TVN24, wciągam kokainę i rysuję śmieszne rysunki o Polsce. Niektórzy rysownicy być może tak robią,

ale gdybym miał tylko siedzieć w domu i zajmować się sobą albo Polską, tobym zwariował. To banał, ale praca artysty polega na grzebaniu we własnej historii i psychice, więc niezbędny jest bufor bezpieczeństwa.

Jednak jesteś artystą politycznym.

Nie uprawiam polityki w sensie ścisłym, nigdy nie mówię publicznie o swoich poglądach. Ale ta rzeczywistość mi się wścieka. Nieustannie, więc pewnie widać ją także w moich pracach.

Sztuka może coś zmienić w świecie?

Oczywiście! W tej kwestii jestem staroświeckim idealistą. Bardzo często rysuję zwierzęta, zwłaszcza psiki, które są szczególnie stworzeniami, zasługującymi na każdą ilość czułości. Często robię coś dla fundacji Plaskaty Azyl, która pomaga w adopcji bezdomnych zwierząt z wklęsłymi pyskami. Jeśli uda mi się zainteresować ich losem choćby jedną osobę, to dla mnie duży sukces. Natomiast nie czuję potrzeby komentowania rzeczywistości na bieżąco. Wierzę w szczątkowy etos artysty i *real time marketing* się w nim nie mieści. Musi być czas, żeby wyobraźnia i wrażliwość zdążyły przefiltrować nadmiar bodźców ze świata.

Relacja między Krakowem i Warszawą to kolejny ważny temat w Twoich książkach i wystawach.



Latem udzieliłem wywiadu, gdzie opowiadałem o swojej wyprowadzce do Warszawy i o plusach mieszkania w stolicy. W kilku miejscach w internecie zostałem zwyzywany od zdrajców. Parę osób sugerowało, że jeszcze wrócę do grodu Kraka ➔

→ na kolanach i w worku pokutnym. Inni twierdzili, że uciekłem, bo jestem przegrywem i knurem. Czyli standardowa relacja miłosna między dawną i obecną stolicą Polski.

Hejt za zmianę adresu?

Było tam też o tym, że jeżeli ktoś całe życie mieszka w Krakowie i dalej mu się podoba, to musi być permanentnie pijany. Ale było to zdanie wyrwane z kontekstu i dotyczyło tak zwanego środowiska artystycznego. Cóż, leady i cytaty rządzą się swoimi prawami.

Czyli jednak fajniej w Warszawie?

Zdecydowanie. Już nie wracam. Wziąłem kredyt i kupiłem mieszkanie, więc przez najbliższe trzynaście lat nie mam wyjścia. Ale chyba nie ma wstydu, hipoteka ludzka rzecz.

Skoro jesteście przy kredycie – jesteście artystą pokoleniowym?

Nigdy tak o sobie nie myślałem, a jeśli kiedyś zacznę, to możesz mi położyć prawą rękę w wielu miejscach, żeby już nigdy się nie zrosła.

I ♥ MILLENNIALS



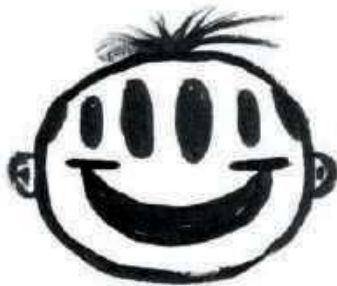
Twe rysunki są jednak czytelne głównie dla ludzi mniej więcej w naszym wieku, czyli trzydziesto-parolatków.

Opowiadałam o zwykłym życiu, do tego potocznym językiem. Może dlatego? Na co dzień mam takie problemy jak brak mate w Żabce. Nie ma co ukrywać, tym żyjemy w tak zwanym prawdziwym życiu. Pewnie dlatego największym hitem w sieci był rysunek pracownika Żabki – kościotrupa, który pyta: „Jakie sosy?”. Wszyscy, każdego dnia, doświadczamy dokładnie tego samego. Chyba już nie umiem opo-

wiadać o rzeczach wzniosłych, bo mam śmietnikową pamięć. Nawet jak z kimś rozmawiam, to ciągle popadam w dygresje, które rodzą kolejne dygresje. Ale ludzie często się z tego śmieją, więc może nie jest jeszcze tak źle?

Jesteś satyrykiem?

Chyba nie, myślę o swoich pracach bardzo poważnie. Ale cieszy mnie, że przy okazji mogę wzbudzić u kogoś radość. Kiedyś trochę śmiałem się z hipsterów i ich stylu życia. Dziś, w porównaniu z całym komercyjnym syfem influencerów i podobnych im mutacji, myślę o nich raczej z czułością i sentymentem.



Już tylko śmieci nam zostały? Do tego zmieszane, bo nikomu nie chce się ich segregować?

Pytasz, czy jest jeszcze piękno na świecie? Jest, z całą pewnością. Oprócz tego, że jestem zwyrodniałym rysownikiem, to także z żoną kolekcjonujemy sztukę współczesną. Oczywiście w praktyce wygląda to tak, że się z kolegami i koleżankami wymieniamy pracami. „Kolekcjoner sztuki” jednak brzmi lepiej, przyznasz. Ale tak serio – bardzo lubię sztukę, kupuję sobie drogie albumy, czytam dużo literatury, oglądam filmy. Sam mam grubą, brutalistyczną kreskę i lubuję się w estetyce syfu, ale wierzę głęboko, że można inaczej.

Z Twoich rysunków bije przede wszystkim dojmujący smutek. Choćby w dwóch powieściach graficznych – „Renacie” i „Pokrzywach”.

Z tymi dwiema książkami to jest osobna historia. Zacznę dookoła – właśnie skończyłem czytać biografię Krzysztofa Kieślowskiego autorstwa Katarzyny Surmiak-Domańskiej. Nigdy nie byłem wielkim fanem jego kina, ale dowiedziałem się, że praktycznie przez całe swoje życie był w bardzo ciężkiej depresji, do tego

nigdy nieleczonej. Uderzyło mnie to, bo sam się z tym przez lata zmagam. A „Renata” i „Pokrzywy” to właśnie zapis moich wspomnień z dzieciństwa, czyli czasów późnej transformacji na szarym blokowisku. Chciałem w końcu rozliczyć się z własną przeszłością. To taki realizm magiczny czasów dzieciństwa, aczkolwiek ta magia była bardzo ponura, żeby nie powiedzieć: czarna. Dopiero po ich stworzeniu zdiagnozowano u mnie zespół lęku uogólnionego. Gdy się w końcu tego dowiedziałem, wiele rzeczy z mojej przeszłości stało się dla mnie bardziej zrozumiałych.

Ten Kieślowski, skoro go wspominałeś, faktycznie pasuje.

Gdy pytano mnie przy okazji premiery tych dwóch pierwszych książek, zupełnie od czapy, o pomysły na ekranizację, od razu zacząłem kombinować z poetyką kina moralnego niepokoju. Od dzieciaka nasiąkałem tymi filmami. I choć teraz ich nie znoszę, to jednak siedzą we mnie głęboko.

We wszystkich nas siedzą.

No właśnie, może to jest źródło naszych problemów? Przecież to kino tworzyli ludzie w ciężkiej depresji, którą zainfekowali naszą wrażliwość. Teraz, gdy już sobie to wreszcie uświadomiłem, nigdy nie zdecydowałbym się na obejrzenie filmu Kieślowskiego. Technicznie to oczywiście świetny reżyser, ale emocjonalnie po prostu nie miałbym na niego siły.

„Renata”, historia starszej kobiety, której życie po wylewie powoli dogasa na kanapie przed telewizorem, kończy się chyba najsmutniejszym zdaniem w całej historii najsmutniejszych zdań: „życie jak zapomniany ziemniak w kącie zagranej piwnicy”.

Trudny sobie wybrałem temat na debiut... Ale chyba też nigdy potem nie byłem już tak radykalny. Jeśli mogę sobie pozwolić na taką konstatację: to właśnie moja wariacja na temat Kieślowskiego, którym nasiąkałem za młodu.

A dlaczego tak lubisz w swoich rysunkach wyliczanki?

Bo w ten sposób mogę przekazać na jednej kartce maksymalnie dużo treści. Ale od zawsze lubiłem zestawiać ze sobą rzeczy. Jak jeszcze istniała sieć delikatesów Alma, to wchodziłem na ich stronę i wrzu-

całem sobie do koszyka różne rzeczy. Wyobrażałem sobie, że mam już dorosłe życie i mnie na to wszystko stać. Jak już sobie nafantazjowałem do syta, wyłączałem stronę. Algorytmy reklamowe musiały wariować. W sumie dalej to robię, tylko teraz kolekcjonuję gazetki z marketów i planuję zakupy. Dobudowuję do tego scenariusz, na przykład: jesteśmy na Mazurach w domku w głuszy i zostałem wyznaczony jako zaopatrzeniowiec. Co za tem powinienem kupić?

Melancholia późnego kapitalizmu?

Jesteśmy z tego samego rocznika, niby urodziłem się w PRL-u, ale go nie pamiętam. Z drugiej strony lata 90. prawie w całości były zbudowane z artefaktów tamtej epoki, do tego dalej trwała bieda, tylko nieco podkolorowana.



Moje pierwsze zachwyty dzieciństwa wiążą się z pojawieniem się na rynku jogurtów owocowych i zupek chińskich. Na kapitalizm nie było wtedy żadnych filtrów, do tego byliśmy dziećmi, więc chłonęliśmy wszystko jak leci, bez żadnego opamiętania. I teraz wychodzą różne zbrocenia, od których się już nie uwolnimy. Ale nie cofnąłbym się w czasie, w sumie fajnie być w końcu dorosłym. Mogę teraz nosić bez zażenowania coraz bardziej kolorowe ciuchy.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

BOLESŁAW CHROMY (ur. 1987, wł. Damian Siemiń) jest rysownikiem, malarzem, ilustratorem i poetą. Absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zadebiutował w 2015 r. powieścią graficzną „Renata”, rok później wydał kolejną – „Pokrzywy”. Ostatnio ukazał się także jego „Notes dla ludzi uczulonych na gluten i laktozę” oraz „Elementarz Polski dla Polaka i Polki z Polski”. Urodzony w Nowej Hucie, obecnie mieszka w Warszawie.

Był sobie pomnik

PIOTR KOSIEWSKI

Warszawska Królikarnia zorganizowała wystawę poświęconą pomnikom w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1918–2018. Opowiada o zmianach politycznych i społecznych, o minionych i aktualnych sporach.

STWORZYLIŚMY WYSTAWĘ O POMNIKACH, a nie o tym, co one upamiętniają – podkreślają jej twórcy. Wybrano 22 przykłady od lat 20. XX w. po najnowsze realizacje. Są wśród nich pomniki powszechnie znane, ale też zapominane, nigdy niepowstałe lub zniszczone. Wybitne dzieła i przykłady wielce nieudane. Wystawa przypomina też o znacznie starszych projektach, jak niezrealizowany pomnik Adama Mickiewicza autorstwa Jana Matejki z 1885 r. Pokazano nieoczywiste sposoby upamiętniania, jak szkoły „tysiąclatki” – pomniki Tysiąclecia Państwa Polskiego. W latach 1959–64 pod tym hasłem wybudowano ok. 1500 szkół i internatów.

Przypomniano o losach dawnych monumentów, na których historia odciśnęła piętno, czego dobrym przykładem jest warszawski pomnik księcia Józefa Poniatowskiego. Wykonany przez wybitnego duńskiego klasycystę Bertela Thorvaldsena – to zapewne najwybitniejsza rzeźba pomnikowa w Polsce – początkowo miał zostać ustawiony na dziedzińcu przed Pałacem Namiestnikowskim. Przeszkodził temu wybuch powstania listopadowego i dzieło Thorvaldsena trafiło do rezydencji Iwana Paskiewicza w Homlu. Do Polski wróciło w 1922 r. Pomnik postawiono na dziedzińcu Zamku Królewskiego, a potem przeniesiono na plac Saski, gdzie stał aż do wysadzenia go w powietrze przez Niemców w 1944 r. W 1951 r. nowy jego odlew – dar Danii – dotarł do Warszawy. Został ustawiony przed Starą Pomarańczarnią w parku Łazienkowskim i dopiero w 1965 r. zdecydowano o jego przeniesieniu w miejsce, w którym miał stanąć pierwotnie – przed dawnym Pałacem Namiestnikowskim (obecnie Pałac Prezydencki). Stoi do dziś, chociaż niektórzy

politycy myśleli o jego przeniesieniu i wzniesieniu w tym miejscu pomnika upamiętniającego ofiary katastrofy smoleńskiej.

Pomnik i władza

Pomniki – jak podkreślają kuratorzy wystawy – „tworzą krajobraz naszych wartości”. Upamiętniają „mężów stanu, bohaterów i ofiary wojen, reprezentują wyznawane wspólnie ideały, »zaludniają« miasta, dominują w krajobrazie”. Nie są też „niewinne” czy „neutralne”, jak bowiem celnie zauważył Artur Żmijewski w rozmowie z magazynem „Szum”, są obiektami-symbolami organizującymi ideologicznie przestrzeń publiczną, a ich celem jest np. „formatowanie pamięci zbiorowej, często w sposób tendencyjny”. Dlatego też władze zawsze przywiązywały ogromną rolę do monumentów, a to, kto, w jaki sposób i przez kogo ma być upamiętniany, było przedmiotem bardzo ostrych sporów.

„Dyktatorzy stawiają pomniki na mocy dekretów”. W społeczeństwach demokratycznych jest inaczej. Rządzący negocjują ze społeczeństwem, a sama idea upamiętnienia „powinna być zaakceptowana przez różne, często antagonistyczne grupy społeczne”. To założenia. A praktyka? Pomniki dziś, podobnie jak w przeszłości, nadal bywają narzędziem narzucania wspólnocie określonego modelu tożsamości, a przeszłość jest jednym z kluczowych narzędzi do jej kształtowania.

Na wystawie pokazano – słabo znany w Polsce – zdumiewający, efektowny i zarazem dziwny (a chwilami komiczny) projekt przekształcenia miasta Skopje. Z inicjatywy ówczesnego premiera Macedonii, Nikoły Gruewskiego, od 2010 r. późnomodernistyczną →

→ architekturę zaczęły zastępować budynki utrzymane w historyzującym, pseudogreckim stylu – łącznie powstało ok. 130 obiektów. Ustawiono też kilkadziesiąt pomników, w tym tzw. „Wojownika na koniu”. Wszystko to miało upodobnić stolicę Macedonii do miasta z czasów Aleksandra Wielkiego. Przebudowa była częścią ideologicznego projektu stworzenia nowego społeczeństwa, narzuceniem określonej wizji przeszłości, nie zaś jej negocjowaniem i budowaniem wokół niej konsensusu. I dopiero zmiana władzy zatrzymała przekształcanie miasta w *quasi*-antyczną metropolię.

Zanim powstanie pomnik

„Nie ma absolutu formy, najważniejsze są treści – forma doskonała to ta, która najlepiej »niesie« treść, a nie istnieje tylko po to, by być śliczną, jej uroda musi być wartością niezamierzoną – tak jest w przyrodzie” – notował Władysław Hasior. Jedną z najbardziej frapujących części wystawy dotyczy projektowania pomników. Szukania odpowiedniej formy upamiętnienia, możliwej do zaakceptowania przez zamawiających i – co nie mniej ważne – dającej się zrealizować. Różne były przyczyny porzucenia projektów: kontrowersyjna forma, nieprzystawalność do oczekiwań politycznych czy społecznych, trudności techniczne, zmiany polityczne, wojna, ale też np. brak środków.

W Królikarni przypomniano kilka takich nieurzeczywistnionych pomników: słynny wileński pomnik Adama Mickiewicza Zbigniewa Pronaszki, którego model ustawiono w 1924 r., ale nigdy nie udało się stworzyć jego ostatecznej wersji. Upamiętnienie Bolesława Śmiałego, zaprojektowane przez Stanisława Szukalskiego w latach 1926-28 z myślą o Wawelu – rzeźba manieryczna, nieznośnie przegadana. Wreszcie śmiały i nowatorski projekt Władysława Hasiora szklanego pomnika zwycięstwa Wojska Polskiego z 1969 r. I bardzo rzadko udaje się – jak było w przypadku pomnika Chopina (1948-49) dla Krakowa Marii Jaremy – po latach zrealizować dawne projekty (ten stanął dopiero w 2006 r.).

W Królikarni pokazano najbardziej ambitny polski projekt upamiętniania w II RP – pomnik ku czci Józefa Piłsudskiego. Jednak nie mniej ciekawe jest przypomnienie o innym konkursie z okresu międzywojennego – na Pomnik Zjednoczenia Ziemi Polskich w Gdyni z 1929 r.



Vojin Bakić, pomnik Powstania Ludowego Prowincji Kordun i Banija na Petrovej Gorze, Chorwacja, 1981 r.

Wybrano bardzo nowoczesną koncepcję Jana Łukasika i Stanisława Marzyńskiego. Jednak z braku środków w 1937 r. zdecydowano się na skromniejszy projekt autorstwa Wacława Tomaszewskiego. Wybuch wojny przerwał nad nim prace.

Interesująca była nie tylko forma pomnika, ale też uzasadnienie jego wzniesienia.

Jak mówił jego pomysłodawca Eugeniusz Kwiatkowski: „pomnik ten nie ma być ani symbolem chwały dnia odzyskania dostępu do Morza Bałtyckiego, ani dumnym stwierdzeniem faktu dotychczasowych powiedzeń naszej pracy i polityki morskiej. Nie ma to być pomnik przeszłości

w tym znaczeniu, lecz pomnik przyszłości. Ma to być symbol obowiązku naszego i pokoleń następnych rozwijania twórczej pracy na polskim wybrzeżu” (pisownia oryginalna).

Budowanie, rujnowanie...

„Ziemia pokryta jest rzeźbami, zniczami, malowidłami, znakami runicznymi – cmentarz wieków. Wszystko to są pomniki. Świadomość i nieświadomość pisana historia narodów. Każdy naród wpisany jest w tę księgę. (...) Płyną wieki i wciąż, bez przerwy narasta historia, to znaczy nowe jej pomniki. Mają one więc o wiele głębsze znaczenie i nie można na nie pa-



Powyżej: Xawery Dunikowski pracuje nad figurą żołnierza radzieckiego – elementem pomnika Wdzięczności Armii Czerwonej, Olsztyn, Polska, 1954 r.



Później – po 1989 r. – pomnik zmienił nazwę na pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińskiej i Mazurskiej.

trzeć ze stanowiska utylitarnego” – przekonywał Xawery Dunikowski.

Jednak pomniki często bywają wykorzystywane do bardzo utylitarnych celów: konsolidacji wspólnoty, mobilizacji, wywoływania emocji. Sam Dunikowski uczestniczył w przekształceniu Góry św. Anny z niemieckiego w polskie miejsce pamięci.

Nawet upamiętnienia wielkich tragedii bywają wykorzystywane do manipulacji. W Królikarni wiele miejsca poświęcono konkursowi na pomnik w Auschwitz. Nie bez powodu – bo projekt Pomnika-Drogi zespołu Oskar i Zofia Hansen, Jerzy Januszkiewicz, Edmund Kupiecki i Julian

Pałka był odmienną od dotychczasowych koncepcją pomnika: „pomnika otwartego”, niebędącego bryłą, lecz elementem krajobrazu. Powstał projekt prekursorski, zapowiadający wiele dzisiejszych realizacji. Ostatecznie zdecydowano się jednak na wzniesienie kompromisowego monumentu łączącego kilka różnych koncepcji.

Na jego odsłonięciu odbyło się prawykonywanie oratorium „Dies irae” Krzysztofa Pendereckiego. Jednak sama uroczystość wywołała kontrowersje. Problemem nie była forma pomnika, lecz narzucany przez ówczesne władze przekaz. W Królikarni można zobaczyć Opis Aktu Erekcyjnego pod pomnik ofiar fa-

szyzmu w Oświęcimiu z 1967 r.: „Monument ten (...) niechaj będzie Pomnikiem Wiecznej Czi i Chwały Czterech Milionów Bojowników i Ofiar z Polski i wielu Innych Krajów Europy, którzy w latach 1940-1944 ponieśli bohaterską i męczeńską śmierć w największym hitlerowskim obozie zagłady Auschwitz-Birkenau”. Nie tylko zawyżono liczbę ofiar obozu, lecz przede wszystkim nie nazwano tych, którzy w największej części byli jego ofiarami – europejskich Żydów.

Istotne są przyczyny wznoszenia pomników, ale też ich obalania. Do zniszczenia upamiętnień Stalina i Lenina w Białymstoku 30 czerwca 1941 r. zmuszono grupę żydowskich mieszkańców miasta. To był symboliczny początek ich Zagłady. W Jedwabnem część mieszkańców najpierw zmusiła swych żydowskich sąsiadów do obalenia tamtejszego pomnika Lenina, a następnie ich wymordowała.

Burzenie pomników bywa znakiem końca, ale też początku. Rozbiórka w 1962 r. gigantycznego pomnika Józefa Stalina w Pradze (15 metrów wysokości i 22 szerokości) była symbolem destalinizacji Czechosłowacji. Obalenie warszawskiego pomnika Dzierżyńskiego stało się znakiem końca komunizmu w Polsce, a słynny „leninopad” (masowe niszczenie pomników Lenina) w lutym 2014 r. żegnaniem Ukrainy z jej sowiecką przeszłością.

Bywało też, że zmieniano ideologiczny przekaz monumentu. Słynny pomnik Władysława Hasióra na Przełęczu Snózka z 1966 r. – jedna z najważniejszych realizacji rzeźbiarskich w polskiej sztuce XX – był wzniesiony Ku Czcii Poległych w Walce o Utrwalenie Władzy na Podhalu. Potem, do 2009 r., upamiętniał Ofiary Walk Wewnętrznych po II Wojnie Światowej. Wreszcie, po konserwacji w 2011 r., został przemianowany na „Żelazne organy”.

Wysniona rewolucja

Jesteśmy świadkami kolejnych wojen na pomniki – a upamiętnienie ofiar katastrofy smoleńskiej było po 2010 r. jednym z najistotniejszych punktów politycznego sporu. Trwa wreszcie, za sprawą ustawy o zakazie propagowania komunizmu lub innego systemu totalitarnego, od kwietnia 2016 r. usuwanie ostatnich pomników łączonych z komunistycznymi rządami. Można domyślać się, że inicjatorem jej uchwalenia chodziło nie tylko o wymazanie z przestrzeni publicznej totalitarnych

→ śladów. To miał być prawdziwy koniec PRL-u, polskie *katharsis*. Jednak burzeniu tych pomników towarzyszy obojętność. Bywa też, że sprzeciw, nie tylko władz Rosji (występujących w obronie upamiętnień żołnierzy Armii Czerwonej), lecz samych mieszkańców. Niektóre z pomników przeznaczonych do rozbioru dawno straciły swój ideowy charakter lub nigdy w ten sposób nie były odbierane, wpisały się w krajobraz i stały częścią lokalnej tożsamości. Np. odsłonięty w 1971 r. pomnik XXV-lecia PRL w Sejnach autorstwa Stanisława Wakulińskiego na początku lat 80. przemianowano na Matki Polki. Zgodnie z ustawą z 2016 r. rozebrano go. Ale w społecznych konsultacjach przeprowadzonych przez władze miasta zdecydowano, że w zmienionej formie ma zostać odbudowany.

Na wystawie znalazły się także dwa najnowsze warszawskie upamiętnienia: pomnik Ofiar Katastrofy Smoleńskiej oraz Lecha Kaczyńskiego. Oba budzą kontrowersje. Oba też – niestety – są nieudane (w przypadku projektu Jerzego Kaliny fatalna okazała się zmiana lokalizacji; a mogło powstać wybitne dzieło). Przypomniabym jednak inne, nieobecne w Królikarni, upamiętnienie, czyli „Prezydenta” Pawła Althamera. Odważył się stworzyć nieoczywisty, trudny pomnik Lecha Kaczyńskiego, a jednocześnie jednej z największych tragedii w najnowszej historii Polski. I postawił istotne pytania o sposoby upamiętniania dziś.

Rzeźba Althamera jest głosem w dyskusji, która w Polsce się nie odbyła. I której nam bardzo brakuje. Pamięć – jak podkreśla Jan Assmann – jest substancją kultury. Czasami odczuwamy ją jedynie podskórnie, lecz to ona nas definiuje jako jednostki oraz jako zbiorowość, nasze prawo, obyczaje, systemy wartości. Pomniki zaś są jednymi z widocznych znaków pamięci. To one opowiadają o tym, jaką jesteśmy wspólnotą.

© PIOTR KOSIEWSKI

POMNIK. EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA 1918–2018, Warszawa, Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego w Królikarni. Wystawa czynna do 10 kwietnia 2019, kuratorzy: Agnieszka Tarasiuk, Hubert Czerepok, Ania Miczko.



Kapsuła czasu

ANITA PIOTROWSKA

Najnowszy film Aleksieja Germana zamiast klasycznej biografii proponuje rozedrgany i lekko przymglony fresk na temat twórczości kielkującej wbrew powszechnemu bezwładowi.

CEBULA NA KUCHENNYM PARAPECIE WYPUSzcza zielone pędy – dla mieszkańców leningradzkiej komunalki cenne źródło witamin. Jest mroźny początek listopada 1971 r. Kraj Rad odlicza dni do rocznicy Wielkiej Rewolucji, lecz 30-letni pisarz Siergiej Dowłatow ma na głowie zupełnie inne sprawy. Próbuje zdobyć 20 rubli na zagraniczną lalkę dla córeczki i znaleźć dojsce do Związku Pisarzy ZSRR. Bo tylko przynależąc do oficjalnych struktur będzie mógł wreszcie zadebiutować. Napisy końcowe informują, że publikacja jego książki w odczytnie nastąpi dopiero 20 lat później, zmarły na emigracji autor nie doczeka więc ani popularności, ani za-

szczytów. Warto oglądać „Dowłatowa” z takiej właśnie perspektywy. Najnowszy film Aleksieja Germana zamiast klasycznej biografii proponuje bowiem rozedrgany i lekko przymglony fresk na temat twórczości kielkującej wbrew powszechnej vegetacji i bezwładowi.

„Jedyne, co przetrwało, to język”. Twórca posępnych filmów o duszy rosyjskiej („Pod elektrycznymi chmurami”, „Papierowy żołnierz”) w swoim najnowszym tytule przywołuje klimat wolności stworzony przez ówczesnych leningradzkich artystów. Jego spojrzenie jest trochę figlarne, trochę przynębione, ale po trochu też nostalgiczne. Oto na salonach, w oparach jazzu i papierosowego dymu, pisarze, muzycy, malarze budują nieformalną wspólnotę. Trwają nieustające dyskusje i spory o sztukę. Z charakterystycznym zaśpiewem recytuje się tam żywych i umarłych poetów, wznosi za nich toasty, a niektórzy są nawet gotowi o nich się bić. Gwiazdą tych spotkań jest oczywiście przysły noblista Josif Brodski (gra go Artur Bezciasnyj), z którym łączy Dowłatowa szorstka przyjaźń i który już niebawem, między innymi na skutek antysjonynistycznej nagonki, będzie musiał spakować walizki.

Tymczasem w parkach szemrani bukińscy handlują równie podejrzaną literaturą, z Sołżenicynem i Nabokowem na czele, choć przecież władza ludowa dba o intelektualny rozwój swych obywateli, szczególnie klasy robotniczej. Jeden z reportaży, jaki główny bohater przygo-



Kadr z filmu „Dowlątow”

towuje dla gazety zakładowej, żeby zarobić na chleb, dotyczy kręcenia rocznicowego filmu, w którym proletariusze wcielają się w postacie wielkich pisarzy rosyjskich. Nie można jednak napisać, że współczesny Puszkina zgubił gdzieś surdut po pijaku... Wszelka ironia, podobnie jak nazbyt realistyczne czy nazbyt metafizyczne ciągoty, skazują radzieckiego autora na literacki niebyt albo na druk w samizdacie. W jednej ze scen Dowlątów znajduje odrzucone przez wydawnictwo i rozrzucone po podwórku rękopisy. Rozpoznaje wśród nich teksty swoje i bliskich kolegów – wszystkie przeznaczone na makulaturę.

W świecie, gdzie wizja literatury została odgórnie zadekretowana i gdzie najbardziej pożądane są powieści historyczne lub bohaterskie eposy, German umieszcza wielce nieheroiczną opowieść o człowieku, który próbował jakoś rozszczełnić ów system. „Dowlątow” jest portretem przegranego idealisty, który kiepsko radzi sobie z życiem zawodowym i osobistym, a na dodatek we śnie dręczą go koszmary z gulagu, gdzie pracował ongiś jako strażnik, tudzież surrealistyczne wizje spotkań z Leonidem Breżniewem, który pomaga mu w wydaniu książki. Nałożony na codzienność wspomniany już wyblakły filtr służy nie tylko podkreśleniu wszechogarniającej szarzyzny. Sam pisarz, grany przez serbskiego aktora Milana Maricia, ze swą zwalistą postawą, czarnym szynielem i ormiańsko-żydowskim żarem w oku, również po-

zostaje jakby nieostry. Filmowany bywa często od tyłu bądź w ludzkim skupisku, bez pretensji do pierwszego planu. Kamera Łukasza Żala, operatora między innymi „Idy” i „Zimnej wojny” (Polska była koproducentem filmu Germana), uprawia tu płynną, niemalże kocią choreografię, wędrując po przeludnionych mieszkaniach, ogarniętych cenzorską gorączką urzędów czy na pół legalnych imprezach. To szpiegowanie, a zarazem unieważnianie tytułowego bohatera w kadrze mówi więcej o jego upokorzeniach czy zwątpieniach niż wypowiedziane przez niego z kadru cierpkie słowa.

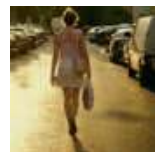
Dlatego najlepiej spojrzeć na „Dowlątowa”, rozgrywającego się na przestrzeni zaledwie kilku dni, jak na wizualny poemat, duchowy portret „wyjechanego” pokolenia rosyjskich inteligentów czy swoistą kapsułę czasu. Nie przypadkiem na festiwalu w Berlinie film otrzymał w zeszłym roku nagrodę za osiągnięcia artystyczne w dziedzinie scenografii i kostiumów. Komunistyczne lata 70. stanowią u Germana wybuchową mieszaninę absurdu i grozy wyrażoną przede wszystkim w pieczołowitej rekonstrukcji materialnego konkretnego. Ale nadmorski Lenin grad ze swym artystyczno-przemysłowym folklorem to także miasto-grobowiec z czasów wielkiej wojny ojczyźnianej. Przygotowując artykuł o poecie Kuzniecowie pracującym przy budowie metra, bohater staje się świadkiem wydobycia spod ziemi ponad 30 dziecięcych szkieletów.

Związany rodzinnie z tym miastem twórca filmu (jego ojciec, reżyser o tym samym imieniu i nazwisku, był bliskim znajomym Dowlątowa) opowiada o pisarzu bardziej poprzez jego „środowisko naturalne” czy kulturowy genotyp aniżeli przez jego prozę. Z niej zaczerpnął z pewnością wisielczy humor. Reszta jest fantazją, utrwalaniem pewnej legendy, składaniem jej na nowo z obrazów o dużej intensywności, jak i z tak zwanych pustych przebiegów, które jednych zafascynują, a innych pewnie znużą i przytłoczą. Trudno też rozróżnić się w użytej materii – oddzielić fakty od fikcji, życie od literatury, ludzi od duchów, poezję od prozy. I może właśnie w tym pomieszaniu German pozostaje swojemu bohaterowi najwierniejszy. ©

DOWLĄTOW – reż. Aleksiej German.
Prod. Rosja/Polska/Serbia 2018.
Dystryb. Solopan.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [26 I – 1 II]

1. Mów mi Marianna



Dokumentalny, reż. Karolina Bielawska, Polska 2015, TVP2, 29 I, 23.05

Obsypany nagrodami film o życiu w zgodzie

z sobą nareszcie pokazany zostanie w publicznej telewizji, będącej zresztą jego współproducentem. Bohaterką jest kobieta urodzona w męskim ciele, która decyduje się na wyjście z szafy i korektę płci, za co przyjdzie jej zapłacić wysoką cenę. Reżyserka towarzyszy Mariannie w najtrudniejszych chwilach.

2. Brexit



Dramat, reż. Toby Haynes, Wielka Brytania 2019, HBO GO

Historia gna do przodu, my tymczasem możemy

zobaczyć, jak wyglądać mogły przygotowania do referendum z 2016 r., które miało zadecydować o wyjściu Wielkiej Brytanii z UE. Mózgiem brudnej acz skutecznej kampanii był Dominic Cummings, grany przez Benedicta Cumberbatcha. Od 3 lutego film dostępny będzie także w ramówce telewizji HBO.

3. Pachnidło



Serial, reż. zbiorowa, Niemcy 2018, Netflix

Pierwszy sezon sześciu odcinkowego serialu w bardzo luźny sposób inspirowany jest powieścią

o tym samym tytule. Za to pod dużym wpływem prozy Patricka Süskinda pozostają bohaterowie nowego „Pachnidła”. Seria tajemniczych morderstw odsłania wyrafinowane okrucieństwo i zmysłowość, a każdy z odcinków pachnie inaczej.

4. Lato



Dramat, reż. Kirill Siebriennikow, Rosja 2018, Cineman VOD

Prześladowany przez rosyjskie władze reżyser filmowy i teatralny

wspomina wczesne lata 80. oraz ówczesną eksplozję muzyki młodzieżowej. Radzieccy naśladowcy Lou Reeda czy T-Rex bawią się, przeżywają miłosne uniesienia i próbują znaleźć własny ton w bunie przeciw opresyjnej rzeczywistości.

JAN

Klata:

Jesteśmy w tym wszyscy



W GDAŃSKIEJ BAZYLICE MARIACKIEJ, PODCZAS pogrzebu prezydenta, przemijanie równym krokiem odmierzała marynarka wojenna. Co pół godziny zmiana warty, żeby nie wiadomo co, przez całą długą uroczystość. Uderzenia paradnie podkutych butów wbiły do mojej głowy podniosłość chwili, niby nie musiały nic podkreślać, ale i tak nadawały kontekst. Państwowy. Ostateczny. Nieunikniony. Czas wypadł z ram, ale jest rytmicznie odmierzany.

Podczas homilii kontemplowałem „Sąd Ostateczny” Hansa Memlinga, a raczej nie do końca udaną sądu ostatecznego kopię. Tak czy owak, przekaz jest jasny, w sumie: policzono, zważono, rozdzielono. Ci na prawo, ci na lewo, i *finito* – niezależnie od sondazy. Na górze Chrystus na tarczy. Prawica (czyli lewica) do piekła, lewica (czyli prawica) do nieba. Z tyłu obrazu widać było obrazy ruchome, na umieszczonym w nawie ekranie kadry z telewizyjnych kamer „na żywo” z pogrzebu. Nasi poli-

tacy. Rodzina śp. prezydenta Adamowicza. Tłumy gdańszczan wokół świątyni.

Patrzyłem trochę w systemie Windows, to na postaci sądu ostatecznego, to na postaci ceremonii pogrzebowej, przerzucałem wzrok to tu, to tam. Sławoj Leszek Głódz im bardziej pragnął wcielić się w Piotra Skargę, tym mniej mu się udawało. Nastąpiła zmiana warty.

Jak dobrze zagrać swoją tragiczną rolę w tym historycznym spektaklu? Oczywiście można się nie pojawić, w ten sposób wystawiając sobie ostateczne świadectwo. Można *post factum* oświadczyć, jak inny mąż stanu z polskiej piaskownicy: „ten spektakl nie jest o mnie”.

Otóż nie, z naszego przedstawienia nie da się uciec, i nie jest bynajmniej tak, jak się jaśniepaństwu zdaje. Jest tak, jak mówił ojciec Ludwik Wiśniewski, Piotr Adamowicz, Magdalena Adamowicz. Cisza nie może oznaczać przemilczenia.

Po drodze na pogrzeb, na praskim lotnisku im. Václava Havla, widziałem wyświeclaną na ciemnej ścianie myśl patrona: „Żadne zło nie zostało wyeliminowane przez walkę z symptomami. Trzeba usunąć przyczyny zła”. W którym momencie przyczyniałem się do zła? I dalej: czy jako ludzie teatru odgrywalismy w spektaklu ostatnich lat wyłącznie role ofiar? Czy uważam, że w teatrze można zbierać pieniądze na zabójcę Jarosława Kaczyńskiego? Czy można – w przypływie nader spóźnionego refleksu – ową nieszczęsną scenę zastąpić teraz... minutą ciszy za zamordowanego Pawła Adamowicza? ©

Lektor:

Nie wiedzieliśmy?



■ **Mordechaj Canin, PRZESZŁOŚĆ I ZGLISZCZA. PODRÓŻ PO STU ZGŁADZONYCH GMINACH ŻYDOWSKICH W POLSCE**

Przekład z jidysz Monika Adamczyk-Garbowska. Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2018, ss. 528

„SHOAH” LANZMANNA, sławny artykuł Błonskiego, „Sąsiedzi” i „Strach” Grossa, prace Tokarskiej-Bakir i uczonych z Centrum Badań nad Zagładą Żydów – przyjmowane u nas z oporem i wrogością, burzące uładowany obraz zachowania Polaków wobec Zagłady – to doświadczenie trzech ostatnich dekad. Książkę Mordechaja Canina wydano

już w 1952 r. w Tel Awiwie. Zawiera relacje z podróży do Polski w latach 1946-47 i wszystko w niej już jest: Jedwabne i Radziłów, polscy junacy z Baudienstu w akcji likwidacyjnej Żydów w Miechowie, zdewastowane cmentarze i macewy jako materiał budowlany, gorączka złota wokół obozów śmierci, pazerność, obojętność i nienawiść.

To porażająca lektura: reportaż i tren, dziennikarskie świadectwo i biblijny lament, z miłością i bólem przywołujący obraz zamordowanego świata. Mordechaj Canin urodził się w 1906 r. w Sokołowie Podlaskim, w 1921 r. przeniósł się do Warszawy. Walczył w kampanii wrześniowej, potem przedostał się do Wilna, skąd wyjechał dzięki japońskiej wizie i dotarł do Palestyny. Mieszkał w Tel Awiwie, gdzie zmarł w wieku 103 lat, do końca wierny językowi jidysz, w którym pisał do nowojorskiego „Forwerts”, publikował powieści i reportaże, a także redagował pismo. Trasa jego podróży biegnie przez duże miasta i prowincjonalne sztetle: Warszawa, Łódź, Kraków, Lublin, Białystok, Kutno, Zgierz, Siedlce, rodzinny Sokołów, Węgrów, Tykocin, Łomża, Mława, Pińczów, Miechów, Częstochowa, Olkusz, Kazimierz

Dolny, Janowiec, Puławy, Góra Kalwaria... I miejsca Zagłady: Treblinka, Chełmno, Sobibór... Elegancki pan z fajką, polskim rozmówcom Canin przedstawia się zwykle jako angielski dziennikarz („Moja twarz nie jest najgorsza”), kaleczący nieco polszczyznę. Szczere rozmowy odsłaniają skalę niechęci wobec Żydów, obojętności wobec ich losu oraz powszechność zjawiska rabowania ich mienia. I tylko pewien stary Polak z Lublina zdobywa się na gorzkie wyznanie: „Stoję nad grobem, a straciłem całą moją wiarę... Najpierw było mi wstyd, że jestem człowiekiem, bo widziałem, do czego są zdolni Niemcy »ludzie«; potem było mi wstyd, że jestem Polakiem, bo widziałem, jak Polacy potrafili zachowywać się wobec tego strasznego cierpienia żydowskich sąsiadów. A wreszcie zrobiło mi się wstyd, że jestem chrześcijaninem...”. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Nauki w kuchni



PIĘĆ. TYLE SEKUND MOŻE LEŻEĆ NA PODŁODZE coś, co nam upadło, żeby potem można było bezpiecznie to zjeść. Tej zasady nie sformułował żaden badacz w namaszczonej przez tabelki ministra Gowina czasopiśmie naukowym, ale praktykuje ją większość rodzi-

ców, czyli jedynych tak naprawdę tytularnych profesorów w dziedzinie nauk o małym człowieku. Inaczej dostaliby obłądu i doznali zapaści finansów domowych, bo musieliby wyrzucić do kosza każdy kawałek jedzenia upuszczony przez swojego pędraczkę w trakcie wlokącej się długie lata fazy rozwojowej, kiedy to rączki i sterująca nimi część mózgu osiągają wprawdzie pełną sprawność, ale jedynie w celu siania destrukcji.

Rozumowanie stojące za zasadą pięciu sekund jest wykwittem zdroworozsądkowej logiki, która wbrew swojej nazwie składa się przede wszystkim z mitów i uproszczeń trzymanyh lepszczem myślenia życzeniowego. Wydaje nam się, że kiedy jakiś obiekt złapie kontakt z podłożem, to zaludniające je mikroorganizmy (pamiętamy ze szkoły tylko tyle, że czają się wszędzie i są uzbrojone w sprytne haczyki, chociaż to, zdaje się, było na lekcji o tasiemcu) potrzebują czasu, by powstać z kryjówek i zorganizowanym szykiem bojowym wmaszerować na powierzchnię ciastka, chipsa, jabłka czy kanapki. Ktoś kiedyś, obserwując ze stoperem manewry takiego typowego manipułu bakterii na kuchennej podłodze (czyli najbardziej skażonym drobnoustrojami miejscu w domu, w tej kwestii nawet prawdziwa nauka zgadza się z intuicją), doszedł do wniosku, że minimalny czas takiego abordażu wynosi właśnie pięć sekund.

Z wierzchu wygląda to raczej jak znachorska bzdura lub dorabianie ideologii do brudu, ale prowadzi nas do działania *per saldo* sensownego z punktu widzenia szans na poradzenie sobie z bakteriami (inna sprawa, czy w środowisku współczesnych miast pałeczki *E. coli* to na pewno czynnik chorobotwórczy budzący największe zmartwienia – zapytajcie kogoś, kto na przystanku pochłania koktajl pyłów i spalin, podczas gdy przez słuchawki jego ulubione radio informacyjne sączy jad reklam paraleków). Dopiero co przeczytałem o „hipotezie higienicznej”, czyli założeniu badawczym, iż skoro od jakichś stu lat nie jesteśmy w dzieciństwie narażeni na aż tyle patogenów i alergenów, co przodkowie, to nasz układ odpornościowy nie ma szans się wytrenować, zaczyna więc wariować z nudów, co odczuwamy w ży-

ciu jako epidemię rozmaitych alergii. Wszystko to ściśle, acz zrozumiale wykląda Michał Kuźmiński w swej nowej książce „Nauka w kuchni” – tę sprawę akurat przywołuje w rozdziale rozprawiającym się z bezglutenową modą.

Chylę przed nim czoło, dwukrotnie bowiem w naszej rubryce próbowałem dotknąć tego tematu, w skróty z konieczności sposób, i za każdym razem poczułem, co to znaczy zderzyć się z falą wyznawczego hejtu. Michał Kuźmiński tymczasem rzecz rozkłada na czynniki pierwsze łagodnie, nie szukając zwady, bez mędrkowania, za to niesamowicie wszechstronnie. Śledząc kolejne przybliżenia do prawdy o glutenie, zaliczamy po drodze zgrabny wykład z antropologii pożenionej z historią kultury materialnej i mikrobiologią – wszak chleb jest w każdej kulturze darem życia, ale nie byłoby go bez kultur bakterii i drożdży, które ludzkość stopniowo oswajała w fascynującym procesie, chyba nawet bardziej tajemniczym niż badania kosmiczne lub fizyka cząstek elementarnych (o tym zresztą książka też traktuje). Do tego jeszcze dawka bieżącego stanu badań nad jelitami oraz materiałoznawstwa piekarniczego. Stopień zagęszczenia wiedzy zawartej na tych stronach przypomina mi roztwór nasyceny: jest jej tyle, że każde zdanie więcej sprawiłoby, że książka by dosłownie pękła. Nie pęka, bo Michał, współautor wszak paru świetnych kryminałów, zna się nie tylko na napięciach powierzchniowych, ale i czytelnicznych.

Jest prosty probierz pokazujący, czy autor jest porządnym dziennikarzem naukowym: umie widzieć las tam, gdzie jego profesorscy rozmówcy widzą często tylko drzewa. Ten las zaś to spójna opowieść o człowieku – istocie jedzącej, tyleż zwierzęcej, co społecznej. Człowieku, który co prawda ziemię uczynił sobie poddaną, aż ta trzeszczy w szwach, ale w kwestii jedzenia nie posunął się istotnie od kilkudziesięciu tysięcy lat. Coś, co kiedyś było proste (upolować, wysiać, rozpalić), lecz poddane przeciwnościom i gwałtom losu, stało się pozornie bezpieczne, za to uwikłane w gęstą sieć problemów: społecznych, ekologicznych, mentalnych i zdrowotnych. Jest w tej opowieści nuta fascynacji pierwotnymi ludami i ich strategią żywieniową, ale bez grama rzewnej nostalgii za „paleodietą” czy inną podobną współczesną ciemnotą, która lekceważy to, jak bardzo owoce nauki są nam dziś

niezbędne do przeżycia obok owoców z sadów.

Czytam i na moment moja kuchnia wypełnia się z powrotem białkami, cukrami, energią i metabolizmem, gazami i cząsteczkami. Nędzne resztki wiedzy przyrodniczej i historycznej, turlające się po mojej głowie nieuka, z powrotem składają się w zrozumiałą całość. W życiu kucharza bez dyplomu zdarzają się dni oświecenia. Pan Jourdain dowiedział się pewnego dnia, że mówi prozą. Ja zaś wreszcie poznałem, co tkwi u źródeł zjawiska, które zna każdy kucharz bez dyplomu: dlaczego mianowicie najlepszą częścią pieczenia jest sos spod tejsze pieczenia. Oj, biedni moi przyszli goście! Teraz już na pewno zachowam jego większość dla siebie. © P



AFP / EAST NEWS



Uczta wydana przez Jana III Sobieskiego w Jaworowie 16 lipca 1684 roku według obrazu Fransa Geffelsa, ok. 1685 r.

SPISEK PRZECIWKO KARPIOM

JAROSŁAW DUMANOWSKI, MAGDALENA KASPRZYK-CHEVRIAUX,

AUTORZY KSIĄŻKI „KAPŁONY I SZCZEŻUJE. OPOWIEŚĆ O ZAPOMNIANEJ KUCHNI POLSKIEJ”:

Jeszcze sto lat temu większość mieszkańców Europy to byli właściwie wegetarianie, mięsa nie jedzono prawie wcale. I to jest cecha kuchni staropolskiej.

MONIKA OCHEŃDOWSKA: Jakie są Państwa smaki?

MAGDALENA KASPRZYK-CHEVRIAUX: Zdecydowanie wytrawne.

JAROSŁAW DUMANOWSKI: To jakby chemika zapytać o ulubiony pierwiastek. Smaki to tylko nuty. Dopiero z ich połączenia, współgrania coś wynika.

MK-CH: Ale gdybyś musiał wybrać swój ulubiony smak, to który by to był?

Może coś ostrego?

JD: Nie ma takiego smaku, ostry nie istnieje. To pochodna dotyku, podrażnienie ust i języka. Choć ja bardzo lubię smaki, których nie ma.

Dawniej lubiliśmy sobie „przyszafranić”. Moda na ostre orientalne przyprawy obowiązywała w Polsce przez setki lat.

JD: W daniach inspirowanych starymi książkami kucharskimi, podczas świąt czy kulinarnych rekonstrukcji często odwołujemy się do intensywnych smaków.

Kombinacja tak zwanego smaku ostrego ze słodkim jest ciekawa, ale szybko się nudzi. Weźmy najstarszy znany przepis na sos z piernika z pieprzem, imbirem, goździkami i cynamonem, który pochodzi z tzw. krzyżackiej książki kucharskiej z XV wieku...

Jak ten piernik smakował?

JD: Sam w sobie okropnie, ale ten sos to już coś cudownego. W tym przepisie jest kapitalnie opisane, jak się go robi. Otóż tak samo jak sos pieprzowy, tylko zamiast chlebków piernikowych bierzemy, hmm... Właśnie, trudno to nawet opowiedzieć, bo nasz język jest już zupełnie inny. Dziś mówimy po prostu „piernik”, a kilkadziesiąt lat temu mieliśmy do dyspozycji kilkanaście nazw na podobne wypieki. Smak bywa jednak czymś nieprzekładalnym na słowa. Ale odpowiadając na pytanie – wolę smak łagodny, bo on nastraja do poszukiwania, myślenia.

MK-CH: Ja wręcz przeciwnie – lubię smaki kontrastowe, mocne.

JD: Nie będę się kłócił. Smak to wypadkowa produktu, wrażenia...

MK-CH: Ale też tego, co lubisz!

JD: A ja lubię dobre rzeczy.

Czyli ten smak, o którym Pan mówi, to byłoby raczej wspomnienie niż przygoda?

JD: Moja mama, która pochodzi spod Tarnopola, robiła pierogi normalne i pyszne, ze słodkiej kapusty. Zresztą dopiero po latach odkryłem, że wszędzie indziej robi się pierogi z kapusty kiszzonej.

MK-CH: U mnie też robi się z kiszzonej.

JD: I to jest akurat obrzydliwe! Niestety z czasem mama najwyraźniej uznała, że lubię jeść tylko schabowe i przestała te pierogi robić. Może zapomniała, że je lubię, a może po prostu starała się robić dla mnie coś lepszego, świątecznego. W każdym razie smażyła mi te schabowe, a ja dziękowałem i prosiłem, żeby następnym razem były pierogi ze słodką kapustą... I były schabowe, oczywiście.

Ale gdy podczas ostatnich wakacji byłem w Kijowie, w tamtejszej restauracji zamówiłem sobie pierogi. Oczywiście były to pierogi normalne, ze słodką kapustą, dokładnie takie, jakie robiła mama. Po powrocie do domu obiecałem żonie, że takie pierogi zrobię. Małżonka sformułowała kilka wstępnych uwag w stylu: „A kto to będzie jadł, kto to będzie sprzątał?”. Ale jak któregoś dnia żona poszła do pracy,

a ja akurat zostałem w domu, to zrobiłem ze sto takich pierogów.

MK-CH: Potrafisz robić pierogi?

JD: A myślałaś, że nie? Jak mógłbym pisać takie piękne książki o kuchni, nie umiając gotować! Zrobiłem trochę pierogów z jagodami dla żony. Co więcej, zjadła nawet kilka tych z kapustą i przyznała, że nie są złe.

Coś tam jeszcze z nich zjedliśmy, dumny z mojego osiągnięcia dałem trochę tych pierogów córce. Potem trochę wyjeżdżałem i jak wróciłem do domu, mówię: „No, to sobie teraz te pierogi z kapustą w końcu zjemy”. A żona, że zostały tylko cztery...

MK-CH: Moje wspomnienie z dzieciństwa, czyli końca lat 80., to pizza na grubym spodzie z kielbasą, pieczarkami i tartym żółtym serem. Powiew wielkiego świata.

Bywały wtedy miejsca, w których podawano pizzę z kiszoną kapustą.

JD: W książkach kucharskich z XVII wieku znajdziemy przepis na tort z kiszoną kapustą. To nam się oczywiście wydaje śmieszne, bo jak to – słodkie z kwaśnym? Ale jak zaczniemy czytać przepis dokładniej, okazuje się, że tort to nie jest tort, tylko w naszym dzisiejszym rozumieniu raczej tarta, a kiszona kapusta była moczona, gotowana, podsmażana z różnymi dodatkami, na słodko-ostro. Następnie to wszystko zalewało się zsiadłym mlekiem.

Żeby spróbować kuchni staropolskiej, wystarczy polecieć do Indonezji?

JD: Używam czasem tego porównania, żeby trochę wstrząsnąć opinią o kuchni staropolskiej, bo mylnie kojarzy się z potrawami epoki Władysława Gomułki. Ta mityczna „kuchnia staropolska” pochodzi tak naprawdę z czasów babci. Tymczasem babcia także miała babcię... Nigdy nie byłem w Indonezji, ale kiedyś w Holandii jadłem coś takiego, co mnie dosłownie poparzyło – piekielnie palącego. Popicie i wybuch! Takie ostre, korzenne przyprawy były używane w kuchni staropolskiej przez setki lat.

MK-CH: Ostatnio w pewnej modnej restauracji w Warszawie był tydzień kuchni staropolskiej.

JD: I co podano?

MK-CH: Golonkę... O tym golonkowo-wieprzowym stereotypie kuchni staropolskiej mówimy sporo w naszej książce.

JD: Tłusto i mięśnie jadała elita, i to tylko od święta. Jeszcze jakieś sto lat temu większość mieszkańców Europy to byli właściwie wegetarianie, mięsa nie jedzono prawie wcale – to cecha dawnej kuchni polskiej. Przestrzegano bardzo długiego, surowego postu. Przeglądałem ostatnio rachunki kasztelana Stanisława Poniatowskiego, ojca króla Stanisława Augusta. Mięsa jest w tym zestawieniu ledwie kilka stron, a kilkadziesiąt – to warzywa. Każdego prawie tygodnia inne.

MK-CH: Mięso było czymś luksusowym, ponadto było sezonowe.

JD: To jest na swój sposób fascynujące, że powielamy wyobrażenia chłopów, którzy w latach 50. XX w. wyruszyli ze wsi do miast. Im się wtedy wydawało, że będą w mieście jeść tak, jak na wsi w niedzielę i święta. To chłopskie marzenie o krainie obfitości wyewoluowało w nasze wyobrażenie o tym, że dawniej jedzono mnóstwo mięsa. Jednym słowem, dzisiaj myślimy, że w przeszłości było tak, jak wtedy wyobrażano sobie przyszłość. Wierzmy, że ludzie dawniej żarli, upijali się...

MK-CH: To się chyba bierze z popularności opisów uczt, które z czasem obrosły legendami.

JD: Tyle że to są opisy bardzo późne, pochodzące z XIX wieku. I to nie są opisy samych uczt, lecz znów o nich wyobrażenie.

MK-CH: Zgadza się, przy czym to wyobrażenie dotrwało do naszych czasów i dlatego kuchnia staropolska niektórym szefom kuchni kojarzy się z golonką.

JD: A z wieprzowiną powinna się kojarzyć najmniej.

Z czego byliśmy w takim razie w Europie znani? Co było polskim popisowym daniem?

JD: Szczupak po polsku! W naprawdę szczątkowej polskiej literaturze kulinarnej z XVII wieku, jak i w bogatych, pięknych tekstach niemieckich z tego samego czasu, jest bardzo dużo „szczupaka po polsku”. To było sztandarowe, jedyne właściwie znane od średniowiecza polskie danie. Delikatna ryba w cebulowym gąszczu, na szafranie, z zestawem kontrastowych smaków – czymś słodkim i kwaśnym.

Kiedy w takim razie pożegnaliśmy się z ostrym?

JD: Ostateczne odcięcie się od kuchni orientalnej trwało dość długo. W połowie XVII wieku w Warszawie był już francuski dwór i nowy kanon dobrego



Jarząbek, Georges-Louis Leclerc de Buffon, *Historia naturalna ptaków*, Paryż 1770-1783

Potrawa czarno gotowana z juszycą

Gąskę młodą albo zajaczkę, albo cokolwiek młodego bijesz, spuść juszycę tak: weźmiej octu dobrego, zgrzej, juszycę albo krew tę, co żywego bijesz, spuść na ten ocet, a mieszaj, tę zaś materiją mięsną porąbawszy albo rozebrawszy, dowarz i odbierz, wlej tę krew z octem, którą juszycą zowiesz, a warz, usmaż cebulę w maśle, a przebij przez sito chleba żytnego trochę. Przydaj octu, słodkości, pieprzu, imbiru, cynamonu, goździków, soku wiśniowego. Przywarz, soli nie przepominając, daj lubo gorąco, lubo na zimno.

S. Czerniecki, *Compendium ferculorum albo zebranie potraw*, wyd. i opr. J. Dumanowski i M. Spychaj z przedmową S. Lubomirskiego, „Monumenta Poloniae Culinaris”, t. I, Warszawa 2009

Gęś z czosnkiem

Upiecz gęś dobrze, polewaj ją masłem, weź migdałów garść, obłup je. Czosnku weź niemało, obłup go pięknie, uwarz go w wodzie i uwierć go, tylko osobno, nie z migdałami. Migdały uwierć, jabłek też kwaśnych obłup i pokraj cienko, uwarz je, polewkę odcedź i uwierć je. Chleba białego ośrodek uwierć z jabłkami i migdałami, do tego włóż czosnek uwiercony, octu

winnego wlej kwartę albo pół, coby było jako śmietana. Wleje to w garnieszek, przywarz to, wspaniałe co potrzeba; tłuszcz owe z gęsi, co wyciecze, opuszczonej, wlej w tę zaprawę. Gęś rozebrać i tą zaprawą polać i dać do stołu.

Moda bardzo dobra smażenia różnych konfektów i innych słodkości, a także przyrządzania wszelkich potraw, pieczenia chleba, i inne sekreta gospodarskie i kuchenne, opr. i wyd. J. Dumanowski i R. Jankowski, „Monumenta Poloniae Culinaris”, red. J. Dumanowski, t. II, Warszawa 2011

Karp w polskim sosie na Wilią (1915 r.)

Wygotować smak z włoszczyzny, włożyć pokrajanego, oczyszczonego i nasolonego karpia, dodać kawałek masła i gotować 15-30 minut. Zamoczyć we wodzie kawałek miódownika (piernika do ryb) i na dogotowaniu wlać do ryby. Dodając kilka migdałów, garść rodzenków, wcisnąć trochę cytryny albo octu, osłodzić, aby był sos kwaskowato-słodki. Gdy już ryba ugotowana, odstawić na bok, niech z 10 minut jeszcze w sosie stoi, aby nabrała smaku.

Nauka gotowania do użytku ludu polskiego, wyd. i opracowali J. Dumanowski i M. Mazurkiewicz, Grudziądz 2012

→ smaku – łagodnego, jednolitego. Ale jeszcze wtedy nawet autor najstarszej zachowanej polskiej książki kucharskiej, Stanisław Czerniecki, jednocześnie opowiadał się za kuchnią orientalną, sarmacką, narodową, broniąc polskiej kuchni przed kulinarnym imperializmem francuskim, mimo że w praktyce skwapliwie naśladował pomysły kucharzy znad Sekwany. Nie mówił o tym głośno. Chcieliśmy bronić tzw. smaku narodowego. Gardziliśmy francuską panierką do mięs i ryb, wydawało nam się niemożliwe, by zupy stały się podstawą kuchni. Broniliśmy czegoś – w ówczesnym rozumieniu – europejskiego, choć archaicznego, mimo że to nie było nic specjalnie polskiego, tak wyobrażano sobie nasz smak narodowy. Styl francuski był zły, bo był nowy, a nowe z założenia jest podejrzane. Tymczasem Sobieski, który przedstawiał się przecież jako sarmata, uwielbiał kuchnię francuską, miał francuskich kucharzy, sam doglądał robienia konfitur.

Zjadamy zatem to, czemu nadajemy wartość. Co jest ważne w dzisiejszej kuchni?

JD: Dziś nie ma jednolitego wzorca – i to jest chyba wyznacznik naszych czasów.

MK-CH: To, co jeszcze kiedyś dostępne było tylko dla nielicznych, sushi na przykład, które teraz każdy może kupić nawet w dyskoncie, przestało być obiektem pożądania. Nawet *fine dining* i kuchnia molekularna dotarły na prowincję – oczywiście w formie dostosowanej pod miejscowe gusta. Ale pojawiło się kolejne wyróżnienie: polska kuchnia regionalna w wydaniu bistro.

JD: Nadajemy wartość nie tyle samemu jedzeniu, co właśnie regionalizmowi albo ekologii, zdrowiu. Sprzeciw wobec globalizmu i egzotyizmu jest podstawą większości tradycyjno-regionalno-lokalnych, ekologicznych ruchów żywieniowych.

MK-CH: Tymczasem sam trend regionalności jest przecież globalny... Ale popularyzuje się także inny trend – neoarchaizm kulinarny.

JD: Czyli łączenie inspiracji historycznych, pochodzących z bardzo odległych czasów, z nowoczesnymi technikami i współczesną estetyką. Tzw. rekonstrukcje kulinarne, nawiązujące do wzorców z przeszłości, są na ogół *modern*. Bardzo stare rzeczy postrzegane są dzisiaj jako awangarda i niezwykle cenione. To jest i fajne, i dziwne, bo szefom kuchni trudno

wyswobodzić się ze współczesnej estetyki, tekstury, zdobień, smaków. Młodzi wydają się bardzo otwarci, poszukują nowości. Ale jeśli robi się to od kilkudziesięciu lat, to o nowość coraz trudniej – nowe może być już tylko coś bardzo starego.

W książce wspominają Państwo o tym, że co 50 lat o połowę maleje liczba wykorzystywanych w naszym żywieniu gatunków. Naprawdę nigdy nie jedliśmy tak ubogo?

JD: Świerząbek bulwiasty to tylko jedna z wielu roślin, obok rzepy, brukwi czy pasternaku, która została zapomniana niemal całkowicie, gdy zaczęliśmy jeść pożańskie, trujące ziemniaki.

MK-CH: Ale chciałabym pokazać też dobry przykład, wbrew tezie, że historia jedzenia to w głównej mierze historia utraty. Bo jakkolwiek musimy pogodzić się z tym, że na przykład dzikie jesiotry nie będą nam już wyskakiwać z kałuż, tym bardziej takie stukilogramowe, to udało się hodować jesiotra w Polsce przywrócić, a nawet jesiotrzynę eksportujemy. Dzięki temu możemy także spróbować produktów inspirowanych starymi przepisami, na przykład jesiotrzynę marynowaną.

JD: Dawniej to była ryba dostępna w dużych ilościach przez krótki czas, kiedy przypływała.

A że trzeba ją było zakonserwować, to w starych książkach kucharskich znajdujemy mnóstwo przepisów na przetwory z jesiotra, opis metod jego marynowania, wędzenia czy suszenia. Pracowałem kiedyś nad bardzo zniszczonym rękopisem z przepisem na jesiotrzynę, który niezwykle trudno było rozczytać, a ponieważ sam niewiele o jesiotrze wiedziałem, pytałem znajomych wędkarzy, hodowców, przetwórców. Jeden z nich postanowił potem ten przepis wypróbować i ostatecznie prawie się na mnie obraził, bo marynata, którą na jego podstawie zrobił, jest straszliwie słona. Z przepisu wyczytaliśmy, że na jednego jesiotra trzeba wziąć cztery kwarty soli...

MK-CH: Tyle że wtedy jesiotr ważył sto kilo!

JD: Dlatego należało zmienić proporcje i okazało się, że jest to całkiem zjadliwe. Dzięki temu mamy teraz w Polsce jesiotra marynowanego, można go co jakiś wyciągać z beczki i wędzić – powstał wspaniały produkt na wigilię.

Na to zapotrzebowanie czy raczej tęsknotę odpowiada nasza książka. Zapo-

mniane produkty i gatunki wracają. Czasem dzieje się to z powodu mody, częściej – desperackiej próby dywersyfikowania na nowo przyrody czy poszukiwania nowości. W takiej sytuacji rodzi się oczywiście pytanie, co z tego jesiotra zrobić.

Jesiotr jest obecnie hodowany na przykład na Pojezierzu Brodnickim, w województwie kujawsko-pomorskim i wielkopolskim, ale tamtejsi restauratorzy i kucharze, nawet całkiem dobrzy, potrafią z tego zrobić coś wstrętnego. Popisowym numerem jest jesiotr pokryty obrzydliwym, śmierdzącym serem. Nie ma na tego jesiotra pomysłu.

MK-CH: Bywa, że i z naszego karpia zatorskiego niektórzy restauratorzy potrafią zrobić rzeczy niejadalne – usmażyć na margarynie i posypać żółtym serem. To są te „staropolskie” przepisy gospodyń z lat 70., które najczęściej mówią o ówczesnych problemach z zaopatrzeniem.

Karp zawsze był wrogiem rewolucji.

JD: Kolega z Paryża poświęcił zresztą temu książkę „Sprzysiężenie przeciwko karpom” – bardzo solidna monografia, która, swoją drogą, brzmi jak dowcip. Gdy w kolejnym roku rewolucji francuskiej okazało się, że ma ona coraz więcej wrogów, walki się zaostrzają, a obiecany dobrobyt nie nadchodzi, próbowano wykreować nowego wroga i takim symbolicznym wrogiem okazał się karp. Stwierdzono, że hodowli karpia należy zakazać, bo uprawomocnia post.

A skoro przestrzegamy postu, to umacniamy wpływ Kościoła na państwo, a skoro Kościół jest wciąż mocny – to może powrócić monarchia. Przy tym opierano się na przesłankach naukowych, fizjokratycznych, zgodnie z którymi produkcję ryb słodkowodnych uznano za bardzo nieefektywną gałąź gospodarki. Stawy zasypano, a na ich miejscu zalecano uprawę zboża. Z tamtego czasu zachowały się wspaniałe przemowy typu: „Wszyscy jesteście ze spisku przeciw karpom”. To zdanie z Dantona.

MK-CH: A dziś uważamy się za specjalistów od karpia i przyrządzamy go na dwa, może trzy sposoby: smażonego w panierce i po żydowsku. Przepisy, które znamy ze starych książek kucharskich, jak karp w sosie wiśniowym czy piernikowym, odeszły w niepamięć. Nie wiem, czy udało się kiedykolwiek wykorzystać tego karpia w panierce, bo prawie wszyscy go uwielbiają, ja zresztą też...

JD: Ale dlaczego mamy go wykorzeniać?! To jest trochę zabawa, przyjemność. Po-
czytajmy przynajmniej stare przepisy na bigos czy ozorki karpiove albo czerninę z karpia, trochę jednak karkołomny, bo trzeba było tego karpia szpikować, nakławać żywcem... Ale karp wędzony na ciepło – delikcja!

©© Rozmawiała MONIKA OCHEŃDOWSKA



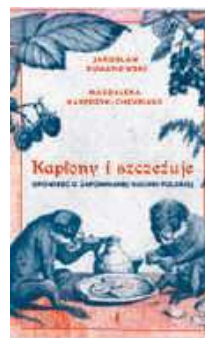
MATERIAŁY PRASOWE

JAROSŁAW DUMANOWSKI jest historykiem czasów nowożytnych, specjalizuje się w historii kultury, kontaktach polsko-francuskich oraz w kulturowej historii kuchni i jedzenia. Kierownik Zakładu Historii Nowożytnej Instytutu Historii i Archiwistyki UMK w Toruniu. We współpracy z Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie wydaje najstarsze polskie książki kucharskie. Kieruje programem badawczym Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki pt. „Staropolskie przepisy kulinarne. Opracowanie i edycja rozproszonego materiału źródłowego”.



MATERIAŁY PRASOWE

MAGDALENA KASPRZYK-CHEVRIAUX jest dziennikarką kulinarną. Specjalizuje się w historii kuchni polskiej. Prowadzi rubrykę „Historie kuchenne” w krakowskiej „Gazecie Wyborczej”, regularnie pisze także dla portalu Culture.pl oraz magazynów „Usta”, „Kuchnia” i „Forbes”.



Jarosław Dumanowski,
Magdalena Kasprzyk-Chevriaux
KAPŁONY I SZCZEŻUJE. OPOWIEŚĆ O ZAPOMNIANEJ KUCHNI POLSKIEJ,
Czarne, Wołowiec
2018

STANISŁAW

Mancewicz:

Interpretacje



INTERPRETOWANIE OZNACZA – PRZYNAJMNIEJ wedle słowników – wydobywanie sensu. Gdy się jednak rozejrzemy, a rozglądamy się od dość dawna, utwardzamy się w mniemaniu, że owo prastare założenie jest solidnie nieaktualne.

Naturalnie, poszukiwania sensu nie są wolne od błędzenia, i nie jest to żadna nowość, jednak przyszywanie sensu do bezsensu czy – by wyrazić się pięknie – zawzięte odrywanie sensu od sensu jest już czynnością w istocie swej wstrętą, nie jest bowiem – jak widzimy wokół – bez sensu.

Sensem fabrykowania bezsensu jest głównie – nie boimy się banału tego głosić – interes polityczny. W tej branży – i nad tym biadolimy od dawna – stało się to najpowszechniejszą normą funkcjonowania polityki. Najstraszniejszym przykładem, jakim można się dzisiaj posłużyć, jest zabójstwo prezydenta Gdańska. Demoralizacja ostatnich lat umożliwia wyrażanie opinii, że nie było to morderstwo polityczne, i taką interpretacją chwalą się dziś liczni politycy i ich kołesie z mediów. Zaiste zważyć należy, że każde zabicie polityka było zawsze, bez żadnych wątpliwości, uważane za czyn polityczny, było motywowane polityką bądź polityce służyło. Gdy rzucimy okiem w głąb

historii, gdy weźmiemy do rąk opisy tych zbrodni i ich analizy, bardzo stare, dawne bądź nowsze, nie znajdziemy w nich prób opowiadania o tych wydarzeniach w sposób od polityki odezwany – jest to nader pocziwe i oczywiste może tłumaczenie *ab ovo*, ale wydaje się teraz niezbędne. Także wobec ludzi uciekających teraz panicznie od rzeczywistości za pomocą zdań bezsensownych, lękowego bujania w obłokach, musu pedagogizowania bliźnich na poziomie przedszkola bądź stawiania do kąta tych, którzy się nie boją. Strach jest bardzo zaraźliwy, odwaga mniej.

Opowiadająca dziś o polityce propaganda, owa interpretująca niedawne zabójstwo polityczne jako niepolityczne, jako po prostu czyn szaleńca, miotająca się od kłamstwa do egzaltacji, od nieświętych sumowań po pseudoreligijne uniesienia, jest niewątpliwie czymś dla nas wszystkich bardzo nowym. Jest też coś niepokojącego w konsumujących ją odbiorcach. Liczne interpretacje bądź tłumaczenia ich stanu umysłowego i emocjonalnego opierają się głównie na wyliczaniu efektów zbrodni transformacji, opisują tę propagandę jako zemstę za wykluczenie, pogardę i tym podobne. Ma to, zdaje się, zawsze wystarczająco tłumaczyć wszystko i cokolwiek niepojętego, ma usprawiedliwiać każde propagandowe kłamstwo i draństwo. Przeglądając materiały wyprodukowane z okazji zabójstwa prezydenta Adamowicza, pierwsze wrażenia, ale i pytania dotyczą stanu wcale nie nadawców tych treści, ale odbiorców właśnie. Być może są to pytania naiwne, lecz sami sobie je zadajemy nieustannie, odkąd Jacek Kurski z kolegami, za pieniądze z naszych podatków, zajmuje się przemysłowo kręceniem tych lodów. Kto to je? Komu smakują? Czy to efekt nieopisanego jeszcze regresu cywilizacyjnego, pierwszego w historii tak wyraźnie widocznego odlotu w interpretowaniu świata, czy tak po prostu było zawsze? Czego po prostu nie zauważyliśmy. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ





S-NET

GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

**INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING**

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ Z SIECI ILE SIĘ DA.

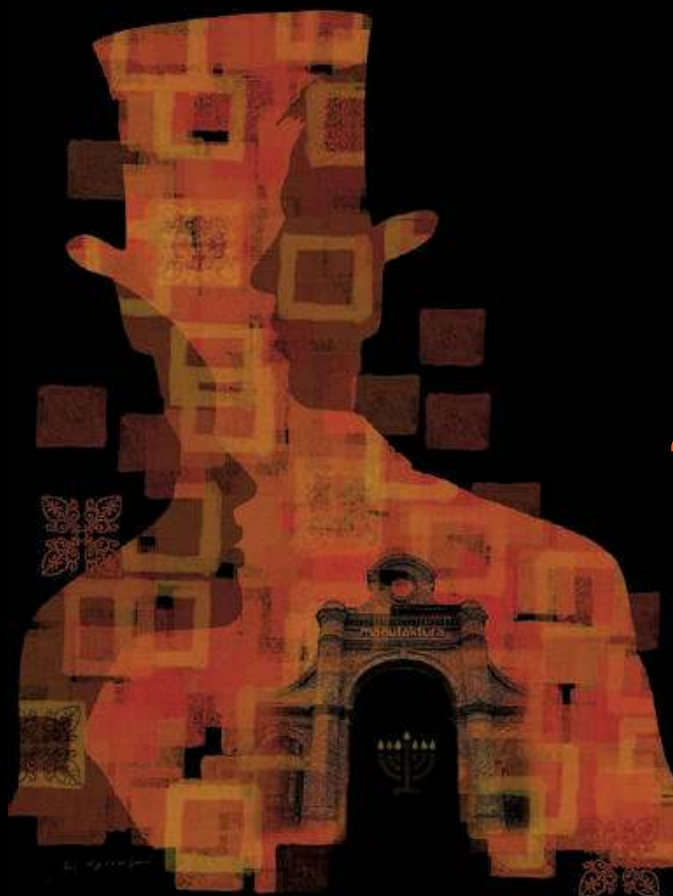
Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl



TEATR WIELKI W ŁODZI

RAFAŁ JANIĄK

CZŁOWIEK Z MANUFAKTURY

LIBRETTO

MAŁGORZATA SIKORSKA-MISZCZUK

PRAPREMIERA

2 LUTEGO 2019

Światowa prapremiera *Człowieka z Manufaktury* opery Rafała Janiaka, laureata Grand Prix i Nagrody Publiczności Operowej w międzynarodowym konkursie kompozytorskim *Człowiek z Manufaktury* ogłoszonym przez Teatr Wielki w Łodzi oraz Manufakturę i rozstrzygniętym przez jury pod przewodnictwem prof. Krzysztofa Pendereckiego. Autorką libretta jest Małgorzata Sikorska-Miszczuk, najczęściej wystawiana dramatopisarka w Polsce, tłumaczona na wiele języków. Jej teksty reżyserowali m.in. Jan Klata, Marcin Liber, Paweł Łysak i Michał Zadara. *Człowieka z Manufaktury* wyreżyseruje Waldemar Zawodziński, twórca ponad stu spektakli, w tym czterdziestu oper.

Opera opowiada o burzliwych wydarzeniach w dziejach wielokulturowej łódzkiej metropolii: o strajku powszechnym robotników przeciwko fabrykantom w 1892 roku (tzw. buncie łódzkim), o likwidacji zakładów Poltex w 1991 roku i wizji przyszłości tego miejsca, znanego obecnie w Europie jako Manufaktura. Jest to historia o miłości do Łodzi. O Żywiolach. O Pieniądzach. O walce Dobra ze Złem.

 Teatr Wielki
w Łodzi